

*Marta Kisiel*

Sika  
niższa



Marta Kisiel

## **SIŁA NIŻSZA**



Copyright © by Marta Kisiel, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI



# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

*Moim dożywnikom – Łukaszowi, Julce i Jaśkowi*

# Rozdział 1

W przeciwieństwie do swej wyżej postawionej i pomysłowej kuzynki, która nawet z głupiego jabłka potrafiła wycisnąć wyprawę na tysiąc okrętów i jednego drewnianego konia, siła niższa dysponowała znacznie skromniejszym arsenałem. Nie miała głowy do skomplikowanej logistyki katastrof naturalnych, uparcie myliła geopolitykę z geoplastyką, a do odkryć natury dziejowej brakowało jej i szczęścia, i kompetencji. Za to po mistrzowsku łamała obcasy, tłukła filiżanki z kompletu, pryskała keczupem na śnieżnobiałe koszule, puszczała oczka w pończochach i zacinała windy między piętami. I to wszystko. Niby nic wielkiego, niby proza życia zamiast dramatu w trzech aktach, poświęcała się jej jednak z prawdziwym oddaniem, gorliwością nadrabiając braki w potencjale bojowym.

Czasem jednak siła niższa spoglądała na świat i puszczała wodze fantazji. Lubiła sobie wtedy wyobrażać, że jeśli w odpowiednim momencie rozwiąże sznurowadła bujnej brodzie z doczepionym do niej rachitycznym młodzieńcem, która mknęła rączo przez pasy na czerwonym, by zdążyć na tramwaj, albo przebije strategiczny fragment ogumienia tamtej miłej parze migdalącej się pod siedemnastką, to uruchomi lawinę zrządeń losu znacznie większego kalibru.

Tak też było i tego ponurego dnia, kiedy to jesień postanowiła na dobre porzucić ciepły złotopolski *image*, którym mamiła zmysły przez cały wrzesień, a nawet większość października, uśpiwszy w ten sposób powszechną czujność społeczeństwa, i w ciągu jednego przedpołudnia przestawiła się na szaroburą chlupę, ziąb i ogólną pizgawicę. Zaskoczeni przechodnie kulili się zziębnięci pod niesfornymi parasolami, czy to drepcząc wężykiem chodnikami, czy to stercząc na przystankach, wpatrzeni w czubki butów wystające spod przemoczonych nogawek; równie zaskoczeni kierowcy zderzak w zderzak sunęli niemrawo ulicami, jak gdyby zahipnotyzowani rytmicznymi płasmi własnych wycieraczek; zaskoczeni drogowcy zaś... cóż, wcale nie byli tacy znowu zaskoczeni. Za to wszyscy, bez względu na środek transportu czy stopień zmarznięcia, psioczyli jak jeden mąż na tę wszędobylską, bezlitosną pluchę, po cichu tęskniąc już za śniegiem i mrozem – co prawda dokuczliwszym dla ciała i akumulatorów, za to w pakiecie z miłszymi sercu świętami, do których wciąż pozostawało tak strasznie dużo czasu. I nawet

wizja kołęd dobiegających dzień w dzień przez bite dwa miesiące z za każdego węęła chwilowo nie była w stanie im tego obrzydzić.

Siła niższa lubiła święta. Nic tak jak one nie sprzyjało drobnym urazom.

Westchnęła z rozrzewnieniem, myśląc już o poparzonych barszczem podniebieniach, o knykcjach startych do sałatki śledziowej razem z jabłuszkiem i niemal niezauważalnych gołym okiem, lecz jakże bolesnych skaleczeniach ozdobnym papierem w podejrzenie rumiane Mikołaje. Tymczasem miasto coraz głębiej zanurzało się w deszczu i wieczornych ciemnościach niczym w kipieli, której powierzchnia zdawała się niemalże bulgotać od to rozbłyskujących, to gasnących świateł. Potencjalne ofiary zaszywały się w swoich domach i zbrojne w rozliczne piloty zabijały czas i szare komórki przed ekranami telewizorów. Ktoś oblał się herbatą, ktoś zakrztusił orzeszkiem, ktoś nie mógł znaleźć okularów. Siła niższa nie próżnowała, nudziła się jednak jak mops, cóż więc się dziwić, że zaczęła wypatrywać jakiegoś ciekawszego zajęcia.

Po kolejnym z wielu kwadransów bezowocnych poszukiwań już miała się poddać i wrócić do upychania orzeszków w niewinnych tchawicach, gdy wtem na jednym ze skrzyżowań dostrzegła samochodzik w kształcie wyjątkowo pokracczej mydelniczki, wyklepanej pobieżnie z jednej strony. Stał grzecznie na światłach, niepozorny i niemiłosiernie ubłocony, siódme dziecko ubogiej praczki pośród lśniących od deszczu, dorodniejszych przedstawicieli swego gatunku, by po chwili ruszyć z werwą, której nikt by się po nim nie spodziewał.

Dojrzawszy, kto też siedzi w mknącym jezdnią kanciastym autku, siła niższa aż kwiknęła z radości. Mało kto nadawał się równie wyśmienicie na ofiarę przewrotnego losu.

\*\*\*

Minęła dwudziesta druga, kiedy bramy rajy rozsunęły się bezszelestnie i Konrad Romańczuk wkroczył do krainy szczęśliwości. Minąwszy zwałistego ochroniarza, który mimo odcisków trwał na straży ładu, bezpieczeństwa i michałków na wagę, ruszył świetlistą doliną, przez tę krótką chwilę nie lękając się ni zła, ni debetu na koncie.

Jego dusza taplała się w błogości niebiańskiej, zapadnięta pierś z każdym oddechem chłoneła boskie wonie, a przekrwione oczy napawały się orgią świateł i barw. Zupełnie jak wtedy, gdy pętakiem nieledwie wystającym z nad parkietu będąc, podczas nudnych rodzinnych spędów w mieszkaniu



pradziadków wymykał się do mikroskopijnego pokoiku za salonem, by z zadartą głową i rozdziawioną gębą gapić się do upojenia na imponujące akwarium. Z perspektywy podłogi wydawało się wręcz niebotyczne. Zajmowało niemal całą ścianę, a jego szczyt ginał gdzieś w cieniach zalegających pod wysokim sufitem. W środku zaś, skąpane w sztucznym blasku i filtrowanej wodzie, pływały tycie, połyskliwe neonki, olśniewająco jaskrawe pielęgnice, gupiki z pawimi ogonami i pasiaste skalary wielkości dłoni ówczesnego Konrada, oszołomionego tą wielobarwną egzotyką w szaroburym świetle jego peerelowskiego dzieciństwa.

Ledwie Romańczuk wyrósł ponad stół i pomaszerował do pierwszej klasy, by ćwiczyć z mozołem szlaczki, brzdąkanie na cymbałkach i pierwsze cięte riposty, pradziadkowi się zmarło i mikroskopijny pokoik za salonem opustoszał. Wielkie akwarium odkupił kolega hobbysta, a pstrokate rybki trafiły do miejskiego zoo. Pozostała po nich kolorystyczną pustkę w życiu chłopca wkrótce zapełniły światy z kolejnych książek, potem wymarzone, wyproszone resoraki z Pewexu, aż wreszcie istoty najbarwniejsze z barwnych, czyli koleżanki. Przy czym resoraki poszły w kąć na długo przed końcem podstawówki, za to z książek i koleżanek Konrad nie wyleczył się już nigdy – choć tak po prawdzie nigdy nie próbował. Lecz nawet w chwilach największych uniesień dowolnej natury nie podejrzewał, że ów bezgraniczny, nieskalany błogostan, jaki osiągał w dzieciństwie przed bajecznym akwarium pradziadka, powróci do niego dopiero przed regałem z musztardą w całodobowym Tesco.

Zaparkował wózek przy majonezach i westchnął głęboko, pieszcząc rozmarzonym wzrokiem rzędy słoików i tub ze złocistą zawartością. Sarepska, czeska, francuska, rosyjska? Chrzanowa dla odmiany? Może klasyczna dijon? Osiołkowi w żłoby dano, lecz ten osiołek nie musiał się nigdzie spieszyć. Nikt mu nie wisiał nad głową, nie popędzał, nie marudził. Nikt też na niego nie czekał – w poniedziałki o tej porze Licho zwykle już dawno spało, otoczone wianuszkiem różowych królików, Turu Brząszczyk oddawał się swemu hobby, a utopiec pewnie znowu zaanektował laptopa i cichaczem zużywał transfer, wciągając internet megabit po megabicie. Tylko Konrad i lista zakupów na cotygodniowym *tête-à-tête* w blasku sklepowych halogenów. Mógł do woli przebierać w gatunkach, producentach i gramaturach, studiować składy, a nawet kręcić nosem nad stylistyką etykiet, szukając tej, która najlepiej wkomponowałaby się w zawartość domowej lodówki. A potem – na tę myśl jego dusza aż załkała, zdjęta niewypowiedzianą rozkoszą – potem, gdy do koszyka trafi w końcu

musztarda marzenie, musztarda ideał, godna bez mała osobnej gabloty w Sèvres, wtedy, ach, wtedy przyjdzie pora na koncentrat do jutrzejszej pomidorówki...

Sterczał zatem od dziesięciu minut przed tym samym regałem i z upodobaniem oddawał się analizom, wewnątrznie wniebowzięty, zewnątrznie zaś oklapnięty i zmizerniały. Jego diaboliczna uroda, która swego czasu skutecznie wodziła na pokuszenie, teraz zdawała się wyblakła i sprana, jak gdyby ktoś nadgorliwie wypłukał z niej wszelkie oznaki życia. Siwe pasma poczynały sobie coraz śmieiej w zmierzwionej czarnej czuprynie, okolone sińcami brązowe oczy zapadły się i przygasły. Wychudły, blady już nie intrygująco, lecz niepokojąco, ubrany w ciemny, krótki płaszcz, spod którego sterczały patykowate nogi w dżinsach, z jednej strony zwieńczone stopami w dawno niepastowanych butach, z drugiej zaś kościstym pozorem pośladków, Konrad Romańczuk w niczym nie przypominał posępnego muszkietera. Raczej przywiedły szczypiorek.

Gdy pod koniec minionego lata przyszło mu niespodziewanie opuścić Lichotkę – jako że ta w ciągu jednej nocy przeistoczyła się z nieco upiornego, lecz przytulnego, ceglanego domiszcza z gotycką wieżyczką w mało przytulne zgliszcza pośrodku niczego – i przenieść się do miasta, nawet przez chwilę nie podejrzewał, że ten nieplanowany powrót w rodzinne strony będzie go tak wiele kosztował. Początkowo nie widział żadnego problemu. Owszem, w nowym domu czuł się trochę jak gość w hotelu, z tą drobną różnicą, że tu nikt nikomu nie zmieniał niepostrzeżenie ręczników, ale znał dobrze ten stan i zdawał sobie sprawę, że to wkrótce minie. Kwestia czasu, niczego więcej. Uzbroił się zatem w cierpliwość i co rusz przetrząsał kolejne pomieszczenia w niekończących się poszukiwaniach utensyliów codziennej przyziemności: a to świeżej rolki papieru toaletowego, a to cieplejszego koca, a to średniego rondelka w sam raz na dwa jajka na półtwardo, stopniowo oswajając nieznaną mu przestrzeń, jej skrytki i tajemnice. O ile z tym jakoś sobie jeszcze radził, o tyle z całą resztą szło mu już nieco gorzej. Nim się obejrzał, zrazu chwilowa bezsenność zyskała status chronicznej, gdy mimo upływu czasu nadal nie mógł się przyzwyczaić do nocnych dźwięków nowego domu, które aż do późnych godzin nie dawały mu zmrużyć oka. Potem, o poranku, zasiadał półprzytomny do pracy przy obcym biurku, z obcym kubkiem pełnym kawy i spoglądając przez obce okno, chłonał obce widoki. I czekał, wytrwale czekał, aż mu przejdzie.

Tyle że wcale nie przechodziło. O czym najlepiej świadczyło to, że chociaż minął już wrzesień, a październik zdecydowanie zbliżał się ku listopadowi,

który z kolei groził rychłym nadejściem grudnia, skromny dobytek Romańczuka wciąż spoczywał nierozpakowany w torbie przy obcym łóżku.

Na dodatek szybko się okazało, że bez Krakersa na podorędziu nie było komu ogarnąć gotowania i wielu innych, boleśnie przyziemnych, acz niezbędnych domowych czynności. Zatem z braku wprawnych macek musiały się tym zająć mniej lub bardziej ludzkie ręce. Żywiący się poprzez namaczanie utopiec tylko prychnął i popukał się wymownie w czoło. Licho, owszem, bez słowa protestu podjęło wyzwanie, czemu pozostali domownicy najpierw przyklasnęli ochoczo, po czym zmienili zdanie, odkryli bowiem, że nieodłącznym elementem każdego posiłku w jego wykonaniu była solidna porcja przypalonego pierza. Anioł został więc, pod pozorem wieloletnich zaniedbań w tej materii, delikatnie oddelegowany do tego, w czym przodował, czyli do sprzątanía. Tym sposobem przyszła kolej Tura Brząszczyka, który co prawda na gotowaniu znał się mniej więcej tak jak Konrad na partenogenezie, za to nie zdradzał żadnych kompleksów na tym punkcie. Po dwóch tygodniach konsumpcji na przemian chińskich zupek, smażonej mortadeli i gumowych tostów z serem o smaku wosku Romańczuk, chcąc nie chcąc, odsunął na bok twórczość własną i zaczął zgłębiać tajniki kucharzenia.

Po czym pewnego słonecznego przedpołudnia wyciągnął ze skrzynki plik dawno niewidzianych kopert. To wtedy uświadomił sobie ze zgrozą, że domu nie wystarczy posiadać – trzeba go jeszcze utrzymać, że to jemu właśnie, jako nowemu właścicielowi, przypadł w udziale ten zaszczyt i że bez cudownych właściwości Licha w przestrzeni świętej pamięci Lichotki, które dotąd pozwalały mu zapomnieć o czymś tak przykrym jak płacenie rachunków, jego oszczędności wkrótce zaczną pomalutku, lecz nieodwołalnie topnieć. W związku z tym nie miał innego wyjścia, jak tylko na powrót rzucić się na wszelkie dostępne mu zlecenia. Tym oto sposobem błędne koło zamknęło się niepostrzeżenie – dopiero wraz z oficjalnym nastaniem jesieni Konrad ni stąd, ni zowąd odkrył, że nie wiezieć jak i kiedy znalazł się w potrzasku, na okrągło uwięziony między kolejną fuchą a mielonymi na dwa dni.

Krótko mówiąc, Konrada Romańczuka dopadła codzienność. Dopadła, cisnęła na glebę i skopała po nerkach.

Odkoczną od problemów niespodziewanie okazały się wyprawy do jedyne go w mieście całodobowego Tesco. W każdy poniedziałek późnym wieczorem, tak aby nikomu nie przyszło przypadkiem do głowy mu towarzyszyć, Konrad wsiadał do tico i zostawiwszy za sobą codzienność pełną wszystkich i wszystkiego, ruszał w daleką podróż aż za ścisłe centrum, gdzie

w bezpiecznej odległości od domu rozpościerała się magiczna kraina, jego wielkopowierzchniowa strefa komfortu. Przez dwie, trzy godziny wędrował alejkami, upojony samotnością, świętym spokojem i syntetyczną wonią świeżego pieczywa. A co najlepsze, przez cały ten czas ani razu nie musiał otwierać ust.

Także teraz, gdy w koszyku spoczywała już perfekcyjna musztarda w towarzystwie koncentratu doskonałego, pogrążony we własnych myślach Romańczuk przeszedł krokiem spacerowym do następnej alejki, gdzie wsiąkł ponownie, tym razem w makarony. Głęboko gardząc pomidorową z ryżem jako ostateczną profanacją tej szlachetnej zupy, osobiście preferował makaron w postaci jak najdłuższych nitek, wymagających konsumpcji metodą zamasztych siorbnięć; tymczasem pozostali domownicy obstawali przy mniej upierdliwych w obsłudze świderkach bądź – o zgrozo! – drobnych muszelkach, które wykazywały skłonność do masowego przysysania się do talerza, czym doprowadzały Konrada do białej gorączki. W przypadku rosółu wszyscy jednogłośnie wybierali krajanę, lecz gdy chodziło o pomidorową, każdy uważał własną wersję za bez mała kanoniczną. Rzecz jasna, Romańczuk mógł wziąć po paczce jedynego słusznego makaronu na łebka, jak to robił najczęściej, nie przeszkadzało mu to jednak w wykorzystaniu kolejnej okazji do głębokiej, niespiesznej zadumy.

Refleksyjny nastrój zburzyła dobiegająca jego niechętnych uszu dyskusja, jaka toczyła się z ożywieniem w przyległej alejce, którą opuścił zaledwie przed paroma minutami.

– ...to może ten? – Głos był męski i bez wątpienia udręczony.

– Zaledwie sto dwanaście gramów pomidorów na sto gramów keczupu – wytknął mu precyzyjnie głos drugi, oschły i nosowy. – I syrop glukozowo-fruktozowy zamiast cukru!

– No dobrze... A co powiesz na ten?

– Z koncentratu? Ty tak poważnie?

– Nie no, przecież, z koncentratu, gdzie ja mam głowę! A ten?

– Woda, zagęstniki, konserwanty...

– Na litość boską, keczupów na pół ściany, a my znów wrócimy z niczym! – W głosie pierwszym wyraźnie rozbrzmiewała już nuta hysterii. Jego właściciel ewidentnie nie miał serca do zakupów długodystansowych, czego nie dało się powiedzieć o jego towarzyszu, żarliwym wyznawcy kultu etykiet i składów.

– Słusznie. Jedna łyżka keczupu zawiera pół łyżeczki cukru – odparł rzeczowo głos drugi.

– Cukier krzepi!!!

– Doprawdy, alleluja! Wyłącznie próchnicę!

Z jedną ręką już wyciągniętą ku paczce świderków i paczką nitek w drugiej Konrad Romańczuk zdębiał. Alleluja? Alleluja? Ale... ale... jak to – alleluja? Jak? Skąd?!

W pierwszej chwili sądził, że się przesłyszał albo ma jakieś omamy. A może naprawdę nie powinien był dziś dojechać ziemniaczanej zapiekanki z sobotniego obiadu?... Coś uparcie mu jednak mówiło, że to nie wina zbyt intensywnego oświetlenia w sklepie ani nadmiaru starych tłuszczów na kolację, że ten stanowczy, wyniosły głos naprawdę rzucił gromkim „alleluja”. Zostawiwszy swój wózek, pomału, na miękkich nogach Konrad przeszedł na koniec alejki i wyjrzał ostrożnie zza węgła.

Na wysokości keczupów, w pozie charakterystycznej dla krańcowej rozpaczy, stał facet mniej więcej w jego wieku. Przeciętnego wzrostu i tężyzny, w okularach, z delikatną sugestią zakoli, które wgryzały się w linię ciemnoblonde włosów, w szarym sweterku wyglądającym spod kurtki, wydawał się całkiem zwyczajny. Nijaki wręcz. Konrad minąłby go na ulicy bez choćby jednego spojrzenia, za to jego towarzysza – za nic w świecie. Być może inni, niczego nieświadomi przechodnie dawali się nabrać na ten numer, lecz on wiedział aż za dobrze, skąd się biorą takie rozłożyste garby w kształcie paralotni.

Nie licząc ukrytych skrzydeł i skłonności do charakterystycznego wykrzyknienia, ten anioł stróż w niczym nie przypominał jednak drobnego, milusińskiego Licha. Ubrany w obszerny prochowiec w stylu porucznika Colombo, z kapturem dresowej bluzy naciągniętym głęboko na czoło i przysłaniającym – choć z tej odległości Konrad nie mógł ich dostrzec, był tego niemalże pewien – niespotykane u ludzi tęcze oczy, nie tylko wyraźnie górowały nad swoim człowiekiem posturą, ale też zdawał się go przytłaczać ogromem nieskrywanego potępienia, gdy tak z butelką keczupu w dłoni tokował na temat zawartości cukru w produktach spożywczych. Gdyby w połowie wyvodu wyciągnął zza pazuchy miecz ognisty, by przykładnie ukarać faceta w sweterku za zbrodnie przeciwko zdrowemu żywieniu i nieprzemysłane decyzje konsumenckie, Romańczuk wcale nie byłby zdziwiony. Co innego ochrona obiektu.

W pewnym momencie facet w sweterku zdał sobie sprawę, że ich dyskusja przyciągnęła niepożądaną uwagę. Obróciwszy się gwałtownie, dostrzegł wystającego konspiracyjnie zza regału Konrada i zbladł.

– Idziemy! – wychrypiał, wyrывая aniołowi butelkę keczupu i odstawiając ją pospiesznie na półkę.

– A co z kiszoną kapustą? Zawarte w kiszonej kapuście bakterie *Lactobacillus*...

– A srał je pies, idziemy!!! W tej chwili!

Anioł zmarszczył surowo brwi, za nic mając, że zdenerwowany facet w sweterku szarpał nim jak oszalały.

– Doprawdy, Pawle, człowiek z twoim wykształceniem i poziomem kultury osobistej...

– Rany boskie, czy ten jeden jedyny raz mógłbyś ze mną nie dyskutować i po prostu zrobić to, co mówię?!

Konrad tymczasem zebrał się w sobie i wyłonił zza zakrętu, wymownym gestem potrząsając w powietrzu paczką nitek.

– Alleluja! – wykrzyknął triumfalnie. – Alleluja!

– C... c-co?... – Facet w sweterku zastygł z palcami zaciśniętymi na anielskim prochowcu.

– On! – Romańczuk wycelował makaron w rosnącego anioła stróża. – Alleluja! Tak powiedział, alleluja!

Facet w ułamku sekundy przeszedł z trupiej bieli w czerwień pomidora.

– Ja pana nie znam! – zakrzyknął piskliwym głosem. – Nie znam pana! Pan mnie z kimś pomylił!

– Nie, nie, nie, ja wyraźnie słyszałem, jak pański...

– Nic pan nie słyszał! Nic a nic!

W przypiływie nadludzkiej siły facet szarpnął anioła raz jeszcze, tym razem ruszając go wreszcie z miejsca, i zaczął wlec za sobą w stronę wyjścia. Gdy znaleźli się na końcu alejki, ponownie obejrzał się na osłupiałego Konrada, któremu nawet do głowy nie przyszło, by za nimi pędzić, i wycharczał z dramatycznym wytrzeszczem:

– I żadne alleluja! Nie ma żadnego alleluja!!!



## Rozdział 2

Turu Brząszczyk był człowiekiem z zasadami.

Zasady te w przeważającej i przerażającej części zawierały silny pierwiastek rzyciowy, w związku z czym nie nadawały się za bardzo do cytowania w co elegantszym towarzystwie, takim w jednokolorowych skarpetkach, jako że zawierały tak zwane słownictwo, słownictwo zaś budziło konsternację. Turu bezbłędnie rozpoznawał objawy tej przykrej przypadłości. Przypominała zaparcie, tylko bardziej zniecka.

Tak czy owak, Turu swoje zasady miał i kultywował, wręcz hołubił, jak również chętnie przywoływał z niezmaconą beztróską, w razie czego służąc porażonemu atakiem konsternacji życzliwą poradą natury nieomal medycznej, ze szczególnym uwzględnieniem mądrości ludowych i osobistych doświadczeń. Gdyż choć natury dość grubo ciosanej, był przy tym człowiekiem niezmiernie przyjaznym otoczeniu, bez względu na to, czy otoczenie raczyło owo uczucie przyjąć do wiadomości, a co dopiero odwzajemniać.

Wiadomość o dokwaterowaniu zgrai pogorzalców powitał z ukontentowaniem. Na brak zajęć nie narzekał, ale życie w domu wypełnionym głównie pustką i wspomnieniami dłużyło mu się niemiłosiernie, odkąd przed półroczem został w nim sam jak palec. Wcześniej, przez dwadzieścia lat z okładem, jakie zdążył już spędzić pod tym dachem, Turu miał dziadunia, dziadunio zaś miał fantazję i bogatą kolekcję fobii. Z biegiem czasu gromadził ich zresztą coraz więcej, niczym znaczki albo fikuśne muszelki ze spacerów po plaży. Zapamiętałe dyskutował z telewizorem, rozstawiał po kątach spodki ze skondensowanym mlekiem dla pajaków, uchylał drzwi szaf, żeby się ubrania nie podusiły, głaskał uspokajająco gwoździe przed wbiciem, w książkach wyskrobywał żyłką kropki ze średników, których organicznie nie cierpiał, bał się pieprzu w ziarnach, a każdy dzień rozpoczynał od policzenia schodów od parteru aż po strych, co do stopnia, dla pewności, czy aby któryś się nie zawieruszył pod osłoną nocy. Przy okazji, acz niezamierzenie, oswajał dorastającego wnuka z myślą, że cały świat, a ludzki umysł w szczególności, bardziej niż schludnie zwinięty kłębek z jasnym początkiem, końcem i czymś na kształt sensu istnienia przypominał raczej wielobarwne pomieszanie z poplątaniem oraz mnogością

supełków, którego nijak nie szło rozplątać, by wydziergać coś konkretniejszego według sprawdzonego wzoru.

W rezultacie Turu przyjmował życie we wszelkich jego formach na klątę i nie dziwił się absolutnie niczemu, czym – paradoksalnie – często budził zdziwienie innych przedstawicieli swego gatunku. Gdy więc tego lata na progu stanęli nowi mieszkańcy, z dziedzicem włości na czele, wieloletnia zaprawa z fantastycznym dziaduniem przydała się mu jak nigdy dotąd. Zasmarkany anioł stróż tuptający po domu w bamboszkach? Kaśliwy utopiec, cały w oślizgłe pypcie? Przerośnięta kałamarnica zawodząca w rurach, bo nie sięgała z zaświatów do piekarnika? Proszę bardzo, wszak – i tu posiadacze jednobarwnych skarpet odruchowo zwierali pośladki – czym chata bogata, tym goście rzygają. Turu nie miał absolutnie nic przeciwko istotom nadprzyrodzonym, nawet gdy wrywały sobie pierze na ganku. I tylko różowe króliki od początku budziły w nim podskórny niepokój, głównie za sprawą zbyt nachalnego, jak na jego gust, umaszczenia.

Jak się wkrótce okazało, nie było to uczucie całkowicie pozbawione uzasadnienia.

Przyczajony wśród orgii roślinności dom, nad którym Turu od lat zawodowo, w zamian za dach nad głową, sprawował opiekę – wpierw wespół w zespół z dziaduniem i jego fantazją, potem zaś na własną rękę – mógł w pierwszej chwili sprawiać przytłaczające wrażenie. Zewnętrzna okazałość podsuwała rozbuchane wizje sali balowej z co najmniej jednym gigantycznym żyrandolem, biblioteki bez mała publicznej oraz kominka, w którym z łatwością dałoby się upiec konia z kopytami albo zaparkować średnich rozmiarów samochód. Tymczasem na wewnątrz składały się nieprzeliczone schowki, zaułki i zakamarki, a między nimi pomieszczenia, poupychane gdzie bądź i byle jak, byle więcej; pod względem powierzchni bardziej zasługiwały na miano klitek niż pełnowymiarowych pokojów. Owszem, w najprzestronniejszej z nich wszystkich kuchni do stołu mogły zasiąść aż cztery osoby jednocześnie, pod warunkiem jednak, że przez cały posiłek trzymały łokcie przy sobie i nikomu nie przyszło do głowy kiwać się na krześle.

Mimo postury zarówno wertykalnie, jak i horyzontalnie słusznej, którą osiągnął już w wieku wczesnomłodzieńczym, Turu Brząszczyk zawsze czuł się tu jak w raju. Architektoniczny malkontent zapewne uznałby ten budynek za rażący przykład planistycznego chaosu; realista od razu zwróciłby uwagę na wszechobecną ciasnotę i zasugerował wyburzenie tego lub owego; w oczach wszakże niepoprawnego optymisty, takiego jak Turu, który nie tyle poruszał

się po domu, ile przez niego przeciskał, był on ucieleśnieniem przytulnego zacisza, nawet jeśli owa przytulność w praktyce oznaczała nieplanowane chwile intymności ze stropami albo ścianami.

W tej gmatwaninie pomieszczeń, schodów i korytarzy miejsce dla nowo przybyłych znalazło się w zasadzie samo. Dom ochoczo nadstawił puste kąty, jak gdyby tylko czekał na ten nagły wzrost popytu na przestrzeń mniej więcej zdatną do zamieszkania. Utopiec od razu zaanektował zapomnianą łazienkę na parterze, gdzie przy akompaniamencie potępieńczego wycia z kranu nad żeliwną wanną leciała skąpym ciurkiem brązowa ciecz o upojnej dla utopcowych nozdrzy woni dojrzewającego zbuka. Licho z kolei wybrało piętro i zainstalowało się we wciśniętej między komin a schody ustronnej dziupli hen, na tyłach domu. Natomiast Konrad Romańczuk, choć bez wahania oddałby królestwo, konia i pół księżniczki za cichy azyl gdzieś na uboczu, z dala od wszelkich form życia i dźwięków, trafił do długiej, wąskiej klitki nad samym gankiem, która oprócz nieco osobliwego umeblowania – pamiątki po dziaduniu – i widoku na ogród miała też do zaoferowania światło dzienne w dawce większej niż homeopatyczna.

I tylko króliki, te po stokroć przekłete, wściekle różowe gadziny, zamiast zagnieździć się w pierwszej lepszej szafie albo kanciapie i tam oddawać czynnościom właściwym ich gatunkowi, rozpleniły się po całym domu i nim się Turu obejrzał, wpierdzieliły mu pierwszego Jezuska razem z całą frasobliwością.

Albowiem Turu Brząszczyk, z braku szans na tradycyjną wyprawę łupieżczą z elementami światopoznawczymi, od lat wczesnoszkolnych oddawał się w skrytości zarówno ducha, jak i ciała innej wielkiej pasji, jaką było majstrowanie dłutem. Wszystko zaczęło się od pewnej lekcji plastyki w czwartej klasie i kostki szarego mydła, którą po długich i zaciętych bojach zdołał przeistoczyć w coś pomiędzy Światowidem, klasycznym pucharem z czaszki pokonanego wroga a wyjątkowo zestresowaną wiewiórką. Nagrodzony czwórką na szynach bardziej za zapal niż dokonania natury artystycznej, wrócił owego przełomowego dnia do domu z buchniętym narzędziem w tornistrze i podniosłą pieśnią w sercu. Porzuciwszy wkrótce mydło na rzecz wdzięczniejszego drewna, od tamtej pory każdą wolną chwilę poświęcał dłubaniu. Szybko też poszerzył repertuar i oprócz pucharowiewiórek zaczął popępniać rozmaite postacie, ze szczególnym uwzględnieniem frasobliwych Jezusków i przysadzistych aniołków z zezem rozbieżnym, które dziwnym trafem wyjątkowo dobrze schodziły w pobliżu cmentarzy i reperowały permanentne dziury w domowym budżecie. Lata

praktyki pozwoliły mu doprowadzić frasunek do perfekcji – zez rozbieżny natomiast mniej więcej do okolic uszu.

Dziadunio, zbyt pochłonięty tropieniem średników, aż do końca swych dni pozostawał nieświadomy snycerskiej pasji wnuka. Co innego Konrad Romańczuk, który już na wstępie wyrznął piszczelą o suszący się akurat na ganku solidny pniak. Gdzieś między starannie dławionymi przekleństwami wyraził jednak zrozumienie, a nawet coś na kształt powściągliwej aprobaty dla pasji miejskiego wikinga. Trzy godziny i dwie zgrzewki piwa później aprobata wyraźnie zyskała na intensywności, obaj panowie zaś na promilach w wydychanym powietrzu. Po tak udanym początku Turu Brząszczyk stwierdził, że Konrad, choć z pozoru sztywny, jak gdyby go przy każdym kroku kij w *rectum intestinum* uwierał, w sprzyjających okolicznościach rozluźniał odpowiednie zwieracze i stawał się przyjemnym, dowcipnym kompanem, takim i do wypitki, i do śmichów-chichów, i do pseudofilozoficznych dysput na ganku do późnych godzin nocnych.

Potem jednak wraz z jesienią nadciągnęła szara rzeczywistość, przy okazji podrzucając rachunki, i ku wielkiej żalości Tura czort bombki strzelił. Świat Romańczuka skurczył się do kuchni, biurka z laptopem i coponiedziałkowej trasy dom–Tesco. O ile pracę zawodową jeszcze jako tako ogarniał, o tyle w kuchni sprawował się wprost fatalnie, cierpiąc przy tym za miliony, choć gotował zaledwie dla trojga. A gotował, trzeba mu oddać sprawiedliwość, z rozmachem i ambicjami. Zamiast zacząć od podstaw, na przykład banalnych schabowych, którym groziło co najwyżej przypalenie, rzucił się od razu na głęboką wodę kuchni świata. Szalę przeważało danie z miejsca obwołane Starym Meksykaninem – gdyż tylko przedstawiciel tego narodu, ze szczęką wytrenowaną przez lata nieustannego żucia tytoniu i suszonego oślego mięsa, zdołałby uporać się z tym, co trafiło na talerze domowników. Znalazły się w tym kawałki żyłastej wołowiny, niedogotowane warzywa z przewagą łykowatych strączków i, dla odmiany, kompletnie rozgotowany ryż, wymieszane razem w niedosoloną, za to przepieprzoną breję. I chociaż jedna z kluczowych dla przeżycia zasad Tura głosiła, że w dupie przegród nie ma, a co cię nie zabije, z pewnością spróbuje ponownie, to nawet jemu niełatwo było się zmierzyć z tym, co tego feralnego dnia zaserwował Romańczuk. Na ich szczęście grobowe milczenie, jakie zawisło wtedy nad kuchennym stołem niczym smog nad Krakowem, nie zdołało ująć jego uwadze. Stary Meksykanin wkrótce odszedł w niepamięć, choć nie obyło się bez pomocy herbaty miętowej w znacznych ilościach, a Konrad, ku powszechnej radości, oddał się szlachetnej sztuce rosołu.

W rezultacie rosół jedli przez bite dwa tygodnie.

Przez następne dwa – pomidorową na tymże rosole.

Po miesiącu na stole zaczęły się dla odmiany nieśmiało pojawiać mielone, po nich zaś pierogi ruskie i placki ziemniaczane polane śmietaną albo sosem z torebki, wszystko to albo bez smaku, albo ze smaku nadmiarem. Nikt nie ośmielił się jednak protestować i wszyscy pałaszowali ten żelazny repertuar dwóch zup i trzech dań drugich, tak silna była wśród domowników pamięć o Starym Meksykaninie. Ale nie tylko dlatego. Bo Konrad – o czym dożywotnicy wiedzieli już od dawna, Turu zaś dopiero się przekonywał na własnej skórze i żołądku – był zarówno w życiu, jak i w kuchni pracoholikiem z przerostem odpowiedzialności oraz złoślikiem z tendencją do popadania w przesadę, która równie dobrze mogła się objawić popisowym wybuchem sarkazmu, jak i hałdą ruskich na następne trzy dni.

Co innego takie Licho. W przeciwieństwie do swojego człowieka było roztkliwiająco kochane, prostolinijne, po dziecięcemu naiwne, a przy tym złąknione życzliwości – i bardzo, ale to bardzo przygaszone, co umykało Romańczukowi, natomiast dobrotliwemu Turowi już nie. A że frasobliwe anioły, na dodatek bez zeza, nijak nie mieściły się w jego światopoglądzie, to wszystko aż się w nim skręcało, gdy tak patrzył, jak z każdym rzuconym w biegu przez wiecznie pochłoniętego czymś Konrada „Licho, nie teraz” pocieszne stworzonko markotniało coraz bardziej, a potem człapało zrezygnowane do swojego pokoju, by nie wyściubić stamtąd nosa przez następne godziny.

Zasięgnawszy dyskretnie rady utopca po tym, jak Romańczuk spławił go swoją mantrą, Turu zastosował wielokrotnie sprawdzoną broń, czyli uderzeniowe dawki cukru. Dzień w dzień, zgodnie z przenajświętszą ze wszystkich zasad, która mówiła, że kto rano wstaje, ten idzie po bułki, zrywał się skoro świt przed dziewiątą i pędził do najbliższej piekarni za kilkoma rogami, by potem z dumą postawić przed aniołem stróżem talerzyk kruchych ciasteczek z marmoladą albo prawie domową szarlotkę oraz kubek kakao z górą pianek. I również dzień w dzień Licho konsumowało grzecznie podsuwane mu słodkości, a Turu dalej rwał włosy z brody, nie mogąc dojść, w czym dokładnie tkwi sęk. W tym układzie, z osowiałym aniołem zamkniętym w pokoju i drażliwym pisarzem miotającym się ustawicznie między laptopem a garami, Turu Brząszczyk zaczął się w końcu poważnie zastanawiać, jak by tu sprowadzić na pomoc owego Krakersa, którego zawołanie co rusz dobiegało z głębin wszechświata za pośrednictwem domowej hydrauliki. Wszak co jak co, ale kilka par solidnych wprawnych

macek zapewne zdołaloby wbić Konradowi to i owo do łba, a przy okazji może upichcić coś zjadliwego.

Niestety, nawet one nie rozwiązałyby ostatniego problemu, jaki ni stąd, ni zowąd zwał się im na głowę.

Konrad twardo udawał, że nie było tematu. Że nic się nie stało. Zagajony, nie reagował. Sam z siebie nie mówił o tym, pewnie też nawet nie myślał. Śnić nie miał kiedy. Co innego Licho, które najpierw wylało morze łez, potem nieśmiało próbowało pytać, aż w końcu dało sobie spokój i tylko od czasu do czasu stawało w jednym z okien na parterze i machinalnie zraszając badyłka, jak urzeczony wypatrywało znajomej postaci, która nie wracała ranki i wieczory. Utopiec zaś, jak to utopiec, generalnie miał gdzieś wszystko, co wykraczało poza jego porastającą glonami wannę.

Turu Brząszczyk natomiast...

Cóż. W każdy poniedziałek późnym wieczorem, kiedy Licho już spało, a Konrad wyruszał z misją po chleb tostowy, mydło i święty spokój, Turu Brząszczyk zachodził potajemnie do wysokiej, zimnej piwnicy, przystawał na najwyższym stopniu, zapalał światło i przez kilka chwil wpatrywał się w swoją największą miłość i dumę – na wpół ukończony drewniany drakkar w skali mikro. I myślał. Myślał o dziaduniu i jego średnikach. O zapadającym się w sobie, wiecznie zagonionym Romańczuku, z którym nie tak znowu dawno temu całymi wieczorami przesiadywał na ganku, nigdzie się z niczym nie spiesząc. O tych nielicznych chwilach, kiedy w tęczy oczach Licha zapalała się szczerą, niczym niezmacona radość. O Jezuskach, które musiał jeszcze wykończyć, zanim nadejdzie listopad.

A przede wszystkim o swoim pięknym, wymarzonym drakkarze z imponującą smoczą głową na dziobnicy, w którym głęboko na dnie, z dala od niepowołanych spojrzeń, na posłaniu z pachnących lasem wiórów, spowite w stary jutowy worek spoczywało zimne, nieruchome ciało.



## Rozdział 3

W środę Konrad nie zdzierzył.

Zasiadłszy tego dnia do późnego obiadu, zadumał się na amen nad nieoczekiwanym spotkaniem anielskiego stopnia. Nie dawało mu spokoju, odkąd tamtej poniedziałkowej nocy wrócił do domu bez idealnej musztardy, bez koncentratu doskonałego, które zostały w porzuconym pośrodku alejki wózku, za to z samotną paczką makaronu w garści i wielkim mętlikiem w głowie. A wszystko to przez jedno niewinne „alleluja”.

No dobrze, może nie takie całkiem niewinne. Raczej podszyte potępieniem, watowane poczuciem wyższości i szczerze haftowane reprimendą wycelowaną w niesfornego człowieka, który ośmielił się pojechać wieczorem na zakupy – ot tak, po prostu, bez merytorycznego przygotowania. Tak czy siak, abstrahując od kroju i zdobień, bez wątpienia było to „alleluja” jak się patrzy i padło z ust najprawdziwszego anioła stróża. Takiego z krwi, kości i świętego oburzenia.

A jeszcze do niedawna Romańczuk żywił głębokie przekonanie, że nikt poza nim anioła nie posiada, nie i już. Po sprawie. Choć musiał przyznać, że tak naprawdę nigdy, nawet po tamtej aferze z niedoszlą konfiskatą Licha, nigdy się nie zastanawiał, dlaczego to właśnie on, niepoprawny bezbożnik i przypadkowy dziedzic dalekiego krewnego, którego imię wciąż wylatywało mu z głowy, miałby być owym szczęściarzem, wybrańcem sił wyższych, ewenementem na skalę światową i tak dalej. Wszak niejednemu psu Burek, a zatem należałoby raczej uznać, że takich jak on istniały jeśli nie całe chmary, to chociaż kilka sztuk rozsianych to tu, to tam po całym globie. Jednak dotychczasowe życie w Lichotce, z dala od innych ludzi, zgiełku i rytuałów masowej codzienności, dodatkowo wzmacniało w nim owo ni to słodkie, ni to gorzkie poczucie, że nikt poza nim nie wiedział, co to znaczy regularnie depilować anioła stróża.

No właśnie – czy wszystkie anioły wymagały depilacji?...

W rezultacie Konrad ciągle się zawieszał – to nad laptopem, to nad parą niekoniecznie świeżych skarpetek, to nad zlewem pełnym naczyń, usiłując ogarnąć natłok pytań, które uparcie pozostawały bez odpowiedzi. Także i teraz zastygł niczym myśliciel Rodina nad talerzem dwudniowej pomidorówki, ślepy i głuchy na cały świat, ze szczególnym uwzględnieniem

toczącej się przy kuchennym stole wymiany poglądów natury okołokulinarnej.

– No i się upaćkałam... – westchnęło Licho, spoglądając markotnie na ociekające zupą kłębowisko makaronu, które ni stąd, ni zowąd ześlizgnęło mu się z łyżki, by przypuścić szturm na koszulkę. Jasnoczerwone zacieki skwapliwie wsiąkały w żółty materiał.

Turu Brząszczyk siorbnał i pokiwał głową ze zrozumieniem, jako że długie nitki zdażyły już przyozdobić także i jego dorodną brodę. Kolejna właśnie zsunęła mu się z dolnej wargi i dołączyła do poprzedniczek. Pomału zaczynał się czuć niczym Davy Jones kuchni polskiej.

– A mówiłem mu, żeby wziął świderki – mruknął między jedną łyżką a drugą pod unurzonym w pomidorówce wąsem. – To nie, znowu wrócił z kordonkiem...

– Może świderków nie było? – podsunęło Licho w pierwszym odruchu życzliwości. Po krótkim wahaniu podwinęło nogi wraz z bamboszami pod pupę, by usiąść ciut wyżej i na wszelki wypadek nachylić się głębiej nad talerzem pułapką.

Turu parsknął, mało się przy tym nie dławiając.

– A juści, w całym Tesco ino musztarda i ocet!

– I kordonek! – dodał anioł stróż z uśmiechem, na dowód unosząc własną łyżkę.

Dopiero co pieczołowicie wyłowiony makaron jakby tylko na to czekał – zsunął się czym prędzej i z cichym pluśnięciem wrócił tam, skąd przybył. Tym razem do barwnego rozbryzgu na koszulce załapała się również natka pietruszki, zdecydowanie ożywiając kompozycję pod względem zarówno kolorystyki, jak i bogactwa faktur.

– Ojoj...

Turu wzniósł tylko oczy ku sufitowi. Licho, choć trwale zaimpregnowane na ironię, bez oporów wchłaniało odzieżą wszystkie płyny, z którymi co rusz wchodziło w nadmiernie bliską styczność. W zasadzie nic dziwnego, że obsługę pralki, bez względu na model i liczbę programów, miało opanowaną na poziomie co najmniej mistrzowskim, jeśli nie olimpijskim, skoro samo regularnie zapewniało sobie popyt na tę usługę.

– A Krakery to czasem sam robi makaron... – rozmarzyło się tymczasem, zapatrzone w zawartość swojego talerza. – Własnoręcznie, alleluja. Znaczy, własnomackowo – uściśliło. – Taki kolorowy! Zielooony i czerwoony, i żóóółty, i nawet... – tu zmarszczyło czoło, jak gdyby wpadło prosto na dość już wiekowy, acz dotąd starannie omijany dysonans – ...nawet czarny!

Turu łypnął na nie ponad stołem.

– Czarny? – powtórzył, wietrząc nadciągający szkopolik.

– Czarniusieńki! – potwierdziło Licho.

– Czarny makaron? Domowej roboty? Od przerośniętego głowonoga?

– Raczej nogogłowa – poprawiło Licho po głębokim zastanowieniu. – Z naciskiem na nogo. Bardzo dużo nogo. Ale to przerośnięcie to by się nawet zgadzało, Krakersik zawsze wierzył w solidne posiłki. Takie z co najmniej jednym deserem.

Z lekka skonsternowany Turu zaniechał pomidorówki i podrapał się po brzuchu.

– Wiesz, Liszko – zaczął powściągliwie – ja to bym tego metodą własnomackową tak do końca nie nazwał...

W miarę jak tłumaczenia wikinga zyskiwały na detalach i obrazowości, ze szczególnym uwzględnieniem części intymnych zestresowanych mątów i innych głowonogów, tęczowe oczy anioła stróża robiły się coraz większe i większe, by ostatecznie osiągnąć rozmiary spodków mieszczących głębokie wewnętrzne wstrząśnienie w proporcjach pół na pół z niedowierzaniem.

– Znaczy, że Krakers... do tego makaronu... tak jakby...?

– No, nawet bardziej niż tak jakby...

Stropiony Turu nie zdążył dodać nic więcej, ponieważ Romańczuk naraz drgnął, jak gdyby go ktoś dźgnął bez pardonu w chudy półdupek, a potem wyprostował się z szaleńczym błyskiem w oku. Coś w nim dojrzało i nie wahało się czym prędzej uzewnętrznić.

– Dobra! Raz kozie śmierć – wycedził znad nietkniętej zupy z podstępny makaronem. – Licho, łap za kapotkę! – zaordynował energicznie, zrywając się od stołu. – Jedziemy! Czekał, tylko gdzie ja posiałem kluczyki...

Zaskoczony nagłym zwrotem akcji anioł stróż natychmiast zapomniał o głowonogach, za to z wrażenia aż zaczął kichać serią.

– Kiedy ja nie mam kapotki! – pisnął bezradnie, odzyskawszy wreszcie panowanie nad twarzą.

Zmierzający dziarsko na poszukiwanie samochodowych kluczyków Romańczuk zatrzymał się w drzwiach. W porządku, akurat tego nie przewidział. Rzeczywiście, z pożaru Licho wyszło tak, jak stało, ale był przekonany, że potem sprawił mu coś na grzbiet, na sto procent. No, w zasadzie to na dziewięćdziesiąt dziewięć. A może to była pani Kusa?... Nie no, na pewno miało na grzbiet coś cieplejszego od bawełnianej koszulki, przecież Konrad by zauważył, gdyby jego własny, osobisty, niemalże spersonalizowany anioł stróż z braku stosownej odzieży nie wyściubiał nosa

z domu, odkąd nastąpiła jesień! Co z niego byłby za człowiek, gdyby... gdyby...  
– Paltocik? Kufajka? – podsuwał z narastającą rozpaczą, lecz anioł tylko kręcił głową. – Cokolwiek?...

– A może być ciepły śpiworek?

Jasny gwint.

– Żaden problem! – skwitował Konrad Romańczuk z optymizmem równie szczerym co tombak. – W takim razie dopiszemy nową kapotkę do listy dzisiejszych nieprzewidzianych zakupów.

– I szaliczek?

– I szaliczek – przytaknął Konrad.

– I czapczkę?

– Tak, oczywiście, czapczkę też... I rękawiczki do kompletu! – dorzucił szybko sam z siebie, widząc, że Licho znowu otworzyło usta. Niestety, wcale ich przez to nie zamknęło.

– To może i kaloszki?...

Jasny, jasny gwint.

– Obkupimy cię od stóp do głów, przysięgam, ale najpierw musimy jakoś wyjść z domu.

– A weź no, bratku, kopsnij się na strych – poradził życzliwie Turu. Przemieścił talerze ze stołu do zlewu, nie zawracał sobie jednak głowy zmywaniem. – Stoi tam taka szafa, stara jak węgiel, a wielka jak stodoła. Bez pudła coś w niej wyszperasz. Jeśli nie zgrabny kawał futrzaka, to chociaż przejście do Narnii.

Na samą myśl o mozolnej wspinaczce na strych Romańczukowi coś się robiło w środku.

– A ty nie miałbyś nic pożyczyć, tak na szybko? – zapytał z nadzieją.

Turowi nawet powieka nie drgnęła, gdy spojrział w pierw na Konrada, następnie na Licho, mocarne duchem, postury jednakowoż dość nikczemnej, wreszcie zaś na własny okazały bęben, który wznosił się i rozpościerał dobry metr nad ziemią. A potem znów na Konrada.

Dotarło.

– Słusznie, cofam pytanie. Idę szperać.

Drzwi na strych znajdowały się u szczytu drewnianych schodów – przedpotopowych, zakręcających bez opamiętania, nadgryzionych zębem czasu i niejednego pokolenia korników. Każdy kolejny stopień skrzypiał, trzeszczał bądź zawodził wedle własnych nut, a balustrada chybotwała się pod dłonią absolutnie nie do taktu. W powietrzu zaś im wyżej, tym wyraźniejsza unosiła się sugestia szczodrych pokładów kurzu i pajęczyn. Dyndająca gdzieś

hen pod stropem samotna żarówka ledwo oświetlała Romańczukowi drogę, gdy tak wspinał się i wspinał z misją zdobycia zastępczego przyodziewku dla Licha.

Sam strych natomiast, jak nakazywała tradycja, okazał się wielki, pogrążony w odpowiednio sugestywnym półmroku i należycie zagrożony. Wałąc co rusz małym palcem to u jednej, to u drugiej nogi w chyba każdy wrogo nastawiony kant, jaki się tylko napatoczył, Konrad krążył przez chwilę pośród złogów cudzej przeszłości w poszukiwaniu szafy. Znalazł ją kawałek dalej, w głębi – ogromną, przepastną, wypełnioną aż po brzegi duszącą wonią niegdysiejszej lawendy i dobrami gromadzonymi na legendarny wszelki wypadek. Metodą prób i błędów Romańczuk domacał się w końcu krótkiego, zapinanego na kołeczki kożuska, który powinien pomieścić jednego anioła i parę wyskubanych skrzydeł. Dopchnąwszy kolanem drzwi szafy, już miał wyruszyć ze swą zdobyczą w długą drogę powrotną, gdy wtem jego uszu dobiegł zaskakujący dźwięk. Nie był to ani trzask ciężko pracującego drewna, ani bębnienie ulewy o zdezelowany dach, ani też tupot gryzoni, rącho przemykających między stertami dobytku. A już z pewnością nie pomruk istoty z piekielnych głębin, wertującej przepisy na domowe wypieki. Raczej – Konrad przyznał sam przed sobą z oporami, jako że jego uszy trwały przy swoim, za nic mając podszepty skonsternowanego rozsądku – raczej przytłumione, ożywione szwargotanie na kilka głosów.

Zdjęty ciekawością i niepokojem, a przy tym także nieodpartym wrażeniem, że już to chyba ostatnio przerabiał i nie skończyło się to dla niego najlepiej, Romańczuk zanurzył się głębiej w labirynt, z duszą na ramieniu wypatrując kolejnego w tym tygodniu Minotaura.

Na malowanej skrzyni pod niewielkim, upačkanym oknem siedzieli trzej młodzieńcy w rozchełstanych zielono-niebieskich mundurach i przy blasku karbidówki jak gdyby nigdy nic grali sobie w skata. Zdawali się w pełni podzielać konsternację Konrada, który ni stąd, ni zowąd stanął przed nimi, by następnie przemienić się w słup soli.

Najmniej zagubiony młodzieniec zerknął na kolegów, po czym, najwyraźniej odwoławszy się instynktownie do wielokrotnie sprawdzonych procedur, szybko odłożył karty, wstał, obciągnął mundur i odgarnął grzywkę z czoła.

– *Em... Heil?...* – Dłoń drgnęła mu niepewna, czy wystrzeliwać w powietrze, czy może jednak lepiej dać sobie spokój.

Za to Konrad nie miał w tej kwestii żadnych wątpliwości.

– NIE!!! – ryknął, mało się przy tym nie zapowietrzył. – Nie! Paszoł mię

z tym won do lamusa! Won, mówię! Mamy rok cwaj tażen i... a, szlag z tym, ileś tam! Cwaj tażen! Cwaj!!! – Na wszelki wypadek zaprezentował za pomocą palców, ile to cwaj, z pominięciem tażenów. – Hitler kaput i... i szlus, do jasnej cholery!

Młodzieńcy spojrzeli po sobie.

– *Schluss?*...

– Definitywnie szlus! – zazgrzytał rozjuszony Konrad, a potem okręcił się na pięcie i jak burza pognał w kierunku wyjścia. Zaraz jednak zawrócił. – Szlus, fest i na zicher! – dodał dobitnie i tyle go widzieli. – Nie, nie, ja mam dość, ja mam tego wszystkiego serdecznie dość! – mruzczał pod nosem raz po raz, gnając na złamanie karku z powrotem na parter, gdzie czekali Turu z Lichem, które w międzyczasie zdążyło wydobyć skądś przydużą czapę z imponującym pomponem. – Najpierw to... – machnął histerycznie w bliżej nieokreślonym kierunku, o mało nie spadając z ostatnich stopni – ...a teraz jeszcze to!!! – Tym razem machnięcie, choć nie mniej energiczne, było wyraźnie wycelowane w strych.

– Myszy znowu się zagnieździły? – strzelił zaintrygowany Brząszczyk.

– Nie, Prusacy!

– Prusaki? Na strychu?!

– Nie prusaki, tylko Wehrmacht! – odwarknął Konrad, rozpościerając zdobyczny kożuszek przed aniołem stróżem. – Masz, powinien mniej więcej pasować.

– Oj tam, nie desperuj, bratku. Przecież od początku ostrzegałem, że podobno mieszkają tam...

– Turu, skarbeńku ty mój najmilszy, a wyczuwasz subtelną różnicę między hipotetycznym „podobno” a organoleptycznym „Niemcy rzną na strychu w skata”?

– Nie wiem jak ty, ale ja z dwojga złego wolałbym w skata niż... niż w wojnę – wybrnął gładko Turu, zanim Romańczuk zdążył go spopielić wzrokiem, a następnie zebrać prochy szufelką i zmiotką.

Licho tymczasem zapięło starannie wszystkie kołeczki aż po samą szyję i uśmiechnęło się, zerknąwszy do lustra. W nieforemnym kożusku i czapie z pomponem do złudzenia przypominało kieszonkową wersję dzwonu Zygmunta – i z pewnością przykuwało uwagę.

– No i jak wyglądam? – zapytało, nad wyraz zadowolone z siebie.

– Jak pół dupy zza krzaka – rzucił Turu konspiracyjnym szeptem do Konrada, a ten tylko jęknął w duszy. Brakowało mu już i sił, i germanizmów, żeby raz jeszcze przelecieć się na okupowany strych po inną kapotkę



zastępczą.

– Trudno. – Machnął w końcu ręką. – Lepiej nie będzie. Jedziemy!

– Ale... ale tak w zasadzie to dokąd? – zapytało Licho, wyzierając spod czapy, która milimetr po milimetrze osuwała mu się coraz bardziej na czoło i wyraźnie zmierzała w stronę nosa.

Romańczuk wcale a wcale nie grał na zwłokę, gdy tak obmacywał każdy centymetr płaszcza w poszukiwaniu kluczyków. Niestety, naraz brzęknęły mu pod dłoń w wewnętrznej kieszeni, rujnując cały misterny plan.

– Do Tesco – odparł jak gdyby nigdy nic.

W pierwszej chwili anioł i wiking spojrzeli po sobie, osłupiali z lekka, by zaraz zakrzyknąć zgodnie:

– Do Tesco? W środę?!

## Rozdział 4

Ustrojone w zdobyczną czapę z pomponem i starannie spowite hektarami kożuszka Licho zostało usadzone na poddupniku na tylnej kanapie tico, po czym ruszyło na podbój wielkiego miasta.

Z tej kumulacji nerwów Konradowi całkiem wyleciało z głowy, że nie tylko była środa, a nie poniedziałek, ale za oknem w najlepsze panował też dzień. Może nie taki do końca biały, raczej w odcieniach obiecującej szarówki, z pieszczącą nozdrza bogatą nutą smogu w asyście delikatnej jesiennej mgły, ale jednak. Wybór miał zatem następujący – mógł albo zawrócić, narażając się tym samym na dociekliwość Tura, albo krążyć po mieście aż do zapadnięcia choćby wstępnych wieczornych ciemności, o ile zawartość baku łaskawie pozwoli, albo wystawić los na nie lada pokusę i już teraz wkroczyć między ludzi z aniołem stróżem przebranym za dzwon.

Pierwsza ewentualność odpadała w przedbiegach. W kwestii drażnienia tematu Turu mógłby zawstydić nawet chińskich oprawców, o dociekliwych pięciolatkach nie wspominając, a Konrad nie miał teraz ani sił, ani cierpliwości do zręcznych wykrętów. Nie miał też ochoty ganiać po całym Tesco z Brząszczykiem na karku, czym bez wątpienia skończyłaby się ich przedwczesna konfrontacja. Facet w sweterku sprawiał wrażenie znerwicowanego – na widok rozpędzonego wikinga nieborak mógłby się łatwo spłoszyć i jeszcze wpaść pod wózek albo co... A nawet bez tego szanse, że postanowi wrócić po keczup właśnie dzisiaj, o tej porze, do tego samego hipermarketu, w którym przed dwoma dniami napatoczył się na uzbrojonego w makaron Konrada, prezentowały się mizernie.

Co innego szanse, że kogoś zainteresowałoby garbate dziecko w workowatym kożuszku. One z kolei miały rozmiary bezsprzecznie imponujące.

Romańczuk zerknął we wsteczne lusterko. Licho siedziało z rozdziawioną gębą na tylnej kanapie, bez reszty zaaferowane nieznanymi mu widokami, które przemykały za szybą. Uśmiechnął się pod wąsem. U mało kogo beton, asfalt i szarzyzna zdołałyby wywołać podobne doznania. Do tak bezwarunkowego, ślepego na wszechobecną bylejąkość zachwyty nad światem potrzeba było bezgranicznej prostoduszności, osiągalnej tylko dla małych dzieci – i niewiele od nich większych aniołów.

Bo już te bardziej wyrosnięte...

Tu Konrad mimowolnie pokręcił głową. Wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, jak bardzo anioł stróż faceta w sweterku różnił się od Licha, zarówno prezencją, jak i usposobieniem. Jeden wyrosnięty, wyniosły i nachalnie upierdliwy, drugi zaś drobniutki, ujmujący i... cóż, upierdliwy może niewiele mniej, za to na swój własny rozczulający sposób. Niczym awers i rewers jednej monety – dwa skrajnie odmienne oblicza tej samej istoty. Konrad nawet nie próbował sobie wyobrazić, co by było, gdyby zamiast zasmarkańca w bamboszach trafił mu się taki rosły upierdliwiec z inklinacją do pouczeń, która jak amen w pacierzu weszłaby w natychmiastową reakcję z jego choleryczną naturą.

W tym oto momencie spłynęło na niego olśnienie.

Już na pierwszy rzut oka dało się stwierdzić, że obydwaj anioły niezaprzeczalnie różniły się od siebie. Dokładnie tak samo różnili się ich ludzie, Romańczuk oraz facet w sweterku, piekielnik i pantofel. Tak, klasyczny pantofel – Konrad widział i słyszał wystarczająco dużo, by nie mieć co do tego żadnych wątpliwości. Podczas gdy anioł w prochowcu perorował wytrwale na temat składu trzymanego w dłoni produktu, facet w sweterku wciąż balansował na krawędzi hysterii, usiłując przetrwać tyradę i mimo wszystko wybrać ten po stokroć przeklęty keczup; Romańczuk na jego miejscu już dawno wpadłby w szal i próbował zatłuc gada butelką. Ale pod jednym jedynym względem byli identyczni – każdy z nich starannie ukrywał tożsamość swego anioła stróża przed postronnymi. A to oznaczało, że przed zapadnięciem ciemności facet w sweterku nie wyściubiłby nosa z domu.

Konrad rzucił okiem na wskaźnik paliwa i szybko przeliczył w myślach wydolność swojego konta. Na ułamek sekundy zrobiło mu się ciemno przed oczyma, zacisnął jednak zęby. Trudno. Najwyżej doleje więcej wody do następnego rosołu.

Spojrzał na zegarek, a potem raz jeszcze w lusterko. Miał teraz trochę wolnego czasu do zagospodarowania i parę zachowanych na taką właśnie chwilę intymności pytań, na które mogło mu odpowiedzieć tylko Licho.

Odchrząknął.

– Licho... Ja... ja nie chcę cię wystraszyć ani nic, bo to pewnie zabrzmiałoby dziwnie, ale... skąd ty się wzięłaś? No bo... no bo, samo rozumiesz, znaczy, mam nadzieję, naprawdę wielką nadzieję, że ty rozumiesz, a ja nie muszę wdawać się w szczegóły, że tatuś anioł, mamusia anioł i tak dalej, te sprawy, no że one raczej nie wchodzi w grę, wiadomo, tyle że anioł nie drożdże i nie pączkuje, więc... więc skąd? Skąd tak w zasadzie biorą się anioły? No bo

przecież muszą się skądś brać, prawda?

Jego osobisty anioł stróż zmarszczył czoło w zadumie. Czapa jakby tylko na to czekała i z impetem zsunęła mu się na nos.

– Raczej znikądś – pisnęło Licho spod natarczywej wełny.

– Słucham?

– Raczej znikądś. Gdybym wzięło się skądś, to najpierw byłoby troszku. A ja najpierw nie byłam wcale, a potem byłam już całkiem – wyjaśniło rzeczowym tonem, podciągając czapę za pompon. – Czyli wzięłam się znikądś.

– Tak... tak po prostu? Spadłoś z nieba? Wyskoczyłoś Wincentemu spod hełmu?

– Wincenty nie nosił hełmu, tylko cylinder, alleluja, a z cylindra nie wyskakują aniołki, tylko króliczki – poprawiło Licho z godnością. – Może z wyjątkiem Rudolfa Valentino, bo ona głównie wyskakuje zniecka. A ja to spadłam w zeszłym roku z choinki. I raz z pralki, jak zapomniałam, że ustawiłam takie naprawdę mocne wirowanie. I parę razy z saneczek. A ty pamiętasz, skąd się wzięłaś? – zainteresowało się żywo.

– No... no nie, pamiętać to nie pamiętam – przyznał Konrad. – Ale nikt nie pamięta – zaznaczył pospiesznie. – Znaczący, nie tak od samego początku, tylko od pewnego momentu. Naukowcy dowiedli, że u większości ludzi wspomnienia sięgają mniej więcej trzeciego roku życia. Więc nie pamiętam dokładnie, skąd się wzięłam, tak komórka po komórce, za to wiem, jak to się mniej więcej odbyło. To dość powszechnie znany i... powielany mechanizm. Zresztą, Licho, już kiedyś o tym rozmawialiśmy, ze szczegółami i rysunkami, i... i... i szczerze mówiąc, wolałbym tego nie powtarzać.

– Ale... ale skoro sam mówisz, że nie pamiętasz, to skąd wiesz, że cię nie robią w balona?

– Ze starożytnej księgi trolli – wypalił zdesperowany Konrad, plując sobie w brodę, że w ogóle zapuścił się na ten grząski grunt, zamiast zawrócić na pierwsze chlupnięcie błočka pod podeszwą.

Licho aż podskoczyło na poddupniku, a razem z nim całe tico. Niewiele brakowało, żeby siedzący za kierownicą Konrad, na zasadzie dźwigni, strzelił głową w sufit.

– Ooo... A czy trolle rozmnażają się przez cylinder, czy przez pączkowanie?

– Obstawiałbym raczej ruchy tektoniczne.

Geologia była gruntem zdecydowanie bezpieczniejszym niż życie płciowe dowolnego gatunku, dlatego Romańczuk, choć erozja kojarzyła mu się teraz

głównie ze szklivem, przywołał co do okruszka resztki wiedzy z czasów szkolnych, byle tylko Licho zapomniało o rozmnażaniu. Zdążyli objechać pół miasta i dojść od ostatniego złodowacenia do węgla kamiennego, zanim w końcu zapadł prawdziwy wieczór i mogli w miarę bezpiecznie zajechać pod Tesco. Na wszelki wypadek odsiedziawszy jeszcze kwadrans na parkingu, anioł stróż i jego człowiek wkroczyli do krainy, gdzie zamiast cieni zaległy mandarynki po trzy dziewięćdziesiąt dziewięć za kilogram.

\*\*\*

Konrad Romańczuk czuł, że siwieje.

Już od godziny miotał się po całym Tesco, tłukąc kilometr za kilometrem. Dla niepoznaki pchał przed sobą wózek i od czasu do czasu wrzucał do niego przypadkowe produkty. Z oczyma dookoła głowy i duszą na ramieniu wypatrywał faceta w sweterku, który mógł tego dnia przywdziać kamuflaż i okazać się na przykład facetem w kaszkiecie, facetem w klapkach lub nawet zapuszczonym facetem z zaczątkiem zarostu. Z pewnością jednak będzie facetem z aniołem szczerego potępienia na karku – co do tego Konrad nie miał żadnych wątpliwości.

Minuty mijały, kilometry leciały, a Romańczuk ganiał niezmordowanie tam i nazad jak kot z pęcherzem. Lecz nigdzie nie natknął się ani na anioła stróża w prochowcu, ani na faceta w sweterku. Za to już dwukrotnie zdążył zgubić Licho.

Za pierwszym razem nie zorientował się nawet, że w ogóle je zgubił, dopóki nie wpadł na Licho w dziale z chemią gospodarczą, gdzie z wyrazem wniebowzięcia na pyzatej gębie wpatrywało się w najprzeróżniejsze specyfiki do czyszczenia absolutnie wszystkiego. Zdezorientowany Konrad popatrzył bezmyślnie za siebie, gdzie powinno dreptać wedle jego najszczerzego przekonania, zobaczył jednak pustkę – a potem znów przed siebie, gdzie spodziewał się pustki, za to ujrzał anioła. Strużka zimnego potu spłynęła mu wzdłuż kręgosłupa.

– Licho, ty tak tu długo...?

– Oj, długo – odparło zgodnie z prawdą, nie odrywając wzroku od mleczek, żeli i płynów. Wyciągnęło rękę w górę. – Konwaliowy, alleluja.

Romańczuk bez namysłu ściągnął psikacz do szyb z wysokiej półki i wręczył aniołowi wraz z surowym napomnieniem, żeby się więcej tak po tajniacku nie oddalał.

Ile dokładnie trwało owo więcej, tego Konrad nie potrafił konkretnie

ocenić, choć osobiście dałby sobie rękę uciąć, że co najwyżej parę minut. No, góra paręnaście. Zdawało mu się, że gdzieś w oddali mignęła postać w prochowcu, ruszył więc w tę stronę wariackim pędem, minął nabiął i wyhamował dopiero w okolicach pieczywa, gdzie zaczął się rozglądać jak opętany.

To właśnie wtedy zreflektował się, że zamiast Licha od pewnego czasu wytrwale podążał za nim ochroniarz, czujny i zaintrygowany.

– Pan coś zgubił, proszę pana? – zagaił grzecznie zdyszanego już Romańczuka.

– Co? Ja? Zgubił? Nie, nie zgubił... Znaczy, tak! Tak, zgubiłem! Zgubiłem Li... yyy, dziecko! Dziecko zgubiłem!

– Li? Zgubił pan dziecko, które ma na imię Li? – upewnił się ochroniarz.

– Tak! Właśnie tak! Li! Małe, chińskie dziecko! Ma pan coś przeciwko małym, chińskim dzieciom?!

Ochroniarz, profesjonalista w każdym calu, natychmiast wyczuł delikwenta. Facet, choć postury średnio dorodnej gałęzi, sprawiał wrażenie wypchanego agresją niczym przytulanka trocinami. Wystarczyło ścisnąć odrobinę za mocno, żeby eksplodował, strzelając oczkami na lewo i prawo. A eksplozje i rykoszety na terenie obiektu kolidowały z prorodzinną polityką firmy.

– Nie no, skąd. To może ja zaraz... – Zaczął pomału sięgać po krótkofalówkę, żeby przekazać stosowny komunikat do centrali.

– NIE! Znaczy, nie, dziękuję, naprawdę nie ma takiej potrzeby. Może jest małe, ale za to bardzo, bardzo przebiegłe jak na swój wzrost. Znaczy, na wiek. Na pewno siedzi w jakimś kącie i zawija w te sreberka...

Z zamierzchłych czasów szkolenia zawodowego ochroniarz pamiętał, że wariatów lepiej nie drażnić, tylko im przytakiwać w celu uspienia czujności. Dlatego zakołysał się statecznie na piętach, kiwając przy tym głową, jak gdyby chciał tym miarowym ruchem uspokoić i siebie, i tego niestabilnego jegomościa.

– Na pewno, na pewno. A tak poza tym... wszystko w porządku, proszę pana?

– W porządku...? – powtórzył bezwiednie Konrad, a potem nabrał powietrza i popłynął z prądem. – Nie! Nie w porządku! Zostawiłem żelazko na chodzie, znaczy, nie żelazko, żonę zostawiłem, też na żet, znaczy, żonę w ciąży, ale nie że tak całkiem, znaczy, owszem, żona całkiem w ciąży, ale nie że całkiem zostawiłem tę żonę, tylko że w samochodzie, a ten samochód z żoną na chodzie, tak jedno w drugim, wie pan, ciąża w żonie, żona

w samochodzie i tak dalej, taka matrioszka, a bezołowiowa teraz po pięć dwanaście za litr, więc sam pan rozumie...

I tu spotkało go zaskoczenie, albowiem ochroniarz, owszem, rozumiał. Rozumiał jak mało kto. Trzeci miesiąc z rzędu harował na dwie zmiany, byle zaspokoić apetyt tej harpii wiecznie nienasyconej, wiecznie żądnej cebulowych krakersów, kiełbasy jałowcowej i pralinek o smaku pistacjowym, którymi dzień w dzień karmiła siebie i swoje drugie już, równie żarłoczne młode, dojrzewające gdzieś w cieniu jej żołądka bez dna, bez umiaru.

– Czekał pan – rzekł, po czym zaczął szybko mamrotać do krótkofalówki. Po kilku chwilach krótkofalówka zatrzeszczała i odmamrotała coś w tajemnym ochroniarskim narzeczu. – Małe takie, kurdupłowate, w takim czymś?... – ochroniarz zwrócił się do Konrada.

– Małe, kurdupłowate, w takim czymś. Wypisz wymaluj.

– No to leć pan na odzieżówkę. Zaparkowało przy rajtkach.

Istotnie, Licho z psikaczem pod pachą zaparkowało przy rajtkach – a dokładnie to przed lustrem zawieszonym tuż obok rajtek. Właśnie dumano nad rozmiarem kurteczki, kiedy tuż obok wyrósł zziajany, spocony Romańczuk z żądzą mordy w oczach.

– Za... za... duszę!... – wyrzeźił, po czym bez zbędnych ceremonii wpakował Licho, tak jak stało, do sklepowego wózka. – I siedź tu!

– Ale moja kurteczka! – zaprotestowało oburzone zza metalowych prętów.

Zgrzytając zębami, Konrad zgarnął upuszczoną kurteczkę z podłogi i ciepnął do wózka w ślad za aniołem.

– A szaliczek?...

– ...rrrwaaa!

– Na rwę to są podobno takie plasterki... – zdążyło jeszcze bąknąć Licho, zanim zniknęło pod pierwszym lepszym zestawem czapeczkowo-szaliczkowym, jaki nawinał się Romańczukowi pod rękę.

Obciążony aniołem wózek pruł zygzakiem przez kolejne sklepowe alejki, nieustannym brzękiem i terkotem zagłuszając złorzeczenia Konrada, który z każdym następnym krokiem tracił bezpowrotnie nadzieję, że uda mu się dziś spotkać z facetem w sweterku.

I wtedy go dostrzegł. Kątem oka, cudem niemalże, gdy mignął mu gdzieś za plecami – ale dostrzegł!

W ułamku sekundy puścił wózek i głuchy na pisk odjeżdżającego Licha rzucił się z powrotem do głównej alejki, ledwo wyrabiając na zakręcie. Facet w sweterku przystanął raptem kawałek dalej. Jego anioł stróż właśnie ładował do ich wózka cztery zgrzewki wody mineralnej z taką łatwością, jak

gdyby ważyły tyle co puch.

– Ej! – ryknął elokwentnie Romańczuk.

Facet w sweterku, który to sweterek okazał się dla odmiany granatową koszulą, drgnął spazmatycznie, po czym obejrzał się przez ramię i ujrzał swego poniedziałkowego prześladowcę. Niewiele myśląc, całym ciałem naparł na wózek.

– Nie, czekaj! – zawołał Konrad. – Chcę tylko pogadać!

– Nie mamy o czym! – wydyszał facet w sweterku, choć bez sweterka. Jak można było z łatwością przewidzieć, wózek ani drgnął. Anioł tymczasem wstawił do niego kolejną zgrzewkę.

– No właśnie w tym sęk, że mamy!

– Odczep się pan, słyszysz? Odczep!!!

– Człowieku, dajże mi dojść...

– Won, natręcie! Zboczeńcu! Chamie jeden!!! Do jasnej cholery, ile ty jeszcze tej wody zamierzasz tu wpakować?!... – wydarł się dla odmiany na swojego anioła.

Konrad szybko potoczył wokół wzrokiem, czy kolejne zamieszanie z jego udziałem nie przyciągnęło znów nadgorliwego ochroniarza z poczuciem misji.

– Ja... ja mam mniejszego! – wypalił bez namysłu.

Na te słowa facet w końcu ucichł i znieruchomiał. Zamarł wręcz, zdjęty zgrozą, podczas gdy jego umysł kłusował ręczo w ślad za pewną bardzo niepokojącą wizją. Chwilę potrwało, zanim odważył się odwrócić.

– W sen... w sensie, że co?... – zapytał nie bez obaw, gotów w każdej chwili porzucić wodę i salwować się ucieczką przed natrętem, chamem i zboczeńcem w jednej patykowatej osobie.

– Że anioła! – uściślił Konrad czym prędzej. – Anioła mam. O, takiego. – Rzucił się do alejki po uciekinierski wózek, w którym siedziało mocno spłoszone Licho z kurteczką otoczone przez papier toaletowy, psikacz do szyb, suchą karmę dla kota, smerfowe pianki, paczkę ryżowych wafli, pół litra tabasco i spory zapas grochówki w proszku, po czym wrócił z nim ile sił w nogach i dokonał prezentacji. – Proszę! Widzisz? Anioł. Jak żywy. Licho, przywitaj się z panem.

– ...leluja...

– Leluja... – odparł odruchowo zdębiały pan.

Obejrzawszy się na własnego anioła, który trwał niewzruszenie przy mineralnej, podszedł ostrożnie do wózka, zaskoczony, zdezorientowany, ale też nieodparcie zafascynowany Lichem. Licho zaś, wygramoliwszy się spod



kurteczki, uśmiechnęło się do niego grzecznie, acz niepewnie.

– To... to miniaturka?

– Nie, nie, skąd! – zapewnił Konrad, zaraz jednak się stropił. Kolejna sprawa, nad którą nigdy się nie zastanawiał. – Znaczy, chyba nie... Nie wiem, inny model?...

– Albo rocznik?

– Rzeczywiście, bardzo możliwe... Myślisz, że jeszcze urośnie?

Facet poskrobał się po głowie.

– Czort jeden wie... Mój niby od początku był taki wyrośnięty, ale może to twój mieści się w normie, a mnie się trafił egzemplarz promocyjny? Limitowana edycja specjalna albo co?



Przez chwilę wpatrywali się obaj w małego anioła z zaintrygowaniem i niepokojącą intensywnością, jak gdyby przymierzali się do autopsji, planując już linie cięcia. Licho poczuło osobliwe uwieranie w jestestwo – i wcale nie miało przez to na myśli wózkowych drutów, które coraz to natarczywiej wpijały mu się w pupę.

– Tak w ogóle to Konrad jestem – zreflektował się naraz Romańczuk.

– Paweł, miło mi. Chociaż, nie powiem, człowieku – otarł czoło wciąż drżącą dłonią – podniosłeś mi ciśnienie...

– Wybacz, ale ja naprawdę muszę z tobą pogadać. Widzisz... – Romańczuk rozejrzał się bacznie, czy ktoś im się nie przysłuchuje, po czym zniżył głos do gorączkowego szeptu – ...widzisz, aż do zeszłego poniedziałku żyłem w przekonaniu, że nikt poza mną nie ma anioła stróża. Że to moje Licho jest jedyne w swoim rodzaju.

Paweł nic nie odpowiedział, tylko popatrzył w zamyśleniu na wzmiankowane Licho, które tuliło kurteczkę, łypiąc wstydliwie zza papieru toaletowego. A potem zerknął przez ramię na własnego anioła – dumnego, postawnego i niewzruszonego niczym statua na grobie.

– Mieszkasz przypadkiem gdzieś w okolicy? – zapytał wreszcie Konrada.

– No... no nie, przypadkiem nie. Mieszkam na obrzeżach, stąd to kawał...

Paweł rozpromienił się w ułamku sekundy, jak gdyby liczył właśnie na taką, a nie inną odpowiedź. Klasnął rażno w dłoń.

– W takim razie nie ma co zwlekać! Zbierajmy się! Nie, czekaj, byłbym znowu zapomniał o keczupie...

Dzięki wsparciu Romańczuka, o wiele bardziej wytrwałego i biegłego w tej materii niż Paweł, tym razem wybór keczupu zakończył się bezspornym triumfem człowieka nad aniołem. Przebrnąwszy raz-dwa przez kasy samoobsługowe, cała czwórka wyległa na parking i zmierzała do stojącego na uboczu tico.

– A moje kaloszki?... – pisnęło nieśmiało Licho z głębin wózka, ale nikt nie zwrócił na nie uwagi.

## Rozdział 5

Przy drugiej herbacie Paweł Zawadzki rozkleił się jak stary trzewik.

Dotarłszy z Tesco do domu na obrzeżach, obydwaj mężczyźni wysłali swoje anioły na piętro z przykazem grzecznej integracji gatunkowej, sami zaś zamelinowali się w kuchni, żeby pogadać w cztery oczy. Przez następne dwie godziny, pochłaniając kompulsywnie ciasteczko za ciasteczkiem, Paweł wylewał żale przed Konradem.

– On mnie strzeże. Strzeże, rozumiesz? Niby nie ma w tym nic dziwnego, no bo w końcu to anioł stróż, więc skoro stróż, to strzeże, logiczne, co ma robić, jak nie strzec? Od tego przecież jest, prawda? Tyle że on to robi obsesyjnie. Całodobowo. Bez żadnych, absolutnie żadnych wyjątków. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, zgodnie z etosem. Tylko bardziej. I to strzeże przed wszystkim, a kiedy mówię „wszystkim”, to mam na myśli naprawdę, ale to naprawdę wszystko. Przed syropem glukozowo-fruktozowym, tłuszczami utwardzonymi, cukrem i GMO – wyliczał monotennie – przed zawianiem, krwawieniem dziąseł, zadyszka, próchnicą i wrastającym paznokciem, przed błotem pośniegowym, nadmiarem bodźców, dopłatami za media, szkodliwymi treściami w internecie i przymałowymi slipkami. Serio, pilnuje, czy mnie gacie nie cisną. Ale na tym nie koniec! – Tu Paweł zaśmiał się histerycznie, po czym porwał z talerzyka kolejne ciasteczko. – O, nie, skądże znowu – wybełkotał, plując okruszkami. – On mi również pomaga. Ale nie w domu, nie myśl sobie. Nie ma tak dobrze! Tsadkiel sobie byle czym rąk nie zabrudzi, śmieci prędzej same z kubła wypelzną, niż on je wyniesie. Bo widzisz, mój drogi, zmywanie, sprzątanie, pranie to są wszystko czynności przyziemne, a on został stworzony do celów wyższych. Wróć! Nie stworzony – powołany! – wykrzyknął teatralnie. – Dlatego latem zainstalował mi w komputerze blokadę rodzicielską, żebym przypadkiem nie oderwał się od projektu. Ja jestem inżynier procesu, nie żaden tam haker, i gdyby nie znajomy magik, pewnie do tej pory nie dostałbym się do własnej poczty. Ani do dokumentacji, którą miałem złożyć w robocie już w zeszłym tygodniu, ale nie złożyłem, ponieważ Tsadkiel bardzo mi przy niej pomaga. Tak, pomaga. Pomaga mi ze wszystkim. Czy siedzę nad dokumentacją techniczną, czy rozwiązuję krzyżówkę w programie telewizyjnym, on zawsze wisi nade mną jak wyrzut sumienia. Wspiera radą. Sugeruje zmiany. Podsuwa źródła.

Sprawdza wyliczenia. Wygładza szyk. Poprawia przecinki. Analizuje krój i rozmiar czcionki, interlinię, szerokość marginesu, podział na akapity. Nie mogę nawet esemesa wysłać, żeby mi go nie sprawdził pod każdym możliwym kątem. I nie skrytykował... – dodał ponuro, po czym ugryzł ostatnie ciasteczko.

Marszcząc brwi, Romańczuk poruszył się niespokojnie na krześle. Opowieść Pawła brzmiała znajomo, alarmująco znajomo. Sam wciąż usiłował wyprzeć wspomnienia o Malwecie, duchu łąk, jak również innych przebłyskach poetyckiej inwencji, które nieszczęsny panicz Szczęsny, niepoprawny romantyk i wielokrotny samobójca, gorliwie dopisywał mu do plików. Konrad wciąż miewał koszmary na tym tle. Budził się wtedy zlany potem i bez względu na porę czy stopień przytomności czym prędzej sprawdzał zawartość laptopa.

– A na domiar złego – podjął Paweł, uporawszy się z ciasteczką – on bez przerwy dyskutuje. Dyskutuje!!! O wszystkim! Powiesz w kiblu nową rolkę papieru i przez godzinę będziesz się gęsto tłumaczył, dlaczego w tę stronę, a nie w drugą, skoro badania nowozelandzkich fizyków molekularnych dowodzą, że w drugą rolka rozwija się efektywniej! A spróbuj wstawić naczynia do zmywarki niezgodnie z wielostronicową instrukcją... – Pokręcił głową. – Raz źle włożyłem nóż do koszyka na sztuce. Tsadkiel przez trzy godziny truł mi o bezpieczeństwie i higienie pracy.

– Tyle dobrego, że nie ma ognistego miecza... – mruknął Romańczuk ponuro znad swojego kubka.

– Miał – odparował Paweł z goryczą, gapiąc się tępo na talerzyk, już bez ciasteczek. – Ale Kaśka mu skonfiskowała, kiedy trzeci raz z rzędu wypalił nam dziury w wykładzinie.

„Szanuj anioła swego, bo nie dostaniesz nowego”, rzucił raz Szymon Kusy, pół żartem, pół serio ostrzegając Konrada, by nie zaniedbywał Licha. Choć gdyby dane mu było poznać Tsadkiela, z pewnością zmieniłby zdanie. Na przykład na: „Szanuj anioła swego, bo możesz dostać gorszego”.

I to o wiele.

– Wiesz, ja w zasadzie nie powinienem narzekać – przyznał Paweł niechętnie. – Mogło być gorzej, kumplowi ze Śląska trafił się kobold. Ten chciwy padalec nie dość, że zamienił życie jego rodziny w piekło, to na dodatek od lat zabiera mu całą pensję, pakuje w fundusze inwestycyjne i odmawia wypłaty zysków. A ukrywane przed nim dochody tropi lepiej niż urząd skarbowy.

Romańczuk o mały włos nie utopił się w herbacie. Odkrztusiwszy wreszcie

zdradziecki płyn, odstawił z hukiem kubek na stół i wbił w Pawła niedowierzające spojrzenie.

– Chwila, moment! Jaki znowu kobold?! Jak to – trafił? Jak? Skąd?!

– No w spadku – odpowiedział Paweł takim tonem, jak gdyby to była najoczywistsza oczywistość.

– Ja też dostałem spadek! – zakrzyknął poruszony Konrad, zachodząc w głowę, czy to zwykły zbieg okoliczności, kolejny już z serii, czy może jednak reguła. Zasada wręcz? – Po... jakimś tam dalekim krewnym! Stary dom, a w nim Licho i jeszcze paru innych dożywotników.

– Bo to zawsze jest spadek – odparł flegmatycznie Paweł Zawadzki. – Nieoczekiwany spadek z niewinnym dożywociem. I wszyscy się na to nabierają. Jak dzieci, jak dzieci...

– Zawsze? Wszyscy? Czyli ty też odziedziczyłeś Tsadkiela?

Paweł skinął głową.

– Po kuzynie pradziadka ze strony świętej pamięci matki, razem z kolekcją breloczków. Całkiem ładnych, nie powiem. Łącznie pół tony żelastwa. Nie miałem gdzie tego trzymać, więc puściłem je na aukcji za przyjemną sumę. Tsadkiela już się nie dało.

– No tak, w końcu to żywy anioł...

– Martwego też nikt nie chciał, chociaż nawet proponowałem, że go wypcham na własny koszt. – Westchnął, po czym spojrzał na Romańczuka, wyraźnie szukając u niego zrozumienia, pocieszenia nawet. – A... a to twoje Licho? Jak się sprawuje?

Konrad potrzebował chwili, żeby się otrząsnąć.

– Licho? Cóż... Licho... – Odchrząknął, podrapał się po nosie, następnie wziął jeszcze spory łyk herbaty. Po tym, co właśnie usłyszał, trochę bał się przyznać, że jego anioł stróż nie wykazywał podobnych ciągót ku natrętnemu dydaktyzmowi z elementami dyktatury. Wprost przeciwnie. – No więc Licho głównie... sprząta.

– Sprząta – powtórzył Paweł głuchym głosem.

– No. Sprząta. Dużo. Bardzo... bardzo to lubi. Ma do tego cały osprzęt, baterię środków, autorskie metody i tak dalej. Taki mały bzik. O, dzisiaj nawet kupiło sobie nowy psikacz do szyb, chociaż w domu stały już trzy. No, ale nie konwaliowe.

I to był właśnie ten moment, kiedy Paweł nie zdzierzył i zwyczajnie zalał się łzami.

– Ja... ja już nie mogę, ja już po prostu nie mogę... – załkał żałościwie. – On mnie wykończy, jak nic. Mnie, moją karierę i moje małżeństwo! Chcemy

z Kaśką... próbujemy... znaczy, chcielibyśmy próbować... no wiesz. Dziecko. I nic. Nic, rozumiesz? Od siedmiu miesięcy. Nic!

– W sensie, że...?

– Ja nic!!! JA!!! – Paweł zadudnił pięścią we własną pierś. – Nie mogę!!! No nie mogę i już, choćby skały srały! Rany boskie... – Złapał się za głowę, przyciskając dłonie do skroni. – Mieszkamy w kawalerce, dość widnej, nawet ustawnej, lokalizacja też bardzo dobra, ale na litość boską, to jest zaledwie trzydzieści pięć metrów kwadratowych. Trzydzieści pięć! Plus miniaturowy balkon, żeby było gdzie ze trzy pary gaci latem rozwiesić. My z Kaśką gnieździmy się w pokoju z chomikiem, a Tsadkiel śpi w kuchni, na połówce. Tuż za ścianą z karton-gipsu. I ja... ja w tych warunkach nie mogę. Nie mogę!!! Ni cholery!!! Ciągłe się boję, że w kluczowym momencie on... on wejdzie i... i zacznie mnie pouczać!...

Groza tej sytuacji w pełni dotarła do Romańczuka. Abstrahując od elementarnej męskiej solidarności, wystarczyło, że przypomniał sobie przejażdżkę z Tsadkiem na tylnym siedzeniu tico, którą miał wątpliwą przyjemność odbyć tego dnia. Nawet podczas kursu na prawo jazdy nikt nie cytował mu tak obficie kodeksu drogowego, zwłaszcza przepisów dotyczących zatrzymania przed zieloną strzałką, dozwolonej prędkości w terenie zabudowanym z uwzględnieniem tonażu pojazdu, natężenia ruchu, stanu nawierzchni i warunków pogodowych, jak również manewru zmiany pasa, sygnalizacji zamiaru skrętu i tym podobnych. Wszystko to zaś opatrzone obszernym komentarzem na temat stylu jazdy siedzącego za kierownicą Konrada, równie spokojnego co skazaniec na moment przed długą i bolesną egzekucją.

– Żona mi grozi rozwodem. Lekarz wylewem i załamaniem nerwowym, zapewne jednocześnie. Kierownik technologiczny... już nawet sam nie pamiętam, bo od pewnego czasu grozi mi regularnie i przestałem nadążać. Wszyscy bez przerwy mi czymś grożą. Wszyscy! A przecież ja znam języki, mam w rękę konkretny, uczciwy fach, mógłbym zabrać Kaśkę i wyjechać za granicę, nawet do Stanów, zarabiać krocie... tylko że żaden urząd nie wystawi paszportu aniołowi stróżowi! – Wyszarpnął z kieszeni chusteczkę i wysmarkał nos. – Ty... Ty nie wiesz, jak to jest. Tobie trafiło się Licho, które bardzo lubi sprzątać, a nie Tsadkiel. Ale uwierz mi, to całe dożywocie naprawdę potrafi się rzucić człowiekowi na mózg. Mamy na forum takiego jednego faceta. Mieszka gdzieś w Bieszczadach, sam jak palec. Pięć lat temu, razem z bezworkowym odkurzaczem po babci, odziedziczył trzy tęsknice. Siostry. Wiesz, kim są tęsknice? To takie widma, co to snują się wszędzie ze

spuszczoną głową, owinięte w burą szmatę, przesiadują na cmentarzach, a jak dopadną kogoś żywego, to mu tłoczą Weltschmerz prosto do żył jak kroplówkę. A facetowi trafiły się aż trzy, rozumiesz? W pakiecie razem z życiem na kompletnym odludziu i rodzinną skłonnością do depresji. No i pękł. Pewnego dnia obejrzał *Szósty zmysł* i od tamtej pory wydaje mu się, że jest jak Bruce Willis. Nijak nie idzie go przekonać, że wcale nie umarł, że po prostu... po prostu widzi duchy. Z odkurzacza. – Nagle Paweł złapał Romańczuka za mankiet i szarpnął z szaleńczym błyskiem w zaczerwienionym, zażawionym oku. – Konrad, ja nie chcę tak skończyć. Nie chcę, nie mogę!!! Błagam!...

– C-co? Ale co mnie do tego?

– Poratuj! Masz... – urwał, zaraz jednak zebrał się w sobie, niesiony rozpaczą – ...masz duży dom. Masz własne dożywocie, nawet własnego anioła stróża. Weź... weź mojego do siebie. Nie mówię, że na zawsze, ale...

Romańczuk zerwał się momentalnie, wpadając z impetem prosto na kuchenny kredens. Naczynia zabrzęczały w stanowczym proteście, jakby jednocząc się z jego duszą we wspólnym przerażeniu.

– O, nie, nie, nie! Nie!!! Zapomnij! Po moim trupie! Już ja dobrze wiem, czym to pachnie! Ty masz Tsadkiela, ja miałem Szczęsnego. Panicza. Poetę! I to nie byle jakiego poetę – romantycznego!!! Zatrzymał mi życie, upijał anioła, dopisywał cichaczem poezję do prozy, topił się w stawie, uprawiał byronizm i malował się na wściekłą pandę. Trzeba było nieszczęścia, żebym się go raz na zawsze pozbył, a ty chcesz mi teraz wpakować na kark jeszcze gorszego upierdliwca?!

– Czyli masz też doświadczenie? – Na twarzy Pawła po raz pierwszy rozkwitnął promienny szczery uśmiech.

– No ma... Ooo, nie! Nie dam się podejść, cwaniaczku!

Niezrażony Paweł pomału nabrał powietrza, jak gdyby zbierał siły do ataku.

– Konrad, proszę... – zaczął spokojnie.

– Nie!

– Błagam...

– Nie!

– ZAPŁACĘ!

– Nie... co?...

– Zapłacę. Tyle ile chcesz, choćbym miał sprzedać nerkę. Pełen zwrot wszystkich kosztów utrzymania plus rekompensata za straty moralne i pracę w szkodliwych warunkach. Z góry. I bezzwrotna kaucja na poczet



ewentualnych strat materialnych! – dorzucił z rozpędu, nawet przez ułamek sekundy nie odrywając od Romańczuka znękanego, błagalnego spojrzenia. – Konrad, błagam. Daj mi chociaż miesiąc. Jeden miesiąc, trzydzieści dni. No, albo dwa, góra dwa! Powiedzmy, do końca roku. Żebym zdążył uporać się z projektem i... no... no wiesz, z Kaśką. Może nawet udałoby się nam rozejrzeć za jakimś większym metrażem, wy badać kwestię kredytu... – Wstał od stołu i podszedł do bladego, zmartwiałego Romańczuka, powoli, żeby go nie wystraszyć jeszcze bardziej. – Błagam, Konrad. Tylko w tobie moja nadzieja. Jam ran twoich niegodzien całować, ale jeśli będzie trzeba, to padnę przed tobą na kolana, na twarz, pokłony czołem bić będę, teraz, zaraz. Ja... ja naprawdę nie chcę skończyć jak Bruce Willis w Bieszczadach!!!

– A ja to niby chcę?! – jęknął Konrad. Siwiał, siwiał w oczach, na bank, czuł to każdą udręczoną cebulką na równie udręczonej głowie, na łydkach nawet!

– Tylko na dwa miesiące. Dwa miesiące i raptem kilka dni! I będzie po wszystkim, przysięgam na grób dowolnego krewnego. – Widząc, że jego zarliwe apele nie przynoszą oczekiwanego skutku, Paweł z determinacją zacisnął usta. W tej sytuacji pozostał mu już tylko jeden argument. – Dobrze. Posłuchaj. Ty pomożesz mnie, a ja tobie. Masz pytania, prawda? Ale nie wiesz, gdzie szukać odpowiedzi. A ja wiem. Wprowadzę cię. Na forum dla takich jak ty i ja.

Rozejrzawszy się pośpiesznie po kuchni, złapał leżący na parapecie zbłąkany długopis, wyciągnął z kieszeni portfel, z portfela zaś stary paragon i szybko zapisał coś na odwrocie. Złożywszy go na pół, zacisnął mocno pięść, po czym uniósł – razem z drugą, pustą.

– Decyduj. Wybierzesz niebieską pigułkę – pomachał pustą pięścią – i nasza bajka się kończy, tu i teraz. Ja wracam do mojego wściekłego świata i szykuję się na załamanie, a ty żyjesz długo i szczęśliwie w wielkim domu z jednym aniołem stróżem, miluśkim, maluśkim i tak dalej. Ale jeśli wybierzesz czerwoną... – Zawiesił głos i uniósł wymownie pięść skrywającą paragon.

– To co, Morfeuszku? Zacznę chodzić w sztucznej skórze i kłaniać się kulom? – sarknął Konrad jadowniczo.

– Niewykluczone – stwierdził Paweł, mężczyzna na krańcu desperacji. – Nie takie siły Tsadkiel potrafi obudzić w człowieku, możesz mi wierzyć. Ale głównie to będziesz miał przesrane. Jak w ruskim czołgu.

\*\*\*

Dochodziła pierwsza nad ranem, a Konrad wciąż tkwił w stuporze. Wręcz trzymał się go kurczowo niczym brzytwy pośród morskich odmětów, zdjęty przerażeniem na samą myśl o tym, że prędzej czy później przyjdzie mu zmierzyć się z rzeczywistością, która już stała u progu, przebierając niecierpliwie odnóżami. Tuż przed nim na kuchennym stole leżał złożony na pół paragon.

Starął się. Naprawdę się starał. Walczył jak lew, jak całe lwów stado, miotał się po kuchni niczym w klatce, na przemian to rycząc wniebogłose, to rwąc włosy z grzywy. A ten szatan wcielony, ten parszywiec, ten drań plugawy, szuja, kanalia i padalec w jednym, nic, tylko stał i patrzył. I kusił. Z zaciśniętą na paragonie pięścią czekał spokojnie, aż Romańczuk albo wyrzuci go za drzwi, albo pęknie. Nie miał nic do stracenia.

I cóż z tego, że Konrad bronił się i wzbraniał, opierał i wzdragał, póki sił w chuderlawym ciele, skoro po głowie tłukła mu się wciąż ta myśl nęcąca, myśl o cyferce, niewinnej i niepozornej, za którą jednakże czał się szereg zer? Cóż z tego, że wizja następnych dwóch miesięcy, dzień w dzień, pod jednym dachem z Tsadkiem przyprawiała go o głowy ból, duszy jęk, skoro dach ów był równie dziurawy co jego konto?

Miotał się zatem, klął i złorzeczył, choć od samego początku, odkąd z ust Pawła padła konkretna kwota, doskonale zdawał sobie sprawę, że na próżno się szamocze i szarpie, że to wyłącznie kwestia czasu. Że w końcu podda się i pęknie. Pękł zatem, bo cóż mu innego pozostawało? Uległ pokusie krągłych, lubieżnych zer i zaprzedał święty spokój, własny i domowników, dorzuciwszy na dokładkę duszę osobistą jęczącą w zamian za judaszowe srebrniki. Płatne gotówką.

A teraz jakiś głos, ponury i zrezygnowany, szeptał mu cicho, cichuteńko do uszka, że to nie może, po prostu nie może skończyć się dobrze.

## Rozdział 6

Ostatnia sobota października zaczęła się strugami rześistego, zimnego deszczu, którymi wiatr tłukł zapamiętałe o szyby. Pomimo bardzo wczesnej pory Licho leżało bezsennie w swoim łóżku, opatulone po sam nos kołderką i otoczone pochrapującymi różowymi królikami. Leżało, zapatrzone w badylek na parapecie, i dumало.

Nieoczekiwaną wyprawę z Konradem do miasta powitało z wielką ekscytacją. Nie przejmowało się wcale, że w skompletowanym metodą partyzancką przyodziewku wyglądało jak mała pokraka ani że marzło w stópki. Ręcznie dziergane bamboszki, w warunkach domowych ciepłutkie i wygodne, średnio sprawdzały się podczas wyjść na jesienną słońce i przemokły na wylot, jeszcze zanim Licho zdążyło doczłapać do samochodu. Ale nawet nie zwróciło na to uwagi – tak bardzo pochłonał je fakt, że ruszało w nieznaną mu, a przez to niezmiernie fascynujący świat, który dotąd mogło co najwyżej podglądać ukradkiem przez okno. O ile wprawdzie zeskrobało z niego grubą warstwę wszystkiego.

Miasto było... dziwne. Jednocześnie bezbarwne i kolorowe, ciemne i rozświetlone, zatłoczone i ziejące pustką. Roztętnione i zmartwiałe. Zupełnie inne niż swojski las, który otulał czule Lichotkę i pachniał porami roku, życiem na przemian to rozkwitającym, to popadającym w zbutwienie. Słuchając jednym uchem, jak Konrad z oddaniem rozwodził się nad superkontynentami, Licho błędziło wzrokiem po wszędobylskich światłach, szyldach i neonach, po matowych twarzach i lśniących karoseriach – i choć ów nowy krajobraz interesował je żywo, to potajemnie tęskniło za tym dawnym.

A potem, ściskając mocno dłoń swojego człowieka, na drżących z przejęcia nóżkach wkroczyło prosto w przepastną czelusz hipermarketu.

Przy pierwszym okrażeniu dreptało grzecznie za Romańczukiem, uczipione jego płaszczą, i plaskając bamboszkami, rozglądało się na lewo i prawo, w górę i w dół, mało sobie karku przy tym nie nadwierało. Sklep był wielki, wielgachny, od podłogi po sam dach skąpany w światłości, przepychu i barwach niczym wewnątrz przerośniętego kalejdoskopu. Licho od razu pojęło, bardziej sercem niż rozumem, co tak bardzo przyciągało tu Konrada, bo i samo, nim się spostrzegło, zatraciło się bez reszty w tym bizantyjskim

przepychu, jednocześnie urzeczony nim i przytłoczony.

Mniej więcej w połowie drugiego okrążenia zaczęło się pomału otrząsać z początkowej euforii i zamiast wirujących plam dostrzegło mnogość dóbr konkretnych i wszelakich, dostępnych na wyciągnięcie ręki w zatrzęsieniu i wyborze, o jakim mu się nawet nie śniło. Kolorowe czasopisma i kredki świecowe, kartofle krajowe i zagraniczne mandarynki, fajansowe talerze i czajniki elektryczne, mrożona pizza i suszone pomidory, plastikowe zabawki i tekturowe kubeczki oraz tuńczyk, tuńczyk we wszystkim – w sosie własnym, w oleju pożyczonym, w warzywach, w kawałkach i w puszcze, a może, kto wie, może nawet i bez puszki!

O rany, o rany, o alleluja!

Aż wtem, wraz z początkiem trzeciego okrążenia, Licho puściło połę Konradowego płaszcza i stanęło jak wryte, z rozdziawioną gębą, podczas gdy w duszy jego rozbrzmiewały pienia niebiańskie, a trąby jerychońskie wygrywały do taktu dziarskie umpa-umpa. Ujrzało bowiem przed sobą krainę rozkoszy niepojętych, zniewalających – ciągnący się przez dwie alejki dział chemii gospodarczej. A że miało w sobie trochę z dziecka, a trochę ze sroki, momentalnie zapomniało o bożym świecie, by ruszyć jak zahipnotyzowane w stronę tych cud-specyfików, tych mikstur tajemnych, usuwających wszelkie osady i odurzających głowy.

No dobrze, może to rzeczywiście nie było najmądrzejsze z jego strony, oddalać się tak cichaczem od pogrążonego we własnych myślach Romańczuka. Wokół kręciło się sporo ludzi, niby to zapatrzonych we własne wózki, gotowych jednak w każdej chwili wykazać nadmierne zainteresowanie samotnym, garbatym dzieckiem, zwłaszcza że zdradzało ono lekkie objawy upojenia nieznaną substancją. Dlatego przyjąwszy zasłużoną burę – oraz upragniony konwaliowy psikacz – Licho posłusznie podążyło za coraz bardziej nerwowym Konradem. I naprawdę, ale to naprawdę zamierzało nie odstępować go ani na krok.

Sęk w tym, że Konrad ciągle gnał przed siebie, czas płynął, a wózek zapełniał się stopniowo coraz to nowymi przedmiotami, z których żaden nie chciał być upragnioną kurteczką dla małego anioła stróża.

– A czy możemy, alleluja... – pisało w końcu Licho nieśmiało, gdy po raz kolejny minęli pędem dział odzieżowy, a w nim zatrzęsienie kolorowych kaloszków i kurteczek, które wabiły je syrenim śpiewem, ilekroć przechodziło obok.

– Licho, nie teraz – rzucił z roztargnieniem Romańczuk, nawet nie patrząc w jego stronę.

Cóż mogło więc zrobić? Dreptało za nim dalej, posłuszne i przyklapnięte. Alejka, pianki, zakręt, alejka, grochówka w proszku, kurteczka o tam, na horyzoncie, nie teraz, Licho, alejka, karma, zakręt, alejka, grochówka, kurteczka, nie teraz, alejka, znów grochówka, znów zakręt, znów alejka, znów nie teraz, Licho, grochówka, na litość boską, nie teraz, nie teraz!!! I gdyby nie szaleńczy przyływ obywatelskiego nieposłuszeństwa, jak nic koniec końców wróciłoby do domu bez tej wymarzonej, wypatrzonej kurteczki, bez ciepłego szalika, czapki i rękawiczek – ale też i bez szachownicy odciśniętej na pupie.

Niestety, zamiast niezbędnych kaloszków, które dopełniłyby jego szczęścia, Licho niespodziewanie dostało starszego kolegę po fachu.

Aż się skuliło pod kołderką na wspomnienie tamtej chwili, kiedy Konrad i Paweł zaszyli się w kuchni na parterze, ono zaś zostało sam na sam z obcym aniołem. Ten, zlustrowawszy wpierw chłodno lichą klitkę Licha, spojrzał na nie z wyżyn... cóż, siebie.

– Jam jest Tsadkiel, anioł skromności i sprawiedliwości – zakomunikował z łaski swojej.

Wtedy Licho po raz pierwszy poczuło się naprawdę malutkie i nic nieznaczące. Obcy anioł był taki... taki anielski. Jak gdyby raczył żywcem zstąpić z obrazka albo ożyć na postumencie. Wysoki, postawny, wysmukły, o posągowej urodzie, świetlistych, nie tęczowych, jak początkowo domniemywał Konrad, lecz ametystowych oczach i śnieżnobiałych skrzydłach, tak rozłożystych, że przy każdym poruszeniu szurał nimi o ściany mikroskopijnego pokoju. A do tego był męskoosobowy i miał na wyposażeniu skromność. I sprawiedliwość! I najprawdziwsze włosy – długie, złociste i lśniące, a nie byle jakie, celofanowe, dobre co najwyżej na najprostsze ozdoby choinkowe.

A Licho miało tylko katar i przemoczone bamboszki.

Z tego całego przejęcia – a może i nadmiaru pierza w najbliższym otoczeniu – kichnęło trzykrotnie, na co jedna z wąskich, złocistych brwi Tsadkiela powędrowała w górę dostojnego, marmurowego czoła.

– Ja jestem Licho – bąknęło. – Lubię pierniczki.

– Och.

OCH.

– Jam jest ostoja, pocieszenie i miłosierdzie. A ty?

– ...ątam.

Choć z anatomicznego punktu widzenia mogło się to wydawać niewykonalne nawet w przypadku anioła, brew Tsadkiela wspięła się jeszcze

bardziej. A im wyżej sięgała, tym głębiej Licho zapadało się w sobie, kurczyło niczym wełniana skarpeta w ukropie.

– Że co proszę?

– ...am.

– Ach. Ty sprzątasz.

Tsadkiel wyciągnął niespiesznie rękę ponad drzwi i przejechał smukłym palcem po futrynie. Przez chwilę wpatrywał się w struchlałe Licho, po czym wymownym gestem zaprezentował mu szarą smugę kurzu i hańby.

– Doprawdy, alleluja.

A potem – Licho zadrzało pod kołderką – potem było już tylko gorzej. Żadna skaza nie ukryła się przed jastrzębim wzrokiem Tsadkiela. Gdziekolwiek spojrzeł, gdziekolwiek się obrócił, wszędzie coś wyłowił, uchwycił, wypatrzył. I natychmiast poprawiał, niby od niechcienia, a jednak wymownie. Tu strzepnął pyłek lub kłębek różowej króliczej sierści, tam przesunął chodnik o pół centymetra w prawo albo wyprostował podwiniętą firankę. Wszystko to w całkowitym milczeniu. Bo też Tsadkiel wcale nie potrzebował słów, by emanować dezaprobatą – wystarczyło, że patrzył na Licho z coraz wyższych wyżyn swej niezaprzeczalnej, doskonałej anielskości.

I teraz ten ideał ucieleśniony, ten wzorzec cnót wszelakich miał razem z nimi zamieszkać. Począwszy od dzisiaj aż do końca roku, przez bite sześćdziesiąt sześć dni.

Konrad, który przekazał domownikom tę radosną wiadomość przy czwartkowym obiedzie, mruzczał coś pod nosem o dwóch trzecich szatana, ale Licho już nie słuchało. Podłubało jeszcze trochę w sino-słonych, wystygłych ziemniakach, po czym czmychnęło od stołu.

Rzecz jasna, to jemu przypadło w udziale przygotowanie pokoju godnego osoby Tsadkiela. Nie tyle zabrało się do dzieła, ile rzuciło na łeb na szyję, już czując na sobie palące ametystowe potępienie. Przez dwa dni nie jadło, nie spało, tylko sprzątało zapamiętałe, a serce bez przerwy waliło mu jak młotem. W środku nocy własną szczoteczką do zębów szorowało szpary między deskami w podłodze. Każdy kąt odkurzyło co najmniej siedem razy, po czym szczodrze potraktowało wrzątkiem, który pienił się od detergentów. Zużyło trzy puszki wosku do drewna na jedno skrzypiące krzesło, krzywy stolik i zwichrowaną bielizniarkę. Na koniec wypucowało wysokie, wąskie okno, aż szyba przeistoczyła się w kryształ, po czym zawiesiło w nim firankę, którą w pierw wykrochmaliło na sztywno, podobnie jak bieluteńką pościel, rozpostartą na łóżku bez najmniejszej fałdki. Niestety, mimo najszczerzych chęci nie zdążyło odmalować ani sufitu, ani ścian.

Aż wreszcie, roztrzęsione i wycieńczone, wróciło tuż przed świtem do swojej klitki, wlaźło pod kołderkę, otuliło się różowymi królikami i rozbeczało.

Płakało długo i szczerze, z tęsknoty – za kojącym szumem lasu za oknem, za plumkaniem deszczu o tafelę stawu, za rechotem żab i utopców, za stołem w kwiatki, za wszędobylskimi mackami Krakera, za paniczem i jego atakami poezji, za depilowaniem skrzydeł na werandzie, za swoją przytulną gotycką wieżyczką. Krótko mówiąc, płakało za starą, dobrą Lichotką i... i za samym sobą.

W głębi ducha w kółko zadawało sobie bowiem jedno pytanie, od którego nijak nie mogło się uwolnić. Skoro bez Licha nie byłoby Lichotki, to czym w takim razie bez tejże Lichotki było ono, Licho?

Odpowiedź za każdym razem brzmiała tak samo – i tak samo bolała.

Niczym.

I tak też się czuło, odkąd po pożarze zamieszkali w rodzinnym mieście Romańczuka. Owszem, razem z Turem – ciepłym, dobrodusznym, kochanym Turem, który co rano przynosił mu słodkości i mówił coś miłego, jak gdyby czuł podskórną, że źle się dzieje w państwie duńskim – za to bez Krakera, Szczęsnego i trzech pozostałych utopców. No i, co tu kryć, tak na dobrą sprawę również bez Konrada, gdyż ten ciałem i duchem zaprzedał się Bardzo Ważnym Dorosłym Sprawom i Rachunkom do Zapłacenia. Dzień za dniem ciągle zbywane Licho, zamiast zapuszczać korzenie, było coraz bardziej zagubione i osamotnione wśród niezliczonych ścian domu, którego przez ponad stulecie nikt nie pokochał na tyle, by nadać mu jakąś nazwę. Cóż więc się dziwić, że nawet nie miało ochoty w nim sprzątać?

I jakby nie dość nieszczęść spadło na tę nierozgarniętą, celofanową główkę, to na domiar złego dzisiaj wprowadzał się do nich Tsadkiel. Anioł stróż pełną gębą – i całą resztą też. Niby taki sam, skrzydlaty i tak dalej, a jednak zupełnie inny niż Licho, które nigdy dotąd nie było zmuszone kontestować własnej anielskości. Wystarczyła jednak chwila w obliczu jego wspaniałości, by poczuło się nie dość, że niczym, to na dodatek niczym bardzo mizernego autoramentu. Bo skoro Tsadkiel był aniołem stróżem pełnowymiarowym i najprawdziwszym, a co do tego nikt nie miał chyba najmniejszych wątpliwości, to czym wobec tego było ono samo – ledwo sięgające ponad kuchenny stół, kruche niczym bombka i naiwniejsze od dziecka? Aniołem na pół gwizdka? Nieudolną kopia? Falsyfikatem? Wybrykiem natury? Prawie oryginalnym, acz dyskretnie toksycznym egzemplarzem *made in China*?

A przede wszystkim – i na tę myśl umęczone serduszko Licha zamarło na

okamgnienie – którego anioła stróża wolałby Konrad Romańczuk, gdyby naprawdę miał wybór?

\*\*\*

Zmierzchało już, gdy pośród monotonnego bębnienia deszczu rozległ się dzwonek u drzwi. Metaliczny terkot poniósł się echem po wszystkich zakamarkach.

Piętro wyżej Licho struchlało. Pęseta, którą właśnie dokonywało aktu depilacji, wypadła mu z rączki i z nieśmiałym brzękiem wpadła pod łóżko.

Konrad Romańczuk zbladł i zastygł nad patelnią, na której właśnie przypalał kolejną porcję mielonych.

Rozsiane po całym domu różowe króliki zgodnie zastrzygły uszami.

Utopiec zabulgotał z bagiennych głębin żeliwnej wanny.

A Turu Brząszczyk poszedł otworzyć.

Na ganku stał rozanielony człowiek z wielką walizką i niehumanoidalny anioł z jeszcze większym fochem. Zamiast patykowatego Romańczuka ujrzeli zwalistego brodacza, który woniał truskawką i uśmiechał się do nich dobrodusznie zza progu.

– Chwała! – huknął wiking.

– Dobry wieczór – rzekł człowiek.

– Doprawdy, alleluja – sarknął anioł.

A potem nastąpił armagedon na skalę lokalną.

Paweł w euforii, Tsadkiel w dąsach, Konrad w szoku, Licho we łzach, Turu zaś w pasiastym szlafroku i czepku kąpielowym w żółte kaczuszki, gdyż dopiero co zakończył ablucje – naraz wszyscy kotłowali się w niewielkim korytarzu po drugiej stronie drzwi. Paweł trajkotał bez ładu i składu, nadęty Tsadkiel pomału wytwarzał własną czarną dziurę, Konrad bezskutecznie usiłował coś wtrącić, Licho kichało spazmatycznie, próbując zapaść się pod wytarty parkiet, a Turu co rusz rechotał, aż mu szeleściły kaczuszki. I tylko walizka jak gdyby nigdy nic stała pod ścianą w roli milczącego świadka tego zbiorowego obłędu.

– ...na śniadanie jeden tost pełnoziarnisty i jajecznica z trzech jaj na klarowanym maśle, średnio ścięta, bez soli, przed snem szklanka mleka o temperaturze pokojowej, koniecznie trzy i dwa procent, innego nie wypije i potem będzie ci chodził i truł, znaczy, pewnie i tak będzie, ale bez wieczornego mleka to już w ogóle przesrane, i pamiętaj, żeby mu prasować gacie na prawej i lewej stronie, bo on się boi bakterii, choć tak w zasadzie to



bakterie powinny bać się jego, no więc wiesz, byle do pierwszego, dasz radę, co masz nie dać, tu masz całą należność, tak jak się umawialiśmy, a teraz muszę już lecieć, to cześć!

– Nie, czekaj! – wrzasnął skołowany Romańczuk, zdjęty nagłą paniką, lecz Paweł już był za drzwiami, już pędził w kierunku uchylonej bramy, za którą czekała upragniona, wytęskniona wolność.

W korytarzu zapadła głucha cisza.

Wszyscy spojrzeli na Tsadkiela. Tsadkiel spojrział na wszystkich. A potem pociągnął nosem.

– Swąd – wycedził z niesmakiem.

– Spalenizna – zgodził się z nim Turu.

– Mielone! – jęknął Konrad i rzucił się z powrotem do kuchni, ratować jutrzejszy obiad, który właśnie osiągał całkiem nowy poziom zwęglenia.

Turu Brząszczyk, ostatni człowiek na placu boju, skinął na dwuosobowy zastęp anielski.

– No, to wymarsz wojsk austriackich! – zarządził i podśpiewując pod nosem, ruszył pokręconymi schodami na piętro, gdzie na nowego domownika czekał pokój, pachnący wiosennym kwieciem i wypucowany na wysoki połysk.

Kształtem i rozmiarami przypominał kolejowy przedział, dość długi i wąski. Owszem, jak na tutejsze warunki był całkiem spory, ale też nie na tyle, by pomieścić swobodnie rozłożyste skrzydła Tsadkiela i jego równie imponujące ego. Dokonawszy inspekcji, anioł nie bez trudu odwrócił się do Tura, który nawet nie próbował wciskać się do środka, tylko stanął w drzwiach i drapał się po brzuchu.

– Niech zgadnę. Licho sprzątało.

– A pewnie, że sprzątało!

– Cóż. Widać.

Te dwa krótkie słowa wprawiły dolną wargę Licha w nieopanowany rezonans, co nie umknęło czujnemu Brząszczykowi. Zmarszczył czoło i łypnął spod czepka na Tsadkiela. Na gładkim obliczu niebiańskiej istoty malowała się całkiem przyziemna wzgarda i zadowolenie. Coś na ten widok drgnęło w wikińskiej duszy – jakaś żyłka nabrzmiała, jakaś nuta pierwotna i barbarzyńska, spragniona krwi, flaków i pożogi obejmującej coś więcej niż jutrzejsze mielone. Najlepiej pierze.

– Te, Zadkiel! – huknął, biorąc się pod boki i wypełniając sobą całą szerokość futryny wraz z przyległościami. – Dyrdaj no w te pędy na dół i łap się za te twoje manele. Stoją tam i stoją, a nóg jak nie miały, tak chyba nadal

nie mają, bo coś nie słyszę, żeby zapierniczały zwawo po schodach. I bez krępacji, ściera w garść i spełniaj się do woli, skoroś taki esteta nienazarty. A ty chodź, Liszko. – Wziął małego anioła za rączkę i mrugnął do niego porozumiewawczo. – Chyba widziałem w lodówce jeszcze jeden kawałek czekoladowego ciacha... i puszkę bitej śmietany!

Chwilę później Licho siedziało na podłodze w zagraconym pokoju Tura, chłonąc zarówno wyrób cukierniczy, jak i wyroby snycerskie, acz niekoniecznie tą samą metodą. Gdziekolwiek spojrzeło, wszędzie dookoła, od podłogi aż po sufit, ciągnęły się rzędy smoczych łodzi dumnie preżących dziobnice, głęboko zafrasowanych Jezusków i aniołków z zaawansowaną wadą wzroku. Na jedynym wolnym skrawku parapetu drzemała Zmora z wyprężoną przednią łapą, co jakiś czas wysuwając drapieźnie pazurki. Ze wszystkich domowych futrzaków jedynie ona miała tu prawo wstępu; żarłoczne różowe króliki, choć od słodkiej woni drewna aż swędziały je zęby, nijak nie potrafiły przegramolić się przez szczwane zasieki w postaci przybitego od wewnątrz do futryny kawałka pleksiglasu.

Tymczasem Turu, odwiesiwszy czepek do wyschnięcia, zasiadł przy roboczym stole, sięgnął po napoczętą figurkę i zaczął przy niej majstrować.

– On mnie nie lubi, alleluja – odezwało się Licho, zapatrzone w zezowatych krewnych. Choć z drewna, wydawali mu się o wiele sympatyczniejsi niż całkiem żywy Tsadkiel.

Wiking mruknął potakująco, wprawnym ruchem wydlubując Jezuskowi pierwsze oczko.

– Ja co prawda słabo znam gościa – odparł po kilku chwilach – ale tak sobie myślę, że on to nie lubi nikogo.

– Nawet swojego człowieka? Przecież jest aniołem stróżem. Ja swoich zawsze lubiłem. Jak miałobym im stróżować bez lubienia?

– Gdyby Zadkiel choć trochę lubił swojego człowieka, toby facet nie oddawał go z pieśnią na ustach obcym ludziom na przechowanie. No co? – zapytał, dostrzegłszy, że Licho znowu zwiesiło nos na kwintę.

– Mnie Konrad też raz chciał oddać. I wcale nie na przechowanie, tylko... tylko tak na zawsze.

– A co on, na łeb upadł?!

– Między innymi na łeb – potwierdziło, po czym opowiedziało Brząszczykowi o obrażeniach i obrazach, jakimi zakończyło się krótkie, acz dynamiczne spotkanie Romańczuka z Rudolfem Valentino u szczytu schodów, jak również o niezapowiedzianych gościach, którzy o mały włos zabraliby je z Lichotki na zawsze. O tym, jak strasznie się wtedy bało i nie umiało

zapakować pralki. Mówiło i mówiło, aż wreszcie umilkło ze wzrokiem wbitym w czekoladowe okruszki na swoim talerzyku.

Przez cały ten czas Turu dłubał drugie oczko, a im bardziej dłubał, tym bardziej też myślał – i z tego całego myślenia coraz mniej mieściło mu się w głowie.

## Rozdział 7

Piętnaste! – pisnęło Licho, nie potrafiąc ukryć euforii, która aż je rozsadzała.

Turu zrobił na deszczulce piętnaste już nacięcie i pociągnawszy z nakrętki pełniącej funkcję kubeczka, uśmiechnął się jowialnie. Wszak nic tak nie poprawiało humoru w chłodny, listopadowy poranek jak gorąca herbata z lekkim prądem oraz tradycyjne liczenie futer.

Tego dnia, jak każdego roku, Turu Brząszczyk zarzucił sobie na plecy ciężki plecak ze stelażem, wziął pod jedną pachę wysłużone już łóżko polowe, pod drugą krzeselko wędkarskie i wyruszył w drogę przez budzące się pomału miasto, by jeszcze przed świtem objąć posterunek jak najbliższej głównej bramy cmentarza. Tym razem nie był jednak sam. U jego boku dzielnie maszerowało Licho, taszcząc pasiasty parasol plażowy na wypadek deszczu oraz torbę pełną prowiantu dla półtorej osoby na wypadek głodu, pragnienia bądź gwałtownego przyływu melancholii. Na głowie miało nowiutką czapkę, na grzbiecie upragnioną kurteczkę, na nogach zaś istny cud nad cudami – zdobyte przez Tura kaloszki z grubą podeszwą, która świeciła przy każdym tupnięciu. Teraz mogło śmiało naprowadzać samoloty do lądowania.

Po długim marszu dotarli na miejsce, zasapani i zgrzani, lecz dumni, bo jako jedni z pierwszych. Rozstawiwszy się z majdanem daleko od największych kałuż, przystąpili do konsumpcji pierwszego śniadania w postaci klasycznej buły z jajem na twardo, obserwując z zaciekawieniem, jak na ich oczach wszędzie wokół rozkwitały łany chryzantem.

Wkrótce ze wszystkich stron zaczęli napływać ludzie. Wpierw sunęli między straganami leniwym, szemrzącym cicho strumieniem, który od czasu do czasu muskał pieszczotliwie to jeden, to drugi brzeg, rozwidlał się i kluczył. Tu zagarnął wiązanek, tam znicz lub pudełko długiśnych zapalek, gdzie indziej zaś przepływał z całkowitą obojętnością. Przez cały ten czas nie przestawał jednak wzbierać i z wolną, lecz nieubłaganie, przeistaczał się w rwącą rzekę. Szmer nurtu niepostrzeżenie przeszedł w miarowy huk, który niósł się bezustannym, męczącym echem. Gdzieniegdzie tworzyły się zdradzieckie wiry, gotowe w ułamku sekundy pochwycić nie dość uważną ofiarę i wytargać, sponiewierać, wytarmosić, a potem w ostatniej chwili wypuścić z odmętów. Aż niespodziewanie rzeka straciła cierpliwość

i z łoskotem wystąpiła z brzegów, rozlała się łapczywie na lewo i prawo, porywając wszystko na swojej drodze: kuliste chryzantemy, plastikowe wieńce, znicze z melodyjką i pieczone kiełbaski. Sprzedawcy na straganach rozpaczliwie usiłowali utrzymać się na wzburzonej powierzchni, a rzuceni w kipieli policjanci zapamiętałym gwizdaniem i potęgą autorytetu kierowali tym ludzkim żywiołem oraz tramwajami, które z trudem brnęły wśród równie ludzkich bałwanów, głuchych i ślepych na wszystko.

Licho nigdy nie widziało czegoś podobnego. Z wymemłaną drożdżówką w garści patrzyło na ten rozszalały potop, przewalający się tuż pod jego nosem, na ten dziki pęd życia ku cichej domenie śmierci, i nic a nic z tego nie pojmowało. Po co to, na co to, czemu to tak? Dokąd to, kto to to, jak to to tak? A potem, jak gdyby nie dość mu było samej konsternacji, to jeszcze stropiło się na dodatek. Dostrzegło bowiem, że chociaż kolejne wzburzone grzywacze raz za razem uderzały z impetem o cmentarną bramę, o mały włos nie wrywając jej z zawiasów, wciąż żadna, nawet najskromniejsza fala nie obmyła choćby spojrzeniem ich polowego łóżka, na którym spoczywały pociągnięte impregnatem figurki z najzwyczajszego drewna, bez modnych w tym sezonie psychodelicznych melodyjek czy innych ledowych wodotrysków.

Turu zdawał się jednak całkowicie niezrażony tą obojętnością płynącego tłumu. Być może stała za tym siła wrodzonego spokoju, może mądrość wieloletnich doświadczeń, a może nadprogramowe procenty w herbacie. Tak czy owak, zamiast się niepotrzebnie zamartwiać niedostatkiem popytu wobec nadmiaru podaży, oddał się o wiele przyjemniejszemu zajęciu, czyli dłubaniu kolejnego zezowatego anioła. Anioła zaś żywego wtajemniczył w swą ulubioną cmentarną rozrywkę, sięgającą jeszcze czasów dzieciństwa, mianowicie liczenie futer – bez względu na panującą temperaturę absolutnego *must have* każdej prawdziwej damy, która tego dnia brnęła w błądki aż po kostki wyglansowanych, odświeżonych botków.

Tego zwyczaju Licho co prawda również nie ogarniało rozumem, ale przynajmniej zyskało jakieś konkretne zajęcie. Po kwadransie zatraciło się w nim bez reszty.

– Szesnaste! – zakrzyknęło triumfalnie, tym razem wyłowiwszy z rozszalałego tłumu jejmość w poliestrowej panterce.

Jejmość, choć niedomagała na guście, słuch miała wyborny.

Ignorując protesty rwącego nurtu, zawróciła stanowczo i ruszyła pod prąd, za nią zaś ławica przedstawicielek tego samego futrzanego gatunku, by wspólnie z przyganą zawisnąć nad łóżkiem polowym.

– Siedemna, osiemna, dziewiętna, dwa – wymamrotało pośpiesznie Licho z za drożdżówki, zapatrzone w górujący nad nim szpaler futer i kapelutków.

Jejmość w panterce już miała na końcu języka stosowną reprymendę, lecz coś w tym nad wyraz pokracczym dziecku sprawiło, że zawahała się w ostatniej chwili. Spomiędzy kolorowej czapki i zwojów szaliczka od kompletu wyczierała ufajdana lukrem pucułowata buźka o zadartym nosie i wielkich, okrągłych oczyskach, w których pryzmatem odbijały się promienie listopadowego słońca. A przynajmniej tak podpowiadał jejmości zdrowy rozsądek, bez wahania uznawszy tęczówki w kolorach – *nomen omen* – tęczy za rzecz z gruntu niemożliwą, a zatem niewystępującą w przyrodzie. Ten sam zdrowy rozsądek jednocześnie obstawał, że składane krzeselko nijak nie mogło udźwignąć ogromu brodatego osobnika, który siedział obok dziecka i ze stoickim spokojem strugał wariata czy innego Pinokia. Krzeselko zdawało się jednak nie przejmować zbyt cudzymi opiniami.

Za to dziecko, nabrawszy śmiałości, wyjrzało z za drożdżówki i uśmiechnęło się ładnie.

Jejmość w poliestrowej panterce i szczerzej konfuzji odchrząknęła dla niepoznaki, wprawiając ławicę w serię chrząknięć wtórnych, po czym zaszczyliła dzielące ją od dziecka stare łóżko polowe wyniosłym spojrzeniem. Spodziewała się tych samych szkaradziejstw co wszędzie, krzykliwych, tandetnych, napastujących zmysły światłem, dźwiękiem i smrodem chińskiego plastiku. Ku swemu zaskoczeniu ujrzała jednak drewniane Jezuski wszelkich rozmiarów, starannie zaimpregnowane i frasośliwe jak należy. Poniżej zaś... Cóż. Poniżej ciągnęły się zastępy anielskie, rozczulająco pyzate, tradycyjnie skrzydlate i co do jednego obdarzone zezem o różnym stopniu zaawansowania. A na nogach – i tu zdrowy rozsądek jejmości od razu poddał się bez walki – no więc na nogach miały tydzie wółczkowe bamboszki.

– Samo dziergałam! – pochwaliło się dziecko i na dowód wyciągnęło z kieszeni kurteczki szydełko z napoczętą robótką. Po czym zafrasowało się nie gorzej od Jezusków. – Ojoj, alleluja, oczko mi się zakałapućkało...

Ławica drgnęła, zadrżały spazmatycznie futra i poliester. A potem stanęły otworem portfele i portmonetki w zasięgu pięciu metrów, gotowe na wszystko, teraz, zaraz, natychmiast.

Wióry sypały się obficie, szydełko śmigało, a zamiast całkiem zapomnianej herbaty lał się pot, gdy przez następne godziny Turu Brząszczyk w nadludzkiem tempie przerabiał frasunek na zezę, Licho zaś z przejęciem dziergało kolejne maciupęńkie bamboszki. Kiedy zabrakło mu wółczki, bez wahania spruło własny szaliczek, czym wprawiło tłum czekających

w zbiorową ekstazę. Nim nastał wieczór i ostatni rozanielony Jezusek znalazł nowego właściciela, Turu stracił czucie w palcach, a Licho jeszcze czapkę i pół rękawiczki. Za to skryty gdzieś pod obfitym kałdunem wikinga stary, wyświechtany piterek ledwo mieścił utarg.

\*\*\*

W domu panowała cisza.

Od samego rana zalegała po kątach, w zaułkach i zakamarkach, w pokojach i korytarzach, w schowkach, skrytkach i kanciapach. Panowała niepodzielnie, cudowna i błoga, niczym niezmaczona, przez nikogo nieniekoszona, cisza jak makiem zasiała. I wszystko byłoby dobrze, tyle że... no cóż, nie było. Cisza albowiem naturę miała kapryśną i czasem, znużona już tym ciągłym zaleganiem, przepoczwarzała się niepostrzeżenie w ciszę głuchą, martwą, przedburzową i zaczynała dzwonić złowroźnie w tych samych uszach, które jeszcze przed momentem tak czule pieściła.

Tak też stało się i teraz.

Tknięty jakimś osobliwym przecuciem, Konrad Romańczuk oderwał dłonie od klawiatury laptopa i pomалу uniósł głowę, psychicznie i fizycznie wynurzając się z głębokiego zamyślenia. Coś mu dzwoniło, dzwoniło coraz donośniej, lecz za nic nie potrafił namierzyć właściwego kościoła. Spojrzał za okno. Nie wiedzieć kiedy na zewnątrz zapadł zmrok i ponad miastem rozkwitła luna. Lecz nawet ona, choć tak natarczywa, nie śmiała zapaść się aż tu, za ogrodzenie, a to za sprawą wiązu o rdzawożółtych liściach, który czuwał nad domem i ogrodem, rozpościerając sękate, powykręcane gałęzie. Drzewo było rozłożyste, stare i upiorne – zbyt upiorne jak na gust Romańczuka. Za to taki Turu zdawał się niezmiernie do niego przywiązany. Może nie do tego stopnia, żeby codziennie o poranku pisać bosą wokół pnia, wdzięcznie i lekko niczym piórko tańczące na wietrze, z włosami rozwianymi, długimi i jasnymi, nawalając przy tym w bębnek i szumiąc, i...

Konrad zatrzasnął laptop w popłochu, jak gdyby to właśnie stamtąd płynęły do niego myśli, których wcale nie chciał w swojej głowie, nie potrzebował, nie życzył ich sobie i już. Tak samo jak tej ciszy, po stokroć przeklętej ciszy, niby głuchej, a jednak donośnej, która dzwoniła mu w uszach, aż niosło się echem po czasce, dzwoniła coraz głośniej i głośniej, czemu, do jasnej cholery, ona tak dzwoniła w domu pełnym lu... pełnym wszystkiego!?

W nagłym przypływie ni to wściekłości, ni to paniki Konrad rzucił się do

drzwi i wypadł z klitki nad gankiem. I wtem zaparł się kurczowo o ściany wąskiego korytarza, zagarniętego przez łapczywą ciemność, jak gdyby bał się, że lada chwila runą na niego albo że on sam runie i już nigdy, przenigdy nie zdoła się podnieść. Bo ni stąd, ni zowąd odezwał się w nim największy koszmar z czasów dzieciństwa – niby już dawno zapomniany, wyparty starannie, pogrzebany pod wspomnieniami z trzydziestu następnych lat, a jednak wciąż tam samo żywy i paraliżujący. Koszmar, którego nikt nigdy nie ukoił, bo też Romańczuk w obawie przed kompromitacją nikomu się do niego nigdy nie przyznał. No bo kto to widział, żeby bać się szafy? Upiórów czy złowrogięgo pekińczyka sąsiadów to owszem, ale – szafy?... A nawet nie tyle samej szafy, ile szpary między nią a ścianą, na wysokości wezgłowia zwykłego tapczanu, na którym noc w noc mały Konrad z całych sił zaciskał powieki i starał się szybko, szybcieuteńko zasnąć, nie myśląc o tym, że tuż za nim, za jego plecami czai się ta wąska smuga nieprzeniknionego mroku. I teraz, choć był już tak dorosły, że niemal szpakowaty, miał wrażenie, że jego koszmar właśnie się spełnił – że szpara za szafą w końcu go wciągnęła i lada moment z jakiegoś zakamarka wyłoni się upiorna dłoń, sinoblada, szponiasta, zachłannie, po omacku szukająca ciepłego karku, żeby się na nim zacisnąć.

Zdjęty irracjonalnym lękiem sprzed lat, Konrad stał tak przez chwilę, rozedrgany i zdyszany, usiłując złowić w tej ciszy zastygłej wespół z ciemnością choćby pojedynczy dźwięk, błysk, ruch, mgnienie, cokolwiek. Spojrzał z nadzieją w górę, w kierunku strychu, lecz jego uszu nie dobiegło żadne pokrępiające skrzypnięcie, żaden stłumiony jęk wiecznie pracującego drewna czy gorączkowy szwargot niedobitków Wehrmachtu. Nic. Wreszcie pomału, na miękkich nogach, ruszył schodami na parter. Miał przy tym paskudne wrażenie, jak gdyby z każdym stopniem zanurzał się bezpowrotnie w zimną, czarną toń, na której dnie czyhało najgorsze. I nawet wiedział, gdzie dokładnie.

Głęboko w trzewiach domu, za spowitą całorocznym chłodem spiżarnią czaił się niepozorny zaułek. Na jego końcu były drzwi. Najzwyklejsze, drewniane, całe w purchlach obłazącej farby, uczipione wysłużonych zawiasów.

A za tymi drzwiami była wysoka, murowana piwnica.

A w tej piwnicy drakkar.

A w tym drakkarze worek.

A w tym worku...

Konrad zadrżał, stawiając kolejny krok. I właśnie wtedy rozdzwoniła



cisza postanowiła w końcu stulić dziób i świat na powrót eksplodował najrozmaitszymi bodźcami w kolejności następującej: terkot dzwonka, błysk lampy, trzask zdezelowanego stopnia, a na wielki finał – krótki, acz przeszywający wrzask zwieńczony imponującym łoskotem.

A potem na chwilę znów zrobiło się cicho.

– Doprawdy, alleluja – mruknął zde gustowany Tsadkiel i oderwawszy dłoń od pstryczka, otworzył frontowe drzwi Turowi i Lichu, którzy czekali na progu, zmęczeni i zmarznięci, lecz wyraźnie zadowoleni z życia.

Z łazienki przy kuchni wychynął utopiec, ociekając wodą. Zaintrygowana Zmora z wdziękiem przycupnęła na balustradzie schodów. Zewsząd przykicały różowe króliki, zwabione rabanem, i stanąwszy słupka, z zaciekawieniem zastrzygły uszami. I cała ta zgraja spojrzała na wtuloną w podłogę u stóp schodów kupkę powierzchownych obrażeń oraz głębokiego nieszczęścia, zwaną również Konradem Romańczukiem.

Gdzieś pod naciągniętym na czoło kapturkiem Licho zmarszczyło brwi i spojrzało surowo na różowego królika płci podstępnej.

– Rudolfie Valentino, ależ alleluja!

\*\*\*

– Czyli spietrałeś, że jesteś sam w domu, i z tego wrażenia zwałeś się ze schodów? – podsumował Turu z właściwym sobie wdziękiem.

Romańczuk, zgarbiony na kanapie w prawie że salonie, łypnął na niego spode łba obłożonego paczką mrożonego groszku, ale nic nie powiedział. Bo też sam nie do końca ogarniał, dlaczego ni stąd, ni zowąd wpadł w taki popłoch, ukoronowany efektownym, choć nieplanowanym lądowaniem na własnym ciemieniu. I nawet nie próbował ogarnąć, a przynajmniej nie teraz, gdy jego obita po raz kolejny głowa pulsowała tęnym bólem, a świat przed oczyma wycinał żwawe hołubce, aż iskry szły.

– Łoj dyry dyry u-ha! – wyrwało mu się z głębi duszy na tę okoliczność.

– Zdurniał – orzekł definitywnie Turu.

Konrad nawet nie próbował dyskutować z diagnozą. Zamiast tego zamrugał, usiłując skupić wzrok na Lichu.

– On wyraźnie coś ma z tymi schodami, alleluja... – tłumaczyło się gęsto przed Tsadkiem i z jakiegoś powodu wirowało przy tym jak fryga. Bardzo kolorowa, roziskrzona fryga, puszczone w ruch w gabinecie krzywych zwierciadeł i zwieńczona osobliwie nieruchomą głową.

Zdezorientowany Romańczuk nabrał pewnych podejrzeń. Zaczął mrugać

intensywniej i w końcu zdołał skupić wzrok na tyle, by fryga znieruchomiła i zgasła. Okazała się naręczem pstrokatych, fantazyjnie poskręcanych kół, z których największe miało rozmiary patelni.

– I cóż poczniesz. Pechowiec to i palec w dupie złamie – rzucił filozoficznie Brząszczyk.

– A to co? – Konrad wskazał palcem mniej więcej w kierunku frygi.

– Prowizja – wyjaśnił Turu.

– Cukrzyca! – prychnął Tsadkiel.

– Lizaczki! – pisnęło Licho i czym prędzej podbiegło do Konrada. – Zobacz, jakie piękne, alleluja! A tego wybrałam specjalnie dla ciebie! – Z dumą podetknęło mu pod nos coś, co wyglądało jak przerośnięta dżdżownica w wielokolorowe paski, zastygła na wieki wieków w paroksyzmie bóleści, po czym nabita na patyk niczym dziergany rybim deseniem potomek Tuhaj-beja.

Romańczuk wyprostował się nagle, aż rozmiękający groszek plasnął o podłogę, i potoczył błędnym wzrokiem po zebranych człekokształtnych. Powoli, nie bez trudu, do jego wciąż skołowaciałej świadomości przebijało się pewne podejrzenie.

– Ale że co? Że jak? – wybełkotał. – Jak to wybrałoś? Gdzie? Skąd?

Sploszony mały anioł cofnął się o krok, jeszcze mocniej tuląc swój skarb w objęciach, jak gdyby się bał, że wyrwie mu go ten podnoszący się pomału, naszożony cień człowieka. Rzucił Turowi błagalne spojrzenie. W odpowiedzi wikińska dusza wydała z siebie cichy, złowrogi pomruk.

Brząszczyk splótł ręce na szerokiej piersi.

– Ano stąd – odrzekł buńczucznie – żeśmy dziś przehandlowali pod cmentarzem kilka anielskich zastępów za niezgorszy stos grosiwa dla wspomżenia domowego budżetu.

– Że co proszę? – Romańczuk przytknął dwa palce do nasady nosa, jak gdyby ten gest miał uchronić go przed zsunieniem się w otchłań ostatecznego obłędu. – Że pod czym?...

– Że przehandlowali oraz że pod cmentarzem. No wiesz, mogiły, nieboszczyki, wszędzie same plusy.

– Chcesz... Licho, nie teraz! Chcesz powiedzieć, że zabrałeś mojego anioła na cmentarz?

– Ano, zabrałem.

– Dzisiaj?

– Nie inaczej.

– Między ludzi?

– Między ludzi – przytaknął wiking. – Między tę ćmę rozszalałą, między te

hordy barbarzyńskie! Ledwieśmy uszli z życiem i termosem, kiedy gruchnęła wieść, że oto ostatni znicz z pozytywką zszedł był na straganie! Ulice spłynęły posoką i łzami, łuna pożogi wzbijała się ponad miastem, kometa przecięła niebo, bydło ryczało po zagrodach, a wrzaski mężów mieszały się z łkaniem białołów i kwileniem osesków. Nie to co spokojna, wieczorna przebieżka po Tesco.

Przytyk ominął Konrada szerokim łukiem.

– Moje... MOJEGO anioła?!...

– A tak, bratku, TWOJEGO anioła!

– Być może... – Palce Romańczuka zacisnęły się niczym imadło, kiedy cedził słowo po słowie, a jego wściekłość pomału osiągała temperaturę wrzenia. – Być może to skutek uboczny kolejnego wstrząsu tych resztek mózgu, jakie mi jeszcze zostały, ale nie zauważyłem, żeby ktokolwiek raczył mnie choćby poinformować, nie mówiąc już o...

I naraz Konrad poczuł, że jego cokolwiek chuderlawe, poobijane jestestwo w pół słowa oderwało się od podłoża i jęło sunąć, płynąć wręcz w powietrzu, niesione siłą wściekłości i mocarnego ramienia hen daleko, korytarzem, aż do samej kuchni, gdzie bez ceregieli zostało odstawione. Pulchny palec wikinga dokonał prezentacji.

Na lodówce wisiała kartka, na kartce zaś stało koślawymi wołami: „Poszłam na wiking, alleluja!”. Wokół tychże wołów kłębiły się czerwone serduszka obficie obsypane brokatem.

– Tego pewnie też nie zauważyłeś, co? – zagrzmiał Turu tubalnym głosem.

– Bo ty w ogóle mało co zauważasz, chyba że akurat wyświetli ci się na tym twoim świętym laptopie albo przywrze do patelni!

– To jest mój anioł! – odryknął podwójnie sponiewierany Romańczuk i wyprostował się z godnością. – Mój! A ty nie miałeś prawa go...

Aż się zatchnął, kiedy potężny kałdun bez ceregieli przyparł go do lodówki, przytłaczając ogromem fizyczności i równie namacalnego gniewu. Bujna broda to unosiła się, to opadała wraz z szeroką wikińską piersią, wąs sumiasty falował, oczy łypały spod krzaczastych brwi, miotając błyskawice. Do pełni efektu brakowało Turowi jedynie skrwawionego topora za pasem i noża w zębach.

– A żebyś się przypadkiem nie zesrał z tego wrażenia, efendi od siedmiu boleści! Cały świat ma się odpierwiastkować od jaśnie pana, na paluszkach pomykać, bo jaśnie pana imperatyw odosobnienia wespół z Weltschmerzem turbuje! Ale niech no tylko świat ośmieli się znaleźć sobie inne zajęcie niż wierne warowanie u progu, a obraza majestatu gotowa! Och, mój anioł,

laboga, mój anioł! – zaskomlał teatralnie, po czym huknął ile sił w płucach, aż cały dom zadrżał w posadach: – W rzyci go masz, kapcanie nieużyty! I miej se go tam, skoro lubisz takie pieszczoty, ale ja ani myślę i nic ci do tego, dotarło? Nic a nic! A jak ci pierza mało, to się z Zadkiem zbrataj, bo wart Pac pałaca! I siedźcie se w tej twojej norze parchatej choćby do usranej śmierci. Dla nas żadna strata! – Co rzekłszy, Turu Brząszczyk wymaszerował z kuchni, pozostawiając Konrada w białego w lodówkę i osłupienie.

Wymemłany Romańczuk powrócił opustoszałymi korytarzami do swej nory parchatej, gdzie zasiadł za rozklekotanym biurkiem po Turowym dziaduniu. Przedwojenny kłopot może i był wysłużony ponad miarę, ale za to rozumiał człowieka, zamiast go z byle powodu potępiać i sponiewierać – jeśli nie liczyć okazjonalnego ciosu kantem w kolano. A potem wystarczyło już tylko wyciągnąć rękę, by świat po drugiej stronie zamkniętych drzwi, świat ciągłych pretensji i wydumanych roszczeń, znów pogrążył się w niebycie. W miejsce palącego rozeźlenia duszę Konrada ogarnął rozkoszny spokój, kiedy przy wtórze kojącego szumu budzącego się do życia wiatraczka ekran laptopa znów rozblęsnął w ciemności bladym światłem.

Światłem, które padło na stojący tuż obok kubek po kawie i wsunięty pod niego stary paragon.

## Rozdział 8

Pewnej nocy, na miesiąc przed świętami, spadł pierwszy śnieg.

Pod osłoną ciemności wślizgiwał się niepostrzeżenie w przytulne szczeliny dachu, by najpierw spocząć w nich swobodnie i niezobowiązująco, a potem stopniowo zespalać się w lodowe kliny i rozpychać bez pośpiechu, ale też i bez zmiłowania dla wiekowych dachówek. Warstwa za warstwą zalegał na parapetach, opatulał tico i okoliczną namiastkę trawnika, przysiadał na wyłysiałych gałęziach krzaków i drzew. Pociągał listopadową szarzynę świeżą bielą, która niedługo potem zaczęła się skrzyć w pierwszych promieniach wstającego słońca. A wszystko to cicho, po tajniacku, nie budząc nikogo.

Turu Brząszczyk, ledwie bladym świtem otworzył niechętnie tej czynności przekrwione oczęta, w mig oprzytomniał na widok jasności zjawiskowej i niespodziewanej, która wlewała się do jego pokoju. Wygramoliwszy się z rozmemłanego barłogu, skoczył do okna. Świat po drugiej stronie zimnej szyby spowijała biel, która nie przestawała sypać się z nieba, jak gdyby w śniegowych chmurach puściły naraz wszystkie szwy. Kaloryfer zaczął grzać niczym szatan ku głębokiej aprobacie hibernującej nad nim Zmory. Powietrze pachniało ciepłym kotem i rozkosznym lenistwem, a cały dom trząsał i trzeszczał, rozdarty między tymi sprzecznymi doznaniem temperaturowymi. No i na dodatek była środa. To zaś mogło oznaczać tylko jedno – dzień piżamowy.

A dzień piżamowy wymagał stosownych akcesoriów.

Nieliczni w tych stronach przechodnie, okutani kilometrami wełny z domieszką akrylu, za bardzo skupiali się na skutecznianych szpagatach i piruetach, żeby zwracać uwagę na sto trzydzieści kilogramów rozczochranego wikinga, który w kraciastej flanelowej piżamie, wyzierającej filuternie spod obszernej kufajki, parł przez rosnące zasy niczym ciut większy czołg porucznika Grubera. Również w piekarni za kilkoma rogami nikt się nawet nie zająknął na ten widok, bo też nie był to wcale najoryginalniejszy przydziewek, w jakim zdarzyło się Turowi przybyć w ich skromne progi. Spory udział miało w tym zapewne jego usposobienie, ale też i fakt, że po raz kolejny nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, unosząc ze sobą połowę asortymentu, którego sam widok mógłby przyprowadzić całkiem

zdrowego człowieka o gwałtowny atak hiperglikemii. Naniósłszy do domu, oprócz złowrogiego glutenu i równie śmiertelnościanego cukru, również drewna oraz śniegu, dla lepszego efektu rozpałił jeszcze w kominku, naszykował gar gorącego kakao, po czym dziarskim krokiem poszedł do Licha.

Jakaś godzinę z okładem później ryk rannego bawołu wyrwał Konrada Romańczuka ze snu w sposób wielce brutalny. Dobrą chwilę potrwało, zanim w ślad za dźwiękiem do jego na wpół przytomnego umysłu przedarła się również świadomość, że ryk ów był nie tyle ranny, ile raczej mocno przedpołudniowy, sądząc po światłości za oknem, a dochodził z czeluści parteru. Niósł się z wdziękiem krętymi korytarzami, przeplatany osobliwymi zawodzeniami duszy bezsprzecznie potępionej.

Z twarzą wciśniętą w poduszkę Konrad jęknął, a wraz z nim wąski dziaduniowy tapczan. Generalnie wszystko było tu wąskie i dziaduniowe – cały ten pokój, wyłożony poźółkłą tapetą w róże, a w nim obrazy, obrazki i obrazeczki, co do jednego panoramiczne, i turecki chodnik na pociemniałym, wytartym parkiecie, i poszatowane szprosami okno z wypaczonym parapetem, i powciskane gdzie popadnie meble, które wciąż trzymały się kupy chyba już wyłącznie siłą przyzwyczajenia. Rwanie w stawach i zeszywniały kręgosłup też niewątpliwie musiały stanowić część spadku po dziaduniu, no bo kto to widział, żeby człowiek przed czter... znaczy, nieco po trzydziestce nie mógł się skoro świt przed południem podźwignąć bez kwękania przy każdym ruchu.

Ryki na parterze raz traciły, raz przybierały na sile w nieczytelnym dla Konrada rytmie i niezbitcie świadczyły o toczącym się rażno życiu domowym, którego tak skrupulatnie unikał, odkąd uchybiło jego godności w stopniu karygodnym i niewybaczalnym. Początkowo, w oczekiwaniu na przeprosiny, obnosił się z obrazą majestatu, Weltschmerzem i jeszcze paroma innymi zaburzeniami. Szczodrze zagęszczał pomidorową żalem, nadziewał ruskie farszem na przytykach, do placków ziemniaczanych zaś serwował śmietaną przyprawioną jadem. Sęk w tym, że obydwa winowajcy, a w ślad za nimi pozostali domownicy, konsekwentnie olewali jego starania i nie wykazywali choćby cienia skruchy. W tej sytuacji ktoś o mniej wybujałym ego prawdopodobnie pokusiłby się o refleksję, może nawet odpuścił, jeśli nie wskutek szczerego opamiętania, to choćby dla świętego spokoju, ale nie Romańczuk. Romańczuk się zaciął. A im lepiej sobie bez niego radzili, tym bardziej ów stan mu się pogłębiał. Po tygodniu bezskutecznego focha na znak buntu ostatecznego już na dobre przyssał się do komputera, a wąskie, podziaduniowe leże opuszczał, niczym rasowy wapiersz, głównie pod osłoną

nocy, gdy cały dom spał i nie narzucał mu się ze swym wstrętnym istnieniem.

Które teraz nijak nie dawało się wyprzeć. Niewyspany i zły jak osa, Konrad w końcu zwlókł się z tapczanu boleści i zstąpił na dół, podążając tropem potwornych dźwięków. Te zawiodły go pod drzwi mikroskopijnego prawie że salonu, gdzie gromki bas śpiewał na przemian ze znacznie mniej donośnym, acz równie zaangażowanym trelem, w którym pobrzmiwały wyraźne ciągoty do jodłowania:

– *MARZENIE MAM!*

– *Marzenie mam!*

– *MARZENIE MAM!*

– *Chcę zobaczyć światło latających laaaamp! Bardzo na tym mi zależy, cieszę się, że zeszedłem z wieży, kochani, tak jak wy, marzenie maaaaaaaam!*

Na kanapie, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, stało rozśpiewane Licho w ciepłej piżamie i bamboszkach i wymachiwało nadgryzioną eklerką w czekoladzie. Z fotela wtórował mu ochoczo Turu Brząszczyk, z włosom wzburzonym i w stroju równie swobodnym, przerwawszy na chwilę zmagania z drożdżowym wieńcem, niewiele mniejszym od talerza, na którym spoczywał. Na ekranie telewizora Roszpunka w scenie karczemnej realizowała skomplikowany układ choreograficzny na zbójców, kameleona i fryzurę, w kominku buzował ogień, a powietrze pachniało odurzająco lukrem i obrzydliwie słodkim kakao.

– Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz! – zapiszczało Licho, podskakując miarowo i szeleszcząc celofanowymi włosami, kiedy ucichły ostatnie takty piosenki.

Turowi nie trzeba było cztery razy powtarzać. Majtnął pilotem od odtwarzacza i w okamgnieniu zgrała disnejowskich zbójców raz jeszcze przystąpiła do chóralnych pień i płaśów zespołowych ku jednomyślnej konsternacji zarówno żywego Konrada Romańczuka, jak i animowanego Flynna Rajtara.

Na szczęście siedzący w kuchni Tsadkiel nie rwał się do numerów musicalowych. Zamiast tego spełniał się, w ciszy i skupieniu krojąc obraną marchew. Spełniał się, prawdę powiedziawszy, nawet nie mimowolnie, ile wprost wbrewwolnie, zaprzęgnięty do tego pasjonującego zajęcia przez Tura, który się z dużym aniołem nie certolił i dzień w dzień gonił go do pożytecznej roboty niczym egipski nadzorca niewolników. Tym razem padło na rzeźbienie warzyw do pierwszej próby krupniku. Przed Tsadkiem na stole przeżył się teraz równy szereg precyzyjnie odmierzonych słupków doskonałych, które pomyślnie przeszły szczegółową kontrolę parametrów. Utylizacją

pozostałych, wybrakowanych pod jakimkolwiek względem, zajmowało się na bieżąco osiem różowych królików, wpatrzonych w anioła niczym w obrazek. Bądź potencjalną ofiarę – granica była wszak płynna.

– A ty co, nie przyłączysz się do śpiewów w tonacji d-bil? – zagaił Konrad z całą życzliwością, na jaką był w stanie się zdobyć po niespełna czterech godzinach snu. – Czy może poniżej chorału gregoriańskiego nie schodzisz?

Pstryknął ekspresem do kawy. Ametystowe oczy spojrzały na niego z przyganą, kiedy młynek zarządził agonalnie i do kubka zaczęła ciurkać ciemnobrązowa ciecz. Romańczuk tymczasem wygrzebał z chlebaka dwie kromki, a w lodówce, oprócz zapasów światła, znalazł piętke starego sera, pół kartonu mleka i dwa zapomniane jajka. Pozostałe miejsce na półkach zajmowały białe pudła ze znaczkiem najbliższej piekarni, a w nich eklerki, ptysie, bajaderki i co najmniej trzy rodzaje ciasta.

– Albo Turu postanowił przed świętami zadbać o linię – rzucił, z braku wolnej ręki trącając drzwi lodówki kościstym biodrem, żeby się zamknęły – albo znów zarządził dzień piżamowy.

Tsadkiel prychnął znad kolejnej marchewki, którą właśnie obierał.

– Chciałeś powiedzieć: dzień postępującej abnegacji i degrengolady.

Zaskoczony Romańczuk zastygł na chwilę nad miską z rozbełtanymi jajkami, które właśnie zalewał mlekiem.

– Nie żebym przepadał za ptysiami czy Disneyem w ilościach większych niż homeopatyczne, ale z tą degrengoladą to chyba lekka przesada?...

– Och, doprawdy, alleluja! – Tsadkiel przewrócił oczyma. – Zaczyna się od jednego ptysia do kawy albo na poprawę humoru, a kończy na utrwalonych zaniedbaniach higieny osobistej oraz skomasowanych błędach żywieniowych, prowadzących do próchnicy, uciążliwych zaparć, otyłości, ciągłych wyrzutów insuliny do krwi i zaburzeń gospodarki glukozy. A jakby tego znęcania się nad powłoką cielesną było mało, dochodzi jeszcze karmienie podatnego na manipulacje umysłu bazującymi na szkodliwych stereotypach bajkami o wątpliwych walorach estetycznych i wysokim stopniu fabularnej retardacji. Ale cóż, komu ja to tłumaczę. Perły, perły przed wieprze! – zakrzyknął, dramatycznym gestem ciskając obierki przed nienażarte różowe króliki. – Nie powinienem wymagać elementarnej świadomości od człowieka, który żyje z produkowania podobnej fikcji i paraduje po domu w powyciąganym dresie.

Owszem, ciemnoszary dres, aczkolwiek praktyczny i wygodny, rzeczywiście był już powyciągany. Na zmizerniałym Romańczuku przypominał wręcz spłowiały worek pokutny. Tu i ówdzie rozchodził się na szwach, a nawet, do czego Konrad przenigdy by się nikomu nie przyznał,



w strategicznym miejscu miał dwie niewielkie dziury.

– Wcale nie jest powyciągany. To taki fason.

– Tak sobie wmawiaj.

Zgrzytając machinalnie zębami, Romańczuk czym prędzej usmażył sobie dwa francuskie tosty, obłożył je serem i na koniec pociągnął grubą warstwą keczupu. Przez cały ten czas anioł nie spuszczał go z oka. W końcu czuł się zmuszony westchnąć.

– Doprawdy, alleluja. Przepracowanie, długotrwały stres, siedzący tryb życia, niedobory snu, zapewne również przewlekłe zaburzenia czynności seksualnych...

Romańczuk w ostatniej chwili złapał talerz ze śniadaniem, który już leciał mu z ręki.

– ...a ty tak po prostu dokładasz do tego kofeinę, cukier, sól, gluten i tłuszcze nasycone. Planujesz pierwszy zawał, alleluja? W twojej grupie wiekowej śmiertelność sięga od czterdziestu do nawet...

– Słuszna uwaga! Nie powinienem ryzykować porażki! – przerwał mu Konrad. Do ociekających tłuszczem tostów dołożył jeszcze największą bajaderkę, jaką znalazł, zgarnął spod ekspresu kubek lurowatej, nieco przestygłej kawy i z kostycznym uśmiechem wymaszerował z kuchni.

Na korytarzu minął się z zaaferowanymi Niemcami, którzy żołnierskim truchtem zmierzali właśnie do prawie że salonu. Jeszcze zanim dotarł do swojego zacisza, mamrocząc coś pod nosem o innych czynnościach z wykorzystaniem kija od mopa, które z chęcią zafundowałyby temu nadętemu pierzastemu palantowi, na dole rozległo się przejmujące, basowe wycie przedpołudniowego Tura:

– *THE HIIILLS ARE ALIVE WITH THE SOUND OF MUUUSIIC!!!*

Konrad z nieopisaną ulgą zamknął się w wąskim, podziaduniowym pokoju niczym wampir w przytulnej trumnie, usiadł przy biurku, otworzył laptopa i zaczął żuć gumowate tosty, jednocześnie sprawdzając, co tam na forum.

Zanim się obejrzał, takie sprawdzanie weszło mu w nawyk. Na początku miał spore opory, gdyż o ile zawodowo nie potrafił funkcjonować bez komputera, o tyle jako człowiek nie zwykł spędzać życia w internecie. Przełamał się jednak po tym, jak wskutek incydentu z lizakami nieoczekiwanie znalazł się na przymusowej emigracji. Pod wpływem chwili wstukał wtedy adres z paragonu do okna przeglądarki, podał hasło dostępu, które również otrzymał od Pawła, założył konto – i przepadł z kretesem.

Forum było prywatne i niedostępne z poziomu zwykłej wyszukiwarki. Liczyło sobie zaledwie kilkudziesięciu użytkowników, zwyczajnych ludzi

z nadzwyczajnymi problemami. Większość z nich niechęć odziedziczyła anioły stróż, widma, te ucieleśnione i te całkiem bezcielesne, trolle i czarty, ale też tęsknice, koboldy, gnomy, nimfy, utopce, dziwożony, pokucie, dziny czy dybuki. Jednemu szczęściarzowi trafiła się mocno posunięta w latach strzyga z łysieniem plackowatym i sklerozą, innemu żar-ptak, który kłął gorzej niż marynarska papuga, a za niejakim kaloszem1973 od siedmiu lat łąził – zgodnie budzący pośród forumowiczów najszczerzą grozę i współczucie – niewielki, nieopatrznie spersonifikowany wyrzut sumienia, w którego charakter tak na wszelki wypadek starali się nie wnikać.

Na swój sposób w tym zbiorowym wylewaniu żali na prywatno-publicznym forum było coś pocieszającego, o czym Romańczuk przekonał się osobiście, kiedy napisał pierwszy post i zaczął otrzymywać odpowiedzi od ludzi, którzy choć całkiem obcy, doskonale rozumieli, o co mu chodziło, i chętnie rozwiewali bądź potwierdzali jego wątpliwości. Dzieliły ich wykształcenie, miejsce zamieszkania, płeć, poglądy i gusta, status społeczny, stan cywilny oraz kilometry, często liczone w setkach, za to łączyło jedno. Wszyscy mieli aż po kokardę całej tej hecy z dożywociem.

Konrad otworzył ostatnią stronę najbardziej obleganego wątku do narzekań natury ogólnej. Przeleciał szybko najświeższe posty, w których heniekkk z Podkarpacia skarżył się na liniejącego żmija, a goplana18 pytała o sprawdzone patenty na nocnicę z narkolepsją i nadpobudliwe niemowlę, po czym napisał niezobowiązująco, dla podtrzymania konwersacji:

**puffball\_of\_doom:** U mnie anioł, wiking i trzech wehrmachtowcy urządzili sobie dziś dzień piżamowy i właśnie odstawiają musical. „Dźwięki muzyki”, jeśli mi dobrze dzwoni. A dzwoni głośno.

Na forum oprócz niego przebywało jeszcze paru użytkowników. Odpowiedź pojawiła się po kilku minutach.

**kalosz1973:** Do-re-mi?

Nie bez wahania Konrad wstał od biurka z tostem w dłoni i uchylił drzwi. Szyby w oknie aż zadrżały od dynamicznego umpa-umpa, kiedy po domu poniosły się pierwsze takty muzyki orkiestrowej w klimatach boleśnie bawarskich.

– *High on a hill was a lonely goatherd* – zaintonowało Licho wątpliwym

falsetem.

– *LAY EE ODL LAY EE ODL LAY HEE HOO!!!* – ryknął na to Wehrmacht ile sił w trzech widmowych germańskich piersiach.

Przymknąwszy drzwi, Konrad wrócił do biurka i szybko wklepał:

**puffball\_of\_doom:** A czort wie. Teraz chyba coś o kozach.

Zdażył połknąć ostatni kęs drugiego tosta, popić łykiem kawy i zabrać się do lepkiej bajaderki, gdy na dole strony wyświetliły się odpowiedzi na jego wiadomość.

**masloczymargaryna:** Czort mówi, że nic nie wie. Oglada tylko komedie romantyczne z Meg Ryan i nie przypomina sobie, żeby tam była jakaś koza. Ale może sprawdzić.

**goplana18:** Koza była w Człowieku, który gapił się na kozy. Porąbany film.

**masloczymargaryna:** Ale to chyba z Clooney'em? czy z Ryan?

**goplana18:** No z Clooney'em, ale puffball pytał o kozy, c'nie?

**malvinkaa:** lubie Clooney'a

**kalosz1973:** Z kozami to The Lonely Goatherd.

**puffball\_of\_doom:** @kalosz1973, dzięki, bardzo możliwe, że TLG. @goplana18, wcale nie pytałem, napisałem tylko, że śpiewają coś o kozach. A tak poza tym to Clooneya, nie Clooney'a.

**malvinkaa:** sorry pisze bez polskich znakow

– Idioci. Wszędzie idioci – burknął Konrad, po czym z ciężkim westchnieniem zatkał się bajaderką.

\*\*\*

Dzień pizamowy, oprócz rozbudowanego programu wokalnego na pięć głosów i jeden odtwarzacz DVD, przyniósł też ożywienie trącej kryptą atmosfery, jaka od dłuższego czasu zalegała w domu. Energia zdawała się wprost rozsadzać niedźwiedzie ciało Tura Brząszczyka. Po części wskutek przyjęcia na klatę i organy wewnętrzne uderzeniowej dawki cukru, od której cały aż chodził, głównie jednak za sprawą bezmiaru rozanielenia na pyzatej anielskiej gębie, które obudziło w wikingu moc wszechpotężną, a ta

stanowczo domagała się ujścia. Wobec tego dla należytego zwieńczenia tak miło przebiegającego dnia Turu zarządził powszechne pierniczenie. Czas ku temu był wszak najwyższy.

Przegoniwszy piżamowy chórek z prawie że salonu do przytulnej kuchni, przez co posagowy Tsadkiel zmuszony był opuścić stół i ewakuować się z cyzelowaniem pietruszki pod okno, wiking metodą ręczną objaśnił wpierw stłoczonym Niemcom, że teraz będzie inszy arbajt.

– Wy! Stempel! Pucen! – rzekł głośno i wyraźnie, zgodnie z najszczytniejszymi tradycjami rozmówek polsko-dowolnych, wręczając im stary, zakurzony karton z foremkami do ciastek. – Na zicher! Żeby mi był glanc, jak psu jajca!

– Jajtza?... – powtórzył najwyższy Niemiec i zerknął niepewnie na swych pobratymców, a ci zaczęli energicznie kiwać głowami, że *jawohl*, pucen jajtza, glanc pucen, oczywiście.

Zaraz potem odetchnęli z ulgą, bo Turu postanowił wesprzeć słowo czynem i na wszelki wypadek pchnął ich w kierunku kuchennego zlewu, powtarzając przy tym zachęcająco:

– Pucen, pucen!

Podczas gdy Wehrmacht doprowadzał zakurzone, pordzewiałe foremki do stanu używalności, przyjąwszy psie jajca za wzorzec pożądanego glancu, Brząszczyk walczył ze scukrzonym miodem, który odmawiał opuszczenia słoika, Licho zaś przesiewało mąkę do wielkiej misy, nie szczędząc przy tym stołu i okolic. Jeśli nie liczyć regularnych kichnięć, kompletnie przy tym ignorowało Tsadkiela i jego naindyczenie nad bladą, banalną pietruszką, jak gdyby przynależeli do zupełnie innego wymiaru. A kiedy po kuchni rozeszła się ciężka, upajająca woń korzennych przypraw, ekstaza małego anioła sięgnęła zenitu. Życie przez chwilę znów było piękne, tak piękne, że aż strach. Aromaterapia czyniła cuda.

Potem wielka kula ciasta trafiła do lodówki, Licho z rozpędu wspięło się do pawlacza, gdzie spoczywały w ukryciu, jak wieść gminna niosła, przyjazne piernikom puszki, a Turu z szelmowskim błyskiem w oku wcisnął się do spiżarni, by po chwili wrócić do kuchni z dwiema butelkami wina, które pamiętało jeszcze dziadunia na tropie średników.

– To co, panowie? – Pomachał szkłem zachęcająco. – Flaszeczka na tę okoliczność?

Tym razem porozumienie ponad językami zostało osiągnięte w trybie natychmiastowym.

– *Doch, ja!*

– *Flasche, ja!*

– *Aber natürlich, Herr Turu!*

– A tak żem se właśnie pomyślał, że naturaliś! Fest chłopaki, co tu gadać, chociaż bladawe takie. Liszko, podaj no tamten saganek, toż nie będziemy jak te zwierzęta...

Widząc, że mały anioł wręcza wikingowi słusznych rozmiarów garnek, średni Niemiec w lot załapał intencję. Zgarnął ze stołu resztki rozmaitych przypraw, których nie wykorzystali do piernikowego ciasta.

– *Mit...* – urwał, szukając w pamięci właściwego rzeczownika, po czym dopowiedział niepewnie: – ...teges?

– No przecież naturaliś, że teges! – huknął Turu od serca.

Wino już opuszczało zacisze butelek z nie takim znowu cichym bulgotem, podczas gdy Wehrmacht sypał hojnie przyprawami.

– Jedzicie tym tegesem, dużo tegesu, dużo!

– Doprawdy, alleluja – wraz z szelestem pierza dobiegło z kąta aniołów i warzyw wyklętych. – Ryzykowne spożywanie alkoholu prowadzi do problemów zdrowotnych o charakterze somatycznym i psychicznym, jak również do przemocy, bezrobocia, rozpadu więzi międzyludzkich oraz ogólnego upadku i upodlenia.

– Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz – odgryzł się Brząszczyk dobrodusznie, mieszając wino z tegesem i nawet nie spoglądając za siebie. – I lepiej uwijaj się z tą pietruchą, Zadkieleczku, bo cię tu noc zastanie, zanim krupniczku uświadczysz. A nawet nie doszedłeś do ziemniaczków...

Pół gara później foremki poszły w ruch. Stłoczone wokół stołu siły germańskie były już na etapie wesołego *heidi, heido, heida*, roślejsza, a przez to wytrzymalsza siła nordycka komenderowała, z rosnącą swobodą lawirując między językami, pół siły anielskiej zaś wprawiało się w niełatwej sztuce rozwałkowywania ciasta na odpowiedni stopień płaskości.

– Już, Liszko, wystarczy. Pamiętaj, że łatwiej kijek pocieniować niż go potem pogrubasić. *Gut, gut*, chłopaki, wałken! Iiiiiiiii... szlus, do stempelen – przystap!

Partia za partią gotowe pierniczki opuszczały czeluść piekarnika i w wielkich stertach wylegiwały się gdzie popadnie, by niespiesznie stygnąć.

– Bimbrozja! – Turu zaciągnął się ich zapachem mieszającym się z wonią grzańca, kiedy etap zmasowanego pieczenia mieli w końcu za sobą. – A teraz szpachle w garść i upierniczamy pierniczki! – zarządził, stawiając pośrodku stołu michę z lukrem.

Choć cały proces pierniczenia – dotychczas praktycznie mu nieznan, bo

pozostający domeną Krakera – okazał się wielce przyjemny, Licho najbardziej czekało właśnie na ten moment. Po głębokim namyśle wybrało sobie pierniczek w kształcie jeża i przystąpiło do pieczołowitego dekorowania za pomocą takich skomplikowanych narzędzi jak łyżeczka oraz pół paczki wykałaczek. Dłubało przy nim i dłubało, ślepe na dobrotliwy uśmiech na zarumienionej twarzy Tura, głuche na szwargotanie rozczulonych niemieckich widm, nieświadome, że z tego przejęcia wysuwało koniuszek języka i lekko zezowało.

Aż nadeszła chwila triumfu.

– Ozdobiłam, alleluja! – zakrzyknęło, tocząc po zebranych przy stole tęczowym spojrzeniem.

Jeż miał przypalone łapki, ukruszony ogon, nos z goździka, jedno oko na czole, drugie na policzku i lukrową ospę, ale był też pierwszym, a zatem bezsprzecznie najpiękniejszym jeżem, jakiego Licho kiedykolwiek zrobiło. Aż puchło z dumy, patrząc to na swe koślawe dzieło, to na pozostałe cztery piąte chórkę, który czym prędzej porzucił własne pierniczki, by wyrazić zachwyt i uznanie, bez względu na stopień ucieleśnienia czy językową przynależność.

Naraz na kuchenny stół padł rozłożysty cień. Anielskie skrzydła zaszeleściły cicho, kiedy Tsadkiel nachylił się nad jeżem, wdzięcznym gestem odgarniając złociste włosy za ucho. Po czym uśmiechnął się – niewymuszenie, łagodnie wręcz, zupełnie jak nie on, a jednak... A jednak było w tym uśmiechu coś takiego, że nawet nieobeznany w kontekście domowy Wehrmacht znieruchomiał w oczekiwaniu, wikińskie serce zamarło zaś na ułamek sekundy. I tylko Licho nie przestawało promienieć, jak gdyby nic a nic nie przeczuwało.

Tsadkiel wziął pierwszy z brzegu łysy pierniczek, suchą wykałaczkę i wciąż z tym samym wyrazem na gładkim anielskim obliczu począł kreślić lukrowe ornamenty. Wreszcie przekrzywił głowę, ze zmarszczonymi brwiami lustrując efekty ametystowym spojrzeniem. Naniósł jeszcze poprawkę lub dwie, na koniec sychnął nonszalancko cukrem to tu, to tam, a potem miotnął od niechcienia gotowym ciasteczkiem przez stół tak, że wylądowało tuż obok jeża.

– Masz, alleluja. Zobacz, jak to się robi.

Od kryształków cukru piernikowe serce aż skrzyło się w blasku lampy, kunsztownie malowane lukrem w esy-floresy niczym szyba mrozem, mistrzem w swoim fachu. Jeż zdawał się łypać na nie górnym okiem sponad goździkowego nosa, zawstydzony własną pokracznością.

Prawdziwy świąteczny piernik kontra... cóż, niewydarzony, licheski

wypierdek.

I wtedy z ust Tsadkiela spłynęły gładko te najstraszniejsze, najpotworniejsze słowa, które od wielu dni tłukły się i kłębiły w Lichu, ukryte głęboko, na samym dnie serduszka, gdzie nikt nigdy, przenigdy miał ich nie zobaczyć:

– Cóż się dziwić, że twój własny człowiek cię nie potrzebuje, skoro ty do niczego się nie nadajesz.

Serduszko nie wytrzymało i pękło.

Wehrmacht, wciąż nic nie rozumiejąc, również nie wytrzymał i rozejrzał się za bronią palną.

A Turu Brząszczyk wstał, wziął szczodry zamach i z całą mocą swych stu trzydziestu kilogramów strzelił pięknego Tsadkiela prosto w tę cacaną anielską gębę.

Po czym stanął nad ogłuszonym aniołem stróżem, splunął i na przemian to zaciskając, to rozluźniając pięść, która wciąż go świerzbiła, wycedził:

– Ty nie jesteś żaden Zadkiel. Ty jesteś zwykły, ordynarny Dupkiel!

## Rozdział 9

Mróz i obfite opady śniegu, oprócz tradycyjnej konfuzji drogowców, przyniosły też inne, wymierne skutki. Stacje radiowe już bez żadnych zahamowań prześcigały się w osiągnięciu maksymalnego stężenia kołęd na minutę czasu antenowego. W całym mieście kolejne ulice i domy przyoblekały się w girlandy różnobarwnych lampek, które ożywały wraz z zapadnięciem zmroku. Świat pojaśniał zauważalnie, a wraz z nim nabzdyczona dusza Konrada Romańczuka. Jego majestat, zapomniawszy o obrazie, ośmielił się bez fanfar i fajerwerków wypełznąć ze swej nory z powrotem na łono życia domowego, łono zaś wspaniałomyślnie uznało, że mu odpuści kajanie się w skrusze. Sprawę dodatkowo ułatwiało to, że palmę pierwszeństwa w kategorii samodąsu ostentacyjnie dzierżył teraz Tsadkiel, odliczający ostatnie dni swego pobytu pod tym niegościnnym dachem. *Summa summarum* nie był to może pełnowymiarowy świąteczny cud, taki w sam raz na hollywoodzką ekranizację, z rozmachem i w ogóle, ale wystarczająco blisko jak na lokalne potrzeby.

Wreszcie nadszedł ten dzień, kiedy w prawie że salonie miała stanąć choinka.

– Wejdzie bez mydła – orzekł Turu pogodnie, strzepując płatki śniegu z brody, podczas gdy na podwórku pośród nabierającej rozmachu zamieci trzej całkiem już ucieleśnieni Niemcy szarpali się ze spletanym drzewkiem, usiłując bez strat w widmach zwlec je z dachu tico i wtaszczyć do domu.

Konrad odwiesił płaszcz i z ciężkim sercem sięgnął po kuchenny fartuszek w kwiatopodobne maziaje, z którym przez następną dobę miał się nie rozstawać.

– Nie wejdzie – powtórzył po raz nie wiadomo już który, acz bez większego emocjonalnego zaangażowania. Zgarnął z podłogi siatki z ostatnimi zakupami i przeniósł do kuchni, uprzednio wywlekłszy z nich króliczą watahę, która już buszowała w najlepsze wśród paczek, puszek i pudełek. – Salon ma trzy metry wysokości, a choinka, tak na oko, co najmniej pół metra więcej.

– Na oko, Konradeńku, to chłop w szpitalu umarł. A jak będzie trzeba, to choinka się weźmie i zgarbi. Nooo, chłopaki prima sort! – Brząszczyk zatarł zmarznięte łapska, widząc, że trzy widma ze strychu już wspinały się z drzewkiem na ganek. – Wy tę choinken szast-prast wtachen, a potem może



by tak flachen z tegesem na rozgrzewkę?...

Słyszając to, Konrad wyrzął z kuchni i machnął groźnie warząchwią.

– Ja wam dam flachen z tegesem! A pierogów to kto nalepi, Duch Święty?

– Oj tam, nie skwierz, Konradeńku, toż od odrobiny tegesu jeszcze nikt nie umarł. A i pierożyć od razu raźniej będzie.

Przyprószeni śniegiem Niemcy, którzy dzierżąc choinkę, przemaszerowali właśnie korytarzem, przytaknęli skwapliwie, że *jawohl*, *flachen mit teges*, *jawohl*, *otsch... otschivische!*

– Zuch Wehrmacht, patrz, jaki pojętny! – Wzruszony wiking miał łzy w oczach.

– Ta, aż dziw, że jeszcze *Inwokacji* nie recytują...

W tej samej chwili z wyraźną niechęcią i koszulą w dłoni z piętra zstąpił Tsadkiel.

– Doprawdy, alleluja – sarknął, spoglądając w ślad za trzema objuczonymi tragarzami, którzy zniknęli w salonie. – O ile zdążyłem się zorientować, Turu uprawia alkoholizm i pogaństwo, ty zaś, Konradzie, jesteś czynnym bezbożnikiem. I wy zamierzacie obchodzić święta?

– Ma się rozumieć! – odparł wiking rażno. – Będzie choinka, barszcz z uszkami, gorzała z tegesem, wspólne plwanie na tradycje i rodzinne wartości. A na koniec, jak to bezbożni alkoholicy, wskoczymy w dresy, zaintonujemy nieczysto kolędę i napchamy się ciasta.

Z lekką nerwowością Romańczuk zacisnął mocniej palce na warząchwii i przestąpił z nogi na nogę.

– Eee, ciasta? Ja... jakiego ciasta?...

– Ja tam najchętniej kąsałbym serniczek, ale... ale... No co tak gały wybałuszasz?

– Bo... bo widzisz, Turu, z wypiekami to ja... ja tak nie za bardzo...

Brząszczyk stał przez chwilę z rozdziawionymi ustami i wpatrywał się tępo w zmieszanego Konrada.

– Chcesz powiedzieć, że nie będzie ciasta? – wychrypiał wreszcie.

– No cóż... przyznam, że nie miałem w planach...

– Ale... ale w święta?!

– Cóż, mówi się trudno. Będą za to...

– Trudno to się zesrać, jak się nic nie jadło! – huknął wzburzony Turu i gwałtownym ruchem zerwał z wieszaka kufajkę, którą ledwo przed chwilą ściągnął z grzbietu. – Czort z pierogami, wyruszam po sernik! I makowiec! I... i po strudel też!

Tsadkiel chrząknął ponagłająco. Istotnie, czort z pierogami i z ciastem

również, on tu miał prawdziwy problem!

– Uważasz, że to jest wyprasowane? – zapytał surowym tonem i zaprezentował Romańczukowi swoją koszulę.

Turu, już z dłonią zaciśniętą na klamce frontowych drzwi, aż zerknął z ciekawości za siebie i szczerze zwątpiwszy, łypnął niepewnie na Konrada. Ten zaś przekrzywił głowę i zamyślił się, usiłując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek fundował tej oto koszuli bliższy kontakt z żelazkiem. Jeśli sądzić po unikatowym deseniu zmarszczek przy kołnierzyku i guzikach, to owszem.

– Uważam, że jest mniej wymięte – odparł zgodnie z prawdą. – Raczej. Chyba. Tak podejrzewam. Sądzę, że możemy tak przyjąć.

– A czy możemy przyjąć, że prasowanie nie polega na przemieszczeniu zmarszczek i zagnieć z punktu A do punktu B?

– Możemy nawet przyjąć, że mnie to obchodzi, tyle że tak jakby nie.

– Doprawdy, alleluja! Gdybyś tylko zaczął od porządnego zwilżenia materiału, po czym przystąpił do prasowania, zachowując odpowiednią kolejność...

– Przepraszam, z której dokładnie strony ja ci wyglądam na Marthę Stewart?

Turu Brząszczyk, który jedną nogą był już za drzwiami, odwrócił się raz jeszcze i wydał z siebie diaboliczny chichot.

– Zasłużyłeś, to masz teraz za swoje! Święta bez ciasta, też mi pomysła!

I zniknął, trzaskając drzwiami.

Kiedy powrócił ze zdobyczą, z prawie że salonu dobiegał ożywiony szwargot, przez który przebijał się radosny głosik Licha. Wehrmachtowcy wspólnie z małym aniołem dzielnie szturmowali nieco zgarbioną choinkę, uzbrojeni w bombki, łańcuchy i kłębowisko światełek. W kuchni cicho pyrkał barszcz, a Romańczuk usiłował zlepić uszko, podczas gdy Tsadkiel bezlitośnie patrzył mu na ręce.

– Które to już? – Turu, udobruchany słodkim ciężarem przytarganych pudeł, sobie tylko znanym sposobem zdołał je wcisnąć do zapełnionej lodówki.

– Trzecie – warknął Konrad.

– Uuu, to nie za bogato, bratku...

– Cóż począć, to kompletny amator – skwitował surowo rosły anioł stróż. – Technika wykonania pozostawia wiele do życzenia, zespolenie brzegów budzi poważne obawy o trwałość wyrobu w trakcie obróbki termicznej, a stopień wypełnienia farszem woła o pomstę do nieba.

Na to Romańczuk zgrzytnął zębami tak mocno, że mało nie ukruszył plomby.

– No właśnie czekałem na wypowiedź fachowca.

Brząszczyk postanowił ulitować się nad biedaczyskiem, któremu coraz bardziej trzęsły się ręce.

– Widzę, Zadkieleczku, że się nudzisz i szukasz wyzwania – stwierdził, po czym z uśmiechem wręczył Tsadkielowi kilogramowy worek cebuli. – W kosteczkę poproszę. Trzy na trzy.

– Centymetry?

– Och, DOPRAWDY. Nie-nie-nie, nie tutaj! – Odgonił anioła od stołu, przy którym Romańczuk uparcie walczył z materią. – Tam zmykaj, tam, do kącika, kopciuszk, żeby nam potem uszka cebulą za bardzo nie woniały. Cebula kiepsko się komponuje ze świętami.

– Czy ja znowu o czymś zapomniałem? – zapytał Konrad półgłosem, żeby nie usłyszał go Tsadkiel, który przycupnął pod oknem. – Po co nam kilogram cebuli w kosteczce trzy na trzy?

– Ano po to, żeby gad miał zajęcie i nie truł – odparł wiking, siadając naprzeciwko. – Potem dobije się go ziemniakami, dorzuci jajo, zaciągnie majonezem i będzie jak znalazł *Kartoffelsalat* dla Wehrmachtu. Dobra, dawaj no te uszka, ofermo batalionowa. Pokażę ci, jak to się robi. *Przybieżeli do Betlejem pas-te-rze!* – zaintonował gromko, wycinając kieliszkiem kółeczko z ciasta. – *Grając skocznie Dzieciq...*

– Dopraw...

– Dziób w ciup, Zadkieleczku, dziób w ciup! – zaćwierkał Turu i jak gdyby nigdy nic podjął na nowo: – *Grając skocznie Dzieciqteczku na li-rze! CHWA! Ła na wysokości, CHWA! Ła na wysokości...*

Gdy nastał wieczór, na stole spoczywało dwieście uszek i tyleż samo pierogów, resztki barszczu, który zaledwie trzy razy wyszedł z garnka, studziły się na parapecie, aż całe okno zaparowało, Konrad i Turu, osobliwie rozluźnieni i rumiani, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku szykowali grzańca z tegesem dla całego pułku wojska, a Tsadkiel, zapuchnięty i zasmarkany, szlochał jak bóbr nad ostatnią cebulą. Nieopodal zaś, w prawie że salonie, Licho i trzej Niemcy ze strychu wciskali na choinkę ostatnie ozdoby, na zmianę i w różnych narzeczach tłumacząc różowym królikom, że kartonów na bombki konsumować jednakowoż nie należy, gdyż nie. Króliki wytrwale zgłaszały zdanie odrębne, kartony zaś wstrzymały się od głosu w tej sprawie.

Ten oto moment błęgiego szczęścia i ogólnej beztroski wybrała sobie siła

nizsza, by wetknąć drucik do kontaktu i spowodować małe zwarcie na linii Konrad Romańczuk – świat i okolice.

Zaczął się od przeciągniętego terkotu dzwonka.

– Masz, mieszaj. – Pochylony nad grzańcem Romańczuk wcisnął Brząszczykowi warząchew. – Tylko żeby mi połowa zaraz nie wyparowała tajemniczym sposobem! – dodał jeszcze i poszedł otworzyć, po drodze wycierając ręce w kuchenny fartuszek.

Dzwonek tymczasem terkotał zajadle i niezmordowanie. Umilkł jak nożem uciał, dopiero gdy klamka zgrzytnęła pod dłonią Konrada i drzwi otworzyły się z chrobotem, ukazując zmęczonym oczom mężczyzny kształt spowity w ciemność i śnieg.

Mroźny powiew wdarł się do samych trzewi domu, w głąb bezsilnych ciał i dusz, a wraz z nim pradawna, nieludzka groza. Monstrualny kształt drgnął, po czym postąpił ku światłu w swym obmierzłym ogromie. Przerazająca, bezdenna pustka biła z czworga jego bazylijskowych ślepi, zmierzwiona sierść nieokreślonej barwy cuchnęła czystym złem. Stwór dyszał chrapliwie, obnażając ostre, złaknione krwi kły. Sinym, skostniałym łapskiem uczeplił się framugi, rzeźbiąc pazurami głębokie bruzdy w bezbronny drewnie. Aż dziw, że nie zaskowyczało żałośnie.

Wszelka radość w mgnieniu oka uszła z Konrada Romańczuka, a wraz z nią zgasła ostatnia iskierka życia.

– Za co?... – zdążył jeszcze wyszeptać zbielełymi wargami.

– Zamykaj te drzwi, bo złem pizga! – rozległo się tuż za nim i w korytarzu stanął zwalisty wiking.

Kształt spojrział na Tura Brząszczyka ponad ramieniem zmartwiałego Konrada.

Turu Brząszczyk spojrział na kształt.

I oto ujrzał był istotę z niebios zesłaną, tęczą spowitą, krasawicę nadobną w blasku nieziemskim skąpaną, anielicę wcieloną, acz bezskrzydłą, hurysę samych bogów godną, o ustach karminowych, kuszących, licu rumianym, dumnym spojrzeniu ócz gwiazdzistych i kształtach tak bujnych, tak szczodrych, że ręce aż same się rwały, by je pieścić, gładzić, hołubić. Zresztą nie tylko one.

Turu wydał z siebie gardłowy pomruk czystego pożądania.

Konrad resztką sił i godności stłumił dławiący go szloch.

– Niech ktoś go ode mnie weźmie, zanim się zleję – syknęła Carmilla, wyciągając przed siebie dygoczące spazmatycznie pół psa w markowym zimowym kubraczku.

\*\*\*

Odpowiedziawszy na zew pęcherza, Carmilla wtoczyła się do kuchni i opadła na krzesło. Mebel wydał z siebie potępieńczy jęk, a wraz z nim wciąż porażona zgrozą dusza Konrada.

Z całych sił starał się nie stracić zdrowych zmysłów i wyprzeć to, co widział, słyszał i czuł, nie dało się jednak ukryć, że na wprost niego, po drugiej stronie wąskiego stołu siedziała Carmilla we własnej osobie. Niby ta sama harpia bezlitosna, ale jednak inna. Jakaś taka... mimo wszystko podobniejsza do człowieka, z włosiem bujniejszym i dłuższym, zgarniętym w kucyk, za to bez tipsów, makijażu i nieodłącznego papierosa przyklejonego do dolnej wargi. I grubsza, nade wszystko grubsza, grubością niepodważalną, konkretną, skondensowaną i skupioną w bezsprzecznie ciężowym brzuchu. Tak bardzo ciężowym, że bardziej się już chyba nie dało.

Konrad nawet nie musiał o nic pytać. Sklerozy jeszcze nie miał, aczkolwiek pewne wspomnienia z chęcią by wyparł. Liczyć też potrafił. Doskonale wiedział, po co zjawiała się Carmilla. Wiedział też, że to, co usłyszy od niego w odpowiedzi, wcale a wcale nie przypadnie jej do gustu. I wtedy stanie się wielkie trzęsienie ziemi i słońce stanie się czarne jak włosieny wór, a cały księżyc stanie się jak krew i gwiazdy spadną z nieba na ziemię, a Konrad Romańczuk będzie miał przesrane jak jeszcze nigdy dotąd.

– Gdzie. On. Jest – wycedziła Carmilla znad wciśniętego między surowe pierogi kubka z herbatą.

Wieczne odpoczywanie racz mi dać, Panie... – przemknęło Konradowi przez myśl. Wziął głęboki wdech.

– Zniknął.

– Jak to: zniknął?

– Tak po prostu. Wziął – i zniknął.

– Ludzie nie znikają tak po prostu – odparowała kategorycznym tonem. – Przeprowadzają się, wyjeżdżają, ukrywają się przed komornikiem, czasem, owszem, lądują w dole z wapnem, ale nie znikają tak po prostu, sami z siebie. Więc?

– Ludzie może i nie, za to widma owszem, jak najbardziej. Prosty system zero-jedynkowy. Było – nie ma. Zniknął, wyparował, rozplynał się we mgle, przeminął z wiatrem, ulotnił się jak kamfora, pierzchnął niczym sen złoty. Racjonalizuj to sobie i nazywaj, jak tylko chcesz, ale Szczęsny naprawdę, NAPRAWDĘ zniknął i nie odzignie się, choćbyś na głowie stanęła. Co zresztą, w twoim stanie, byłoby teraz chyba średnio wykonalne, więc...

– Średnio wykonalne? – powtórzyła Carmilla ze zwiastującym rychłe nieszczęście błyskiem w oku. Znienacka pochwyciła pierwszego pieroga, jaki się nawinął, i odgryzła połowę. – Wiesz, co w moim stanie jest średnio wykonalne? – wybełkotała z pełnymi ustami. – Spanie na brzuchu. Zgięcie się wpół. Zawiązanie durnych sznurowadeł!

– No cóż, nic dziwnego. W końcu jesteś... no... jesteś... tak jakby... – Nijak nie chciało mu to przejść przez usta, jak gdyby dopiero jego słowa, wypowiedziane na głos, miały sprawić, że brzuch Carmilli przestałby być atrapą, efektowną wydmuszką, i wypełnił się realną, namacalną zawartością, która pewnego dnia z niej wypelźnie i zacznie fajdać w pieluchy. Zamiast tego Konrad wykonał nerwowy, zamaszysty gest w wiadomym kierunku, z równie wiadomym podtekstem.

– Owszem, jestem, zdążyłam się jako tako zorientować w temacie. – Drugi pieróg podążył w ślad za pierwszym, trzeci zaś już szykował się do drogi. – A teraz chciałabym zorientować w nim również tego twojego blond ogiera ze skłonnością do trzynastozgłoskowca, więc nie wciskaj mi tu kitu, że zniknął!

Uszami duszy swojej Romańczuk słyszał już radosny tętent czterech jeźdźców Apokalipsy.

– Kiedy ja ci naprawdę niczego nie wciskam! – jęknął, po czym w akcie rozpaczy zwrócił się do Brząszczyka, który stał tuż obok i z niepokojącą miną wpatrywał się w Carmillę, starając się przy tym za często nie mrugać. – Turu, no weźże jej wytłumacz...

– Konrad, ja się stąd nie ruszę, słyszysz? Nie ruszę się stąd na krok, dopóki mi nie powiesz, gdzie dopadnę dziada.

– Najpewniej w którymś z kręgów piekieł... Ej, ale może lepiej przystopuj z tymi pierogami, co? Nie żebym ci żałował, ale ciasto jest całkiem surowe, jeszcze ci...

– NIE MÓW MI, CO MAM ROBIĆ!!!

Właśnie ten moment wybrał sobie Tsadkiel, który od kwadransa wypłukiwał z oczu cebulę, żeby wrócić do kuchni. Słyszając za sobą kroki, rozjuszona Carmilla odwróciła się z prędkością atakującej kobry i w pierwszej chwili doznała głębokiego dysonansu. Zaraz jednak sięgnęła po dobrą, sprawdzoną racjonalizację. Oraz kolejnego pieroga.

– Rany boskie, Konrad, czym ty go tak upasłeś?!

– Mógłbym zapytać o to samo, alleluja! – fuknął oburzony Tsadkiel, mierząc wymownym, ametystowym spojrzeniem jej niewątpliwe krągłości.

– Te, Parchatek, a z liścia chcesz?!

Anioł drgnął i na wszelki wypadek cofnął się o krok od agresywnej kobiety.

Albo lepiej dwa.

– Nie Parchatek, tylko Liszaj. Znaczy, nie Liszaj, tylko Licho. I nie, to nie jest Licho – wyjaśnił Konrad z kamiennym spokojem, starając się nie drażnić lwicy. W sensie, że bardziej. – Licho jest tam.

Mały anioł wyrzał nieśmiało z prawie że salonu i pomachał tej miłej, głodnej pani z niemiłą lokówką.

Po chwili namysłu Carmilla wzruszyła ramionami i wgryzła się w kolejnego pieroga.

– Ach. No, może. A ten to kto?

– Jam jest Tsadkiel, anioł skromności i sprawiedliwości... – przedstawił się tonem tak oschłym, że niemal liofilizowanym.

– I krupniku, nie zapominaj o krupniku! – szepnął Turu, trącąc go łokciem.

– ...jam jest ostoja, pocieszenie i miłosierdzie – dokończył Tsadkiel z rozpędu i odrzucił do tyłu swe lśniące, złociste włosy.

Przeżuwając pieroga, Carmilla otaksowała wzrokiem majestatyczną postać w całej jej posągowej, uskrzydłonej wspaniałości.

– A w wolnych chwilach rozmnażasz pieczywo i pomykasz w sandałkach po wodzie?

– Na trzonowce Odyna, co za kobieta! – jęknął wniebowzięty Brząszczyk pod wąsem.

Piękny Tsadkiel aż się zapłonił ze szczerego oburzenia.

– Doprawdy, alleluja! Ona jest wredna! – syknął do wikinga.

– No! I to jak! Ma kobieta jaja, oj ma! – zagruchał namiętnie Turu, lecz zaraz się zreflektował. – Metaforyczne, rzecz jasna. Prawdziwych wolałbym nie.

– Ach, więc jej to wolno, tak? – Tsadkiel wziął się pod boki. – A mnie to już byś lał i patrzył, czy równo puchnie!

– Bo ty się aż prosisz, Zadkieleczku – odparł Turu i poklepał go czule po policzku. – Aż się prosisz. No, co tak sterczysz jak tenis w porcie? Łap się za ziemniaczki.

– Trzy na trzy? – upewnił się Tsadkiel, z nożem w garści człapiąc bez entuzjazmu do swojego kąta.

– Co do milimetra! I nie myśl sobie, że nie sprawdzę.

Tymczasem Carmilla, przełknąwszy ostatni kęs, ochłonęła nieco i ponownie skupiła się na Konradzie.

– Więc? Jak będzie?

Romańczuk tylko westchnął i rozłożył bezradnie ręce.

– Dobrze, skoro nie chcesz po dobroci. – Sięgnęła do torebki, która wisiała na oparciu krzesła, i wyciągnęła z niej kluczyki. – W takim razie idę do samochodu po walizkę.

O mały włos Turu wyrwałby jej te kluczyki razem z ręką.

– Siedźże, madonno nadobna, walkirio, cud-dziewico, siedź, ja tobie wszystko przyniosę, skarbenku, rybeńko, gołąbeczko – zagruchał pieszczotliwie, wcisnął Carmilli jeszcze jednego pieroga i nim zdążyła zaprotestować, rzucił się dzikim galopem na ciemne, zaśnieżone podwórko.

– C-co?... – wydusił tymczasem Konrad, któremu tak jakby pociemniało przed oczyma.

– Cóż, wbrew wrodzonej ugodowości...

Na te słowa z gardła i duszy wyrwał mu się krótki, acz niewątpliwie histeryczny chichot.

– ...tym razem nie odpuszczę. Jak już mówiłam, nie ruszę się stąd, dopóki mi nie powiesz, gdzie znajdę Szczęsnego.

– Nie no, co ty, nie wygłupiaj się, przecież nie możesz... Okej, możesz – skapitulował natychmiast i bezwarunkowo, bo Carmilla w milczeniu dźwignęła się z krzesła i jej wydęty oskarżycielsko brzuch znalazł się dokładnie na wysokości jego oczu. – Zaraz ci gdzieś pościelę...

Pogrążony w czarnych myślach i jeszcze czarniejszej rozpaczycy Romańczuk minął na korytarzu zarośniętego niemiłosiernie, śmierdzącego mokrym szczurem yorka, który dziarsko badał niezliczone zakamarki starego domu w poszukiwaniu znajomej woni opiekuńczych macek i ich mrużącego właściciela.

A Rudolf Valentino, matka królików, siedziała u szczytu schodów, otoczona chmarą swego aberracyjnego potomstwa.

I patrzyła.

Patrzyła.

PATRZYŁA.

Była bowiem częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni zło, krzywdę i inne przykrości.



## Rozdział 10

Wreszcie nastał Nowy Rok, a wraz z nim nowe wyzwania, nowa nadzieja i nowy kac.

Wraz z wybiciem południa Konrad Romańczuk zasiadł na zaśnieżonym ganku z kieliszkiem niedopitego szampana w dłoni i bezdenną rozpaczą w sercu. Śnieg prószył leniwie, słońce wyzierało spomiędzy chmur. Jak peryferie miasta długie i szerokie, wszędzie panowała niecodzienna cisza. Tylko raz na jakiś czas gdzieś z oddali dobiegały stłumione odgłosy spóźnionych wystrzałów, ale takie dość niemrawe, bez przekonania, jak gdyby ktoś czuł się zmuszony odbębnić swą powinność, no bo co ludzie powiedzą.

Minuty miały powolutku, pomalutku, nigdzie się nie spiesząc, a Konrad siedział bez ruchu, bez życia – i bez kontaktu ze swoimi złodowaciałymi pośladkami. Przed nim pośród zimnej bieli, która przykrywała podwórko coraz grubszym całunem, wznosiły się dwie zasy. Jedna z nich kryła kanciaste tico, druga zaś złotego matiza. Za jego plecami zaś, w głębi domu, posągowy anioł stróż właśnie pakował manatki. Sześćdziesiąt sześć dni męczarni dobiegło bowiem końca. Wydawać by się zatem mogło, że w tych okolicznościach, mimo pozostałości minionego wieczoru wciąż krążących w jego organizmie, Romańczuk powinien przejawiać nieco większą radość życia. Lecz zamiast tego tkwił na ganku niczym kołek i gapił się apatycznie przed siebie, myślami krążąc wokół tego jednego dnia, uwiązany do niego jak koń w kieracie.

Zaczęło się nawet nieźle. Pomimo kiepsko przespanej nocy Konrad uznał poranek wigilijny za całkiem udany. Śnieg chwilowo odpuścił sobie padanie i na bezchmurnym niebie zagościło ostre zimowe słońce. Tsadkiel w milczeniu dopieszczał *Kartoffelsalat*, co już samo w sobie w zasadzie wystarczyłoby wszystkim domownikom do pełni szczęścia. Turu Brząszczyk, napaliwszy w kominku, wytargał skądś rodowe sztuce i wziął się do ich pucowania. Na zewnątrz trzej Niemcy rąbali drewno na zapas, podśpiewując rażno na mrozie. Carmilla spała do późna, a wraz z nią pół psa. Królicza horda również nie ruszała się ze swego nowego legowiska pod choinką, upojona jej iglastą wonią oraz przybraniem, utrzymanym w stylistyce psychodelicznego nadmiaru z obfitością brokatu. A Licho, nagle wyraźnie

rozpogodzone, z konspiracyjną miną gwizdnęło nożyczki z kuchennej szuflady, porwało jeszcze kubek herbaty i tak wyposażone zamknęło się w swoim pokoju na cztery spusty.

Wczesnym popołudniem półprzytomny Konrad, napędzany nerwami i rozpuszczalną kofeiną, z duszą na ramieniu wkroczył do kuchni, przywdział fartuszek i przystąpił do ostatniej fazy kucharzenia. Na dobry początek przesolił śledzie w śmietanie. Później dla równowagi spieprzył barszcz. Zdążył jeszcze schrzanić ćwikłę, przesłodzić kompot z suszu i właśnie brał się do przypalania karpia, kiedy wiking postanowił interweniować dla dobra wspólnego i łagodnym, acz nieznoszącym sprzeciwu gestem odsunął go od kuchenki.

– Idź ty lepiej do siebie, bratku, i sprawdź, czy cię tam nie ma. A ja tu dokończę.

Romańczuk w zasadzie nie widział powodów do protestu, dlatego potulnie przekazał Turowi fartuszek i powłókł się na górę. Zamykając za sobą drzwi, usłyszał wzburzony głos Carmilli, która właśnie wstała i dobijała się jak szalona do okupowanej przez Tsadkiela łazienki na parterze.

Konrad odruchowo siadł za biurkiem i dopijając zimną kawę, odpalił laptopa. Nie zamierzał jednak pracować, był zanadto zmęczony. Zamiast tego wszedł na forum, dopisał krótkie życzenia w wątku świątecznym, a potem znalazł na liście użytkowników 99luftballons, czyli Pawła Zawadzkiego. Po krótkiej chwili umysłowego zawieszenia zaczął klecić niezobowiązującą wiadomość prywatną:

**puffball\_of\_doom:** Hej, jak tam u Was? Gotowi do świętowania? U nas pomału czuć już rybą, sajgon nabiera rozpędu.

Paweł najwyraźniej też zabijał czas na forum, bo odpisał niemal natychmiast.

**99luftballons:** cześć, niedługo zbieramy się do wyjścia. w tym roku idziemy na gotowe, więc nawet zmywanie mamy z głowy, hehe.

**puffball\_of\_doom:** O, cwaniaki, tym to dobrze! Do rodziców czy do teściów?

**99luftballons:** a co. najpierw do rodziców, potem teściów. jak nie pękne, to będzie cud...

**puffball\_of\_doom:** W takim razie wesółych świąt Wam obojgu,

widzimy się za tydzień!

Po tych słowach Romańczuk odszedł od komputera. Bez pośpiechu przebrał się w coś porządniejszego niż powyciągany domowy dres, mniej więcej się uczesał i nawet przyglądził brodę. Kiedy wrócił do biurka, żeby zamknąć laptopa, w forumowej skrzynce miał jedną nieodebraną wiadomość od Pawła.

**99luftballons:** no więc z tym będzie chyba mały problem.

Co? Problem? Jaki znowu problem? Konrad zmarszczył brwi. Nie spodziewał się odpowiedzi, a już z pewnością nie takiej. Zaraz jednak coś mu przyszło do głowy i zaśmiał się cicho. No przecież. A to cwaniaczki...

**puffball\_of\_doom:** Co, pewnie zamierzacie gdzieś dłużej zabalować na sylwestra i szukacie niańki na jeszcze parę dni?

Przez trzy minuty intensywnie wpatrywał się w ekran, czekając, aż Paweł mu odpisze.

**99luftballons:** hehe, niańka to potem. kaśka jest w ciąży.

**puffball\_of\_doom:** O cholera, już?! No, nie powiem, nie tracicie czasu! Gratulacje!

**99luftballons:** hehe, no nie. dzięki.

Romańczuk szybko przypomniał sobie zestaw żelaznych pytań i frazesów, jakimi standardowo raczono przyszłych rodziców.

**puffball\_of\_doom:** Który tydzień?

**99luftballons:** 26.

**99luftballons:** dobra, muszę już lecieć, wesółych!

Szós... nie, wróc. Nie szósty. Dwudziesty szósty. Dwudziesty. Szósty. Znaczy, szósty, tylko tak jakby bardziej. O wiele bardziej. A przecież Tsadkiel był u nich od jakichś ośmiu. Ile trwa taka ciąża, dwadzieścia miesięcy? Nie, tyle to chyba u słonia...

No to rzeczywiście, ktoś tu miał problem.

Dusząc wyjątkowo paskudne podejrzenie, które od razu zaczęło w nim kiełkować, Romańczuk czym prędzej zatrzasnął laptopa i w poszukiwaniu lepszego zajęcia dla myśli zbiegł do prawie że salonu, gdzie obydwaj anioły nakrywały już do świątecznej kolacji, starannie ignorując nawzajem swoje istnienie. Zasmarkane Licho w czerwonym świątecznym T-shircie z cekinowym reniferem nuciło pod nosem i rozkładało talerze na przykrytym białym obrusem stoliku turystycznym, a ubrany w mniej wymiętą koszulę Tsadkiel poprawiał je dyskretnie, po czym precyzyjnie rozmieszczał przy nich sztuce. Konrad czym prędzej złapał za paczkę serwetek i zaczął je składać w coś na kształt... cóż, czegoś.

Dwudziesty szósty. Dwudziesty szósty. Dwadzieścia sześć przez cztery, nie, nie przez cztery, przez siedem...

Aż w końcu Turu Brząszczyk, już w wyjściowej flaneli i szelkach, wyłonił się z kuchni, dźwigając wagę z parującym barszczem. Tuż za nim dreptał rozszwargotany Wehrmacht z resztą świątecznych dóbr. Pochód statecznym krokiem zamykała Carmilla, objuczona ciężarem własnym. A gdy spod choinki wychynęły różowe króliki, panująca w prawie że salonie przytulność osiągnęła stopień najwyższy z możliwych.

Wykorzystując chwilę, kiedy pozostali usiłowali się wkomponować w tę intymną scenografię tak, by niczego przy okazji nie zrzucić, nie przewrócić ani nie stratować, Turu zasiadł na taborecie i przybliżył się do Tsadkiela, ażeby go spacyfikować, dyskretnie i prewencyjnie.

– Pamiętaj, Zadkieleczku – mruknął mu czule do uszka. – Paluszek mój, ty się go bój. Pięść moja – tu podsunął ją rostemu aniołowi pod sam nos – śmierć twoja. Aluzję paniał?

Zgorszony tak ostentacyjnym barbarzyństwem Tsadkiel fuknął.

– Słyszałeś? On znowu stosuje przemoc! I to od święta! – poskarżył się Romańczukowi, który siedział po jego drugiej stronie.

Ten jednak nic nie odpowiedział, tylko składał pospiesznie ostatnie serwetki, świata poza nimi nie widząc. A przynajmniej bardzo się starał go nie widzieć, nie słyszeć i zasadniczo nie wchodzić z nim w żadną głębszą interakcję, żeby z tych nerwów nie wybuchnąć. Nie tutaj, nie teraz, zdecydowanie jeszcze nie teraz. Dwadzieścia sześć, dwadzieścia sześć... Dwadzieścia sześć tygodni odjąć sześćdziesiąt sześć dni wpierw dzielone przez siedem, do jasnej cholery, ile to będzie po przecinku?!

– Zastosuję wszystko, z lewatywą włącznie, bylebyś nie schrzanił nam świąt – zamruczał Turu z nieustającą dobroduszością. – Więc bądź tak miły

i spróbuj się wczuć. Wiesz, maniakalny uśmiech, życzliwość tryskająca uszami, radosne solówki na trąbie, kojarzysz klimaty? W końcu jesteś aniołem stróżem, na pewno dasz radę.

Ciąg dalszy wieczoru również nie był znowu taki najgorszy. Hojnie spieprzony barszcz i buzujący w kominku ogień szybko i skutecznie podgrzały atmosferę. Dwaj skrajni Niemcy usiłowali przypomnieć sobie słowa *Stille Nacht*, podczas gdy środkowy wdał się w ręczną dyskusję na temat *Weihnachtsbräuche* z Konradem, który poczuł się co najmniej jak Tomek Wilmowski wśród dzikich plemion i na chwilę całkiem zapomniał o liczeniu do dwudziestu sześciu i innych skomplikowanych działaniach arytmetycznych. Zachwycony Turu zastygł nad zimnym już karpim i nie spuszczał oka z Carmilli, gdy ta najpierw rozprawiała się z ostatnimi pierogami, a potem, rozsiadłszy się w fotelu po turecku, postawiła sobie na brzuchu salaterkę z *Kartoffelsalat* i zaczęła metodycznie pochłaniać jej zawartość. Pokraśniałe, szczęśliwe Licho oczywiście pochlapało się barszczem, a Tsadkiel wspaniałomyślnie – czy raczej przezornie – udawał, że tego nie widzi; podobnie jak rozklejonego uszka na swoim talerzu, różowych królików wtranzalających cichaczem papierowy łańcuch czy yorka, który rozłożył się pod stołem i robił sobie manikiur. Nawet utopiec wylazł na moment z wanny, żeby porwać z kuchni zapomniane rybie głowy, i po drodze burknął coś nieomal życzliwie mniej więcej w stronę prawie że salonu.

Gdzieś po trzeciej czy siódmej dokładnie zapadła cisza podszyta trawieniem. Wówczas Licho, kichając raz po raz, z szelmowską miną wcisnęło się za choinkę i wywlokło stamtąd wielką torbę z ciepłymi, wełnianymi bamboszami w przeróżnych kolorach, które od miesiąca własnoręcznie dziergało, a na koniec ozdobiło imponującymi, puchatymi pomponami.

– Poszłam w specjalizację! – oznajmiło z dumą, po czym wręczyło po parze Konradowi, Turowi, trzem widmom, a nawet Carmilli („przysiadłom i zdążyłom zrobić przez noc”, wyjaśniło, rumieniąc się aż po czubek wydepilowanych skrzydełek) oraz jej nieuzewnętrznionemu potomkowi nieznanemu mu płci. Innymi słowy, wszystkim z wyjątkiem Tsadkiela. Cios był może słaby, wagi najwyżej chomiczej, lecz za to celny i nie umknął niczyjej uwadze.

A potem, zgodnie z wieszczbą Brząszczyka, z tego całego wzruszenia Wehrmacht zaintonował koledę, na stół wjechało kakao i grzaniec z tegesem w asyście zdobycznych ciast, po czym nastąpiło ogólne rozluźnienie nastroju i garderoby. Po pierwszym kęsie strudla najniższy Niemiec rozkleił się

dokumentnie. To szlochał, to szwargotał, pokazując wszystkim po kolei wymiętoszoną fotografię, na której z nieskrywaną dumą przytulał rozłożyste germańskie dziewczę.

– Ech, fest Helga, fest! Szturmowałbym na obu flankach – westchnął z uznaniem Turu, wielbiciel kobiet konkretnej postury, i dołął wzruszonemu Niemcowi, choć ten nie dotarł jeszcze nawet do połowy swojej szklanki tegesu.

Tymczasem pod przygiętą świąteczną choinką Licho, porzuciwszy swoją porcję makowca z makowcem, próbowało na wszelkie sposoby wyperswadować dziewięciu nienasyconym różowym królikom dalszą konsumpcję igliwia. Ku ogólnemu zdziwieniu z pomocą ruszył mu Tsadkiel. Z niespotykaną dotąd jednomyślnością obydwaj anioły na przemian apelowały do Rudolfa Valentino i jej potomstwa, przy czym jeden odwoływał się do poczucia estetyki, drugi zaś rozwodził na temat pestycydów i metali ciężkich. Króliki puszczały ich apele mimo słuchów, a widmowy Wehrmacht wykazał się wyczuciem chwili i zaintonował *O Tannenbaum*.

– ...nie, Rudolfie – perorowało Licho – igliwie nie komponuje się z papierem. Nie wolałabyś barszczyku?

– W dupie przegród nie ma – zachichotał Turu. – A z dwojga złego lepiej niech wpierdzielają igliwie niż lampki, przynajmniej ich tak nie popieści. Od żywej choinki nic im nie będzie.

– Żywa to ona była, kiedy rosła w lesie – mruknęła Carmilla znad trzeciego kawałka drugiego ciasta. – Teraz to zwykły trup drzewa, tyle że dla niepoznaki zapakowany w sreberko...

Na te słowa Konrad zeszywniał. A potem zaczął się modlić, by spragniona krwi sfora nieznośnych myśli i wspomnień, przed którymi od tygodni nieustannie krył się i uciekał, nie zwęszyła teraz jego tropu.

W połowie drugiej zwrotki króliki rzuciły się do ucieczki, anioły w pogoń, a Turu skoczył na ratunek wstrząśniętej choince. Wówczas Carmilla przypuściła szturm na paterę z ciastem, Romańczuk zaś bez słowa wstał od stołu i czmychnął niezauważony na górę. Cisnął bambosze na tapczan, talerzyk z ledwo skubniętym sernikiem postawił obok laptopa. Skrzynka odbiorcza była pusta. Otworzył okno nowej wiadomości i zaczął pisać, co rusz gryząc się w palce.

**puffball\_of\_doom:** Co prawda z matematyki byłem noga, ale w którąkolwiek stronę bym liczył, to nijak nie chce mi wyjść znak równości między sześćdziesięcioma sześcioma dniami

a dwudziestoma sześcioma tygodniami. Za to wychodzi mi jeden wielki wał. Ale nie no, co ja się czepiam, osiem tygodni czy osiemdziesiąt, jedno zero w tę czy we w tę, a przecież zero to nic, czyli w zasadzie żadna różnica!!!

**99luftballons:** przepraszam, konrad, głupio wyszło.

**puffball\_of\_doom:** Co Ty nie powiesz :P Czemu od razu się nie przyznałeś, że Kaśka jest w ciąży? Po co mi wciskałeś bajeczki, jak to nie możecie się skupić, biedne misie, bo Tsadkiel nasłuchuje za ścianą?

**99luftballons:** ej, to akurat nie były bajeczki! raz nas nakrył w trakcie, przez dobry kwartał nie mogłem potem... no, wiesz :/

Cóż, to przynajmniej tłumaczyło, skąd Tsadkiel słyszał o przewlekłych zaburzeniach czynności seksualnych... Ale nie usprawiedliwiało kłamstwa.

**puffball\_of\_doom:** Wzruszyła mnie Twoja historia. O, tu mi łezka leci :P

**99luftballons:** ej, konrad, ale serio. zgodziłbyś się go wziąć, gdybym ci od razu powiedział, że to tak na dłużej?

**puffball\_of\_doom:** Znaczy, gdybyś mnie na dzień dobry nie OKŁAMAŁ? Oraz - z łaski swojej zdefiniuj, co rozumiesz pod pojęciem „dłużej”. Do porodu? Do końca połogu? Do pierwszego roczku dzidzi? Hej, zaszalejmy, może od razu do osiemnastki? :P

**99luftballons:** jeeezuuu, człowieku, ale ty się czepiasz słówek. tak, gdybym cię nie OKŁAMAŁ. lepiej ci? :P

**puffball\_of\_doom:** NIE, GORZEJ. I wciąż czekam na definicję.

**99luftballons:** konrad, ja naprawdę nie chciałem, żeby to tak wyszło.

**puffball\_of\_doom:** Ale za tydzień po niego przyjedziesz? Paweł?

**puffball\_of\_doom:** Przyjedziesz? Paweł?

**puffball\_of\_doom:** Paweł?**puffball\_of\_doom:** PAWEŁ?

Po kwadransie przyszła odpowiedź.

**99luftballons:** konrad, to nie jest takie proste.

**puffball\_of\_doom:** Przeciwnie, prostsze być nie może, wóz albo przewóz. Tak czy nie?

**99luftballons:** wiesz, jak to jest z ciężarówkami. potrzebują dużo

spokoju i odpoczynku. a chyba nie muszę ci tłumaczyć, że z tsadkielem się tak nie da, co? :/

**puffball\_of\_doom:** Tak czy nie?

**99luftballons:** kaśka musiała pójść na I4, bo przez pierwszy trymestr rzygała jak kot. i już z nim nie wytrzymała sam na sam w domu. ledwo ją ubłagałem, żeby się nie wyprowadzała do mamusi. wtedy kazała mi się go pozbyć. liczyłem, że osiem tygodni wystarczy, że przez ten czas złapie oddech i odpuści, no ale nie odpuściła.

**puffball\_of\_doom:** TAK CZY NIE?

W tym momencie Romańczuk był już gotów na wszystko – na caps locka w śmiertelnej dawce, na bolda, nawet na siedemnaście wykrzykników i drugie tyle najbardziej agresywnych emotikonów, byle tylko wyciągnąć z Pawła jednoznaczną deklarację.

W końcu się doczekał.

**99luftballons:** wolałbym nie.

**99luftballons:** przepraszam.

Konrad jeszcze długo bił pianę, śląc wiadomość za wiadomością, ale Paweł, jak raz umilkł, tak milczał już od tygodnia.

O tym właśnie rozmyślał Romańczuk, gdy tak w noworoczne popołudnie marzył na ganku, głównie w odwłok, i z determinacją desperata czekał na cud. O tym, co pocnie z nadprogramowym aniołem stróżem oraz równie nadprogramową Carmillą, która na dodatek wkrótce miała się rozdzielić. Żeby chociaż sam był sobie winien – ale nie, on chciał dobrze i co? Miał teraz za swoje. A w zasadzie nie tyle za swoje, ile za Szczęsnego i Pawła. Jeden wziął na bajer Carmillę, drugi Konrada, obydwaj narobili smrodu, że głowa mała, po czym zwinęli żagle i wszelki ślad po nich zaginął.

A gdy babunia mu powtarzała, że mężczyźni to świnie, to zawsze się śmiał i nie dowierzał staruszce...

Godziny mijały, popołudnie przeszło w wieczór, a szampan ze zwietrzałej cieczy w ciało stałe. Cud jednak nie nastąpił.

– Nie przyjechał – Turu bardziej stwierdził, niż zapytał, stając obok skostniałego, dygoczącego z zimna Konrada.

– Ano nie.

– A dzwoniłeś do gościa?



Romańczuk bąknął coś w odpowiedzi.

– Co tam mamrocześ?

– Nie mam jego numeru – powtórzył niechętnie. – Ani numeru, ani adresu, nic. Nie, serii dowodu osobistego też sobie nie spisałem. I nawet nie pytaj, gdzie miałem wtedy głowę, bo na pewno nie na karku.

– Konrad Romańczuk, zakręcony jak ruski termos.

– Mniej więcej. Przez myśl mi nie przeszło, żeby mu zaglądać w papiery, no bo w końcu jedziemy na tym samym wózku, prawda? Ja mam anioła stróża, on ma anioła stróża, ja mam przesrane, on ma przesrane jeszcze bardziej... Byłem święcie przekonany, że skoro ratuję człowiekowi tyłek, to on mnie nie wystawi do wiatru. Nie zrobiłby mi tego, no bo niby czemu miałby, nie?

– Ja tam widzę co najmniej jeden dobry powód – stwierdził wiking, gładząc się niespiesznie po gęstej brodzie.

– Jaki?

– Zadkiel.

– Też prawda...

– W takim razie pakujesz aniołeczka do samochodu i sam dostarczasz, gdzie trzeba. Kto jak kto, ale Zadkiel powinien pamiętać adres. Ten gad pamięta wszystko. W zasadzie – Turu nagle zdał sobie z czegoś sprawę – sądząc po tym, co czasem pokrzykuje przez sen, pamięta nawet potop szwedzki. I to od kolubryny strony.

– Och, ależ oczywiście, że pamięta – przytaknął Konrad. – Mam na myśli adres, nie potop. Wyrecytował mi go bez wahania, podał nawet piętro i współrzędne geograficzne, z wysokością nad poziomem morza włącznie. Pojechałem tam zaraz po świętach. I wiesz co? – zawołał z niepokojącym wybuchem entuzjazmu. – No nigdy nie zgadniesz!

– Będę strzelał: wyprowadzili się!

– Brawo ten pan! Przed miesiącem. Mam nieprzyjemne wrażenie, że wynieśli się gdzieś na drugi koniec świata, między sympatycznych kanibali, do cichego, przytulnego szałas z patyczków, listowia i pluskiew. – Naraz coś mu się przypomniało. – W zasadzie to Paweł wspominał raz coś o paszporcie...

– Oj, bratku, toś spierdolił nabożeństwo... Ej, czekaj no, a nazwisko gościa chociaż znasz?

– Znam. Znaczy, chyba znam, bo już nawet tego nie jestem pewien. Jeszcze kojarzę, że jest inżynierem... czegoś tam... gdzieś tam. I to by było na tyle.

– No moc konkretów. I co teraz?

– Nie mam najbledszego pojęcia. Mogę czekać dalej jak ten ostatni frajer i liczyć, że za... ileś tam tygodni czy miesięcy Paweł się nade mną zlituje... czy raczej to Kaśka się zlituje i Paweł jednak po niego przyjedzie. Mogę też zabrać Tsadkiela na długą przejażdżkę w nieznane strony, ogłuszyć podstępnie, przywiązać do pierwszej lepszej poręczy i nawiać. O, albo lepiej, wywieźć w głąb lasu! Do puszczy! Albo w dzikie, bieszczadzkie ostępy, między niedźwiedzie i wilki! W ostateczności mogę go nawet zatłuc w afekcie tłuczkiem do mięsa i zakopać pod krzaczkiem, jak nic wypuści na wiosnę białe lilije i będzie mnie prześladował z za grobu. Zbrodnia to niesłychana, Konrad zabił bałwana! Ach, widzę tyle, tyle możliwości! – zakrzyknął histerycznie, robiąc przy tym oburącz dziarski wymach.

Złodowaciały kieliszek wyślizgnął mu się ze skostniałych palców i niczym kryształowa kometa pomknął gdzieś między zasy.

Wiking splótł ręce na piersi i zmarszczył czoło.

– Znaczy, jak nie spojrzysz, dupa zawsze z tyłu – skwitował ponuro. – Klasyka gatunku.

– Turu, wybacz, ale czy ty znasz chociaż jedno przysłowie nieodwołujące się do czterech liter? Tak dla odmiany?

– Parę by się pewnie znalazło – przyznał Brząszczyk po krótkim namyśle, lecz zaraz pokręcił głową. – Ale wiesz, bratku... to już by nie było to samo. No! – Poklepał Romańczuka po zgrabiałym ramieniu. – Nie ma co mrozić nabiału po próżnicy, trza się rozgrzać i szybko ogarnąć. Wiesz, z życiem i tak dalej. Bo obawiam się, Konradeńku, że jutro też jest dzień.

## Rozdział 11

Turu Brząszczyk potrzebował kilku chwil, zanim zdołał oderwać osłupiały wzrok od ekranu laptopa. Wreszcie spojrzął z niedowierzaniem na Romańczuka, który ledwo wystawał spod kołdry, gdzie od czasu do czasu rzeźił sobie rozkosznie.

– Konradenku, chciałeś choć raz bez dupy, no to masz. Czyś ty się z własnym interesem na łby pozamieniał?...

– Chciałem jedynie dać upust dręczącemu mnie głębokiemu poczuciu niesprawiedliwości – zaskrzeczał Konradeniek, spocony niczym mysz w połogu. W jego przekrwionych, szklistych oczętach oprócz gorączki błyszczało głębokie zażenowanie.

– I co, lepiej ci teraz, robaczku?

– No właśnie jakoś tak... nie za bardzo...

Spędzone na ganku dupogodziny przyniosły dwojaki rezultat. Na dzień dobry wpędziły Romańczuka w upiorne przeziębienie, z którego już od tygodnia usiłował się wygrzebać poprzez wygrzewanie w piernatach. Przez większość czasu wpatrywał się apatycznie w poszarzały, spękany sufit podziaduniowej klitki, pocąc się, trzęsąc i cherlając; innymi słowy, resztkami sił pozorował oznaki życia. Miewał jednak przyływy wzmożonej witalności – i właśnie podczas jednego z nich zrobił coś, czego teraz bardzo, ale to bardzo żałował. Mianowicie sięgnął po laptopa i wszedł na forum dotkniętych dożywociem, gdzie założył wątek pod wymownym tytułem „Dlaczego 99luftballons jest do luftu”. A potem popłynął, niesiony falą rozgoryczenia i gorączki.

### **Dlaczego 99luftballons jest do luftu**

**puffball\_of\_doom:** Aczkolwiek powinienem raczej napisać: „Dlaczego 99luftballons jest do luftu, a puffball\_of\_doom dorodnym okazem jelenia, który aż się prosił o odstrzał”, tylko się nie zmieściło. Podobno każdy dobry uczynek prędzej czy później zostanie ukarany, więc możemy uznać odpowiedź na drugie pytanie za zaliczoną. Skupmy się zatem na pierwszym.

Spotyka się dwóch facetów z dożywociem. Ot, czysty przypadek, zrządzenie losu, łut szczęścia, jak zwał, tak zwał. Tak się składa, że

obydwaj mają anioła stróża. Obydwaj mają też problem. Znajdują wspólny język i facet z problemem logistyczno-hydraulicznym proponuje facetowi z problemem finansowym wymianę przysług. Coś za coś. Koniec końców dochodzą do porozumienia, dogadują szczegóły i przystępują do realizacji wspólnego planu. Wszystko pięknie, elegancko – dopóki nie wychodzi na jaw, że facet pierwszy od początku zamierzał tego drugiego wystawić. Co też zresztą niniejszym z powodzeniem uczynił.

### **Pif-paf.**

Od ogółu do szczegółu – przyjąłem pod swój dach anioła stróża 99luftballons. (Anioła stróża, dodajmy, z piekła rodem i nie ma w tym ani grama przesady). Chociaż jak wiecie, mam na stanie własnego, do kompletu zaś współlokatora, kota, utopca, trzy widma z Wehrmachtu i dziewięć różowych królików. Nawet nie licząc pierwszego widma i pozostałych trzech utopców, których udało mi się cudem pozbyć, forumowy rekord i tak należy do mnie. A jednak się zgodziłem. Niechętnie, ale jednak, z prozaicznej przyczyny. Potrzebowałem pieniędzy. Kokosów nie zarabiam, dom się sypie, żyć za coś też trzeba. Dożywotnicy, wiadomo, generują pewne koszty, a wehrmachtowcy, odkąd zleźli ze strychu, ucieleśniają się coraz bardziej i systematycznie pustoszą lodówkę. Trzech roślących chłopca w pełni sił, sami rozumiecie. Z kolei 99luftballons potrzebował chwili, powiedzmy, oddechu. Dokładnie sześćdziesięciu sześciu dni oddechu, bo na tyle właśnie się umówiliśmy.

Tak, mam warunki lokalowe, żeby pomieścić taką zgraję. Tyle wygrać! Nie, nie mam rodziny – w sensie, że żony i/lub dzieci – chociaż to lada moment się zmieni, bo tuż przed świętami nieoczekiwanie zyskałem współlokatorkę w mocno zaawansowanej ciąży. Kolejna przysługa, której nie mogłem odmówić. Ale spoko, luz estradowca, dam radę, no bo co mam nie dać, nie?

Sęk w tym, że sześćdziesiąt sześć dni minęło w Nowy Rok. 99luftballons, przyciśnięty przeze mnie do muru, przyznał się do planowanego przekrętu, po czym zamiast dotrzymać danego słowa i stawić się po odbiór swojego anioła stróża, całkowicie zerwał ze mną kontakt i zapadł się pod ziemię.

Tak, dobrze Wam się wydaje. Wciąż mam w domu dwa anioły.

Podsumowując: puffball\_of\_doom to jeleń, 99luftballons zaś to szuja, menda i oszust pierwszej wody. Wystarczyło, że zasunął mi parę głodnych kawałków, uronił kilka łez, odwołał się nawet do

solidarności nasieniowodów, a ja to wszystko łyknąłem jak młody pelikan i teraz mam za swoje.

Transakcja nie przebiegła pomyślnie. Nie polecam tego forumowicza.

Samopoczucia mu to co prawda nie poprawiło, za to humor tak. Romańczuk odłożył laptopa na podłogę i odpłynął, nawet przez ułamek sekundy nie przypuszczając, że wraz z ostatnią kropką otworzył na oścież bramy piekieł.

Kiedy się obudził, za oknem było już ciemno. Spocony i połamany powlókł się do kuchni, żeby uzupełnić termos świeżą porcją herbaty, a potem na miękkich nogach wrócił do łóżka. Krew dudniła mu w rozpalonej głowie, w oskrzelach furczało, świat przed oczyma kręcił piruety. Przez kilka minut leżał więc nieruchomo, dysząc, rżąc i modląc się o rychłą śmierć.

W końcu zebrał się w sobie, zawinął w kołdrę na kształt burrito i zbyt skołowaciały, by zebrać myśli nie dość, że na dłużej, to jeszcze w celu bardziej konstruktywnym niż ślepienie w internety, znowu włączył laptopa.

Po zaledwie trzech godzinach jego wątek liczył sobie dwadzieścia siedem stron. I wciąż się rozrastał.

Na początku wyrazy współczucia przeplatały się mniej więcej po równo z podśmiechujkami, niejednokrotnie trącymi otwartą kpina z łatwowierności tudzież ciężkiego frajerstwa użytkownika puffball\_of\_doom – starego jelenia i młodego pelikana w jednym. Przy co celniejszych docinkach Konrad szczerze się zaśmiewał, mimo wszystko doceniając dowcip, co za każdym razem kosztowało go atak kaszlu. I tak przez kilka pierwszych stron.

Na siódmej czy ósmej ni stąd, ni zowąd głos zabrał Paweł.

**99luftballons:** @puffball\_of\_doom, już sam nie wiem, jak cię przeproszać. cholernie mi głupio, ale ja naprawdę nie miałem innego wyjścia. musiałem wybierać, albo ty, albo żona. powiedz szczerze – dziwisz mi się? potrzebujemy jeszcze tych paru tygodni, no góra dwudziestu, póki się nie ogarniemy. wytrzymaj, przysięgam, że potem go odbiorę.

**99luftballons:** puściłem dziś przekaz za styczeń, powinien dojść do ciebie na dniach.

Po tym wpisie Romańczuk spodziewał się lawiny mniej lub bardziej

zawołowanych inwektyw pod adresem szui, mendy i oszusta, który wszak przyznał się wszem wobec, że istotnie, w pełni zasłużył sobie na wszystkie te trzy zaszczytne miana. Jakież musiał być zatem ogrom jego zawodu, gdy wątek skręcił naraz w kierunku, którego zupełnie się nie spodziewał.

**jan.sebastian.bach:** @99luftballons, a moge zapytac, ile cie to wychodzi za m-c?

**sos\_z\_torebki:** @puffball\_of\_doom, a dzina byś wziął? Raz na tydzień trzeba mu zmieniać butelkę, poza tym tak na co dzień raczej nie wymaga jakiejś wyjątkowej obsługi. No, gada jak najęty, ale na szczęście głównie po persku, bo słabo zna polski, więc idzie wytrzymać.

**zbyszeq:** @99luftballons, standard ok? Bardziej pensjonat czy przechowalnia? :P

**sadzone15:** @puffball\_of\_doom, mój podziomek ma ścisłą dietę bezglutenową, czy to byłby problem? Chętnie dopłacę.

**patataj:** Moja wiła dwa razy w tygodniu chodzi na pilates, jak by to u ciebie wyglądało? Da radę?

**frau.flick:** @puffball\_of\_doom, możesz jakoś szerzej opisać te warunki? Ty teraz mieszkasz w mieście czy na wsi?

**elmakaron:** Właśnie, chodzi o dom, prawda?? Masz tam może kawałek ogrodu albo chociaż jakiś taras?? Moja latawica musi dużo przebywać na świeżym powietrzu, bo jak nie, to jej wzrasta ciśnienie atmosferyczne i strasznie się burzy :/

**k.a.m.i.l.a:** @puffball\_of\_doom, wspominałeś coś o kocie i zającach, a czy masz psa? Bo od psiej sierści mojemu Fisiowi nasila się astma :((((((((

**hejkumkejkum:** Pracujesz w domu? Zależałoby mi na opiece całodobowej. Karolek źle znosi samotność i jak zostaje sam w domu na dłużej niż godzinę, to zaczyna upiornie wyc.

**kalosz1973:** @k.a.m.i.l.a, on ma króliki, nie zające. @hejkumkejkum, no chyba trudno, żeby wył inaczej. W końcu to upiór, c'nie?

**k.a.m.i.l.a:** Eee, @kalosz1973, a to jakaś różnica?...

**frank666:** Masz satelitę czy naziemną?

**malvinkaa:** a czy przy trzech koboldach moglabym liczyc na jakichs rabat?

**svenska:** Ej, właśnie, możesz wrzucić jakiś cennik?

**hejkumkejkum:** O, dobry pomysł! I jeszcze zdjęcia, jeśli masz!

**yattaman:** Jak nie ma, to zrobi, też mi wielki problem. Za coś tę kasę bierze, nie? :P

I tak przez następnych kilkanaście stron, aż do najświeższego wpisu sprzed sześciu minut, który brzmiał:

**wolementole:** @99luftballons dał byś adres? Podjechał bym luknąć jak to wyglonda na żywca.

Konrad Romańczuk odsunął laptopa na skraj tapczanu, zwinął się pod kołdrą w kłębuszek i wewnątrz zaszlochał. W takim też stanie znalazł go Turu Brząszczyk, kiedy godzinę później przybył z wysokoprocentową odsieczą.

– Tak sobie pomyślałem, że jak dodamy małe co nieco na wzmocnienie – puścił oko, odkręcając termos z gorącą herbatą – to od razu poczujesz się lepiej. Albo się nie poczujesz – dodał po krótkim namyśle – ale przynajmniej przestanie ci to przeszkadzać. Tak czy siak, rozgrzejesz się, poinhalujesz...

– Aromaterapia?

– Ja to nazywam seansem spirytystycznym. – Brząszczyk z namaszczeniem wręczył mu pierwszą dawkę. – Wzmacnia ducha, przepędza demony, otwiera człowieka na świat astralny.

– I kaca – wykrztusił Konrad ze łzami w oczach, gdy pierwszy łyk gorącego świata astralnego wypalił mu przełyk.

– Z astralem jak z interesem, żartów nie ma – skwitował wiking ze stoickim spokojem.

Przysunął sobie krzesło i usiadł obok tapczanu. Jego masywna postać, jeszcze bardziej niż zwykle górująca nad chudo-błym Romańczukiem, ledwo mieściła się w wąskim przesmyku między podziaduniowymi meblami.

– Ja tak czysto profilaktycznie! – uściślił, nalewając sobie astralnej herbaty do zakrętki od termosu. – A ty coś taki skapcianały, bratku? W sensie, że bardziej?

Konrad zerknął na niego spode łba i szybko odwrócił wzrok.

– Chyba... chyba narozrabiałem – przyznał wreszcie z dostrzegalną niechęcią. A potem, zamiast wdawać się w wyjaśnienia, po prostu podsunął Turowi laptopa z otwartym forum, sam zaś odstawił opróżniony już kubek i zanurkował między piernaty, czując, że astralny woltaż zaczął mu szumieć w rozpalonej głowie, opary zaś przenikały coraz dalej, w głąb zawalonych

zatok. – Zaczynij od początku.

Już przy pierwszym akapicie Brząszczyk parsknął i łypnął na Romańczuka z lekką kpina.

– Kłębuszek zagłady? Serio?

– Nie pytaj – wyrzeźbiło spod kołdry.

– Za późno, bratku, już zapytałem.

– W takim razie nie wnikaj. Błagam.

– Słuszna uwaga. Nie ma co przesadzać z intymnością.

Teraz, kiedy Turu Brząszczyk skończył i czytać, i sączyć, podszyta rozbawieniem kpina w jego nordyckich oczach ustąpiła zwątpieniu w zdrowe zmysły rzeźącego cherlaka pod kołdrą.

– Wątek ciągle się rozrasta, a ja dostałem już czterdzieści siedem prywatnych wiadomości – rzekł Romańczuk, przerywając długie milczenie, jakie między nimi zapadło. – Na wszelki wypadek nawet ich nie otwieram.

– Mało ci menażerii, Konradeńku? Planujesz założenie hodowli skrzydlatych popaprańców czy jak?

– Niczego nie planuję! – odburknął. – Musiałbym kompletnie oczadzić, żeby się na to zgodzić.

– Kompletnie, powiadasz? No, jak na mój gust, jeszcze parę zakrętów i będziesz w domu.

Romańczuk puścił słowa wikinga mimo uszu, w czym bardzo pomocny okazał się gwałtowny atak kaszlu, od którego łzy ciurkiem spłynęły mu po zapadniętych policzkach.

– Natychmiast napisałem do Pawła w tej sprawie – wydusił, odzyskawszy po chwili oddech. – Przysięgał, że nikomu nie poda mojego adresu.

– Łeee, to co ja się martwię! Było od razu mówić, że mamy słowo faceta, który już raz cię zaliczył bez mydła. Teraz na pewno zacznie klasycznie, od bukietu i czułych słówek szeptanych do uszka. A jak jeszcze dorzuci kolacyjkę przy świecach, to sam mu się ochoczo nadstawisz.

– Hamuj, bo wdupisz – wyrzeźbił Romańczuk z mieszaniną zasłużonej skruchy i mimowolnego rozeźlenia. Jego ego nie lubiło takich pieszczot.

– Bardziej niż ty? – zachichotał Turu. – Oj, nie sędzę, nie sędzę, jak mawiał pewien sędzia na wakacjach. – Bez ceregieli ciepnął laptopa na tapczan i dźwignąwszy się z krzesła, różnym krokiem ruszył do drzwi.

– A ty dokąd?... – Konrad usiadł na łóżku.

– Zamknąć bramę na klucz.

– Czy to konieczne? Nie mamy nawet dzwonka, listonosz odmrozi sobie tyłek, czekając, aż ktoś go usłyszy.



– Wiesz, fosę jeszcze dałbym jakoś radę wyrąbać, ale z kupnem aligatora w styczniu może być mały problem. A króliki, choć to żerte cholery, nie robią takiego wrażenia. Pojutrze kopsnę się do miasta po jakiś wideofon czy inne ustrojstwo, a do tego czasu robimy za twierdzą niezdobytą. Aha. – Odwrócił się na progę. – I taka mała rada na przyszłość, bo widzę, że ty w te internety to tak nie za bardzo. Piłeś? Nie jedź. Gorączkujesz? Nie pisz. Te, ostoja, miłosierdzie i pocieszenie! – huknął przez korytarz za przechodzącym Tsadkiem. – A ty co tak się snujesz jak smród po gaciach? Byś coś poszatkował! – dodał jeszcze, zanim trzasnął drzwiami, aż się poniosło po całym domu i otumanionej gorączką, astralem i wyrzutami sumienia głowie Konrada Romańczuka.

\*\*\*

Wbrew pozorom oraz powszechnej opinii, opartej na bogatym materiale faktograficznym, anioł stróż Tsadkiel miał duszę. Miał również serce, z tym że w jego przypadku serce z definicji było wyłącznie centralnym narządem układu krwionośnego, z całkowitym pominięciem licznych znaczeń i funkcji metaforycznych notowanych przez słowniki. Dotychczas w niczym mu to nie przeszkadzało. Nie uskarżał się na żadne braki w tej materii, bo też najmniejszych nie odczuwał. Dość, że każdego ranka wstawał żywy, nie oczekiwał po swym sercu niczego więcej.

Nigdy też nie wnikał w swą naturę, a mimo to doskonale wiedział, kim był i przede wszystkim po co był; wszak miał w tym już kilkusetletnią wprawę. Tsadkiel, anioł skromności i sprawiedliwości. Zakres kompetencji standardowy: ostoja, miłosierdzie, pocieszenie. Był zatem i trwał w owym byciu niezłomnie i bez wahania, wbrew kłodom, jakie los niejednokrotnie rzucał mu pod nogi, kiedy czynił swą anielską powinność, strzegąc i służąc. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, zawsze stał przy swym człowieku i był mu ku pomocy, czy ów sobie tego życzył, czy też nie za bardzo, co akurat zdarzało się z zastanawiającą częstotliwością i regularnością. Anioł stróż w każdym calu, niezmiennie majestatyczny, niewzruszony, doskonały. Żadnych zbędnych niedopowiedzeń, żadnych wątpliwości. Oraz żadnych uczuć, które mogłyby stanąć mu na drodze, z wyjątkiem wrodzonego i dominującego poczucia obowiązku, świętego i psiego jednocześnie.

Aż do dnia, gdy na dźwięk trzaskających frontowych drzwi zatrzymał się ze spakowaną walizką w ręce u szczytu schodów i zamiast Pawła Zawadzkiego, którego oczekiwał już od rana, ujrzał, jak skostniały Konrad

Romańczuk wspinał się po wysłużonych stopniach na piętro. Dygotał na całym ciele, twarz miał bladą, usta sine, włosy zaś mokre od szybko topniejącego śniegu.

Na widok anioła mężczyzna przystanął i popatrzył na niego bez słowa, pochmurnie, jak tylko on potrafił – a przy tym jak gdyby zupełnie inaczej niż zwykle.

– Gdzie Paweł? – zapytał Tsadkiel, marszcząc alabastrowe czoło.

Skostniało-sposępniały Konrad odwrócił wzrok i zamiast odpowiedzieć, wrzucił zdawkowo ramionami. A potem, wciąż w milczeniu, minął rosnącego anioła i zamknął się w swoim pokoju.

Tsadkiel został całkiem sam – lecz nie tak od razu dotarło do niego, że jego samotność wcale nie ograniczała się do tych starych, zdezelowanych schodów w równie starym, zdezelowanym domu. Ależ skąd. Ta myśl szczyła się wycuciem dramatyzmu. Dlatego przyszła dopiero kilka dni potem, w samym środku kolejnej bezsennej nocy, gdy posągowy anioł stał przy oknie i wyglądał na świat spowity zimowymi ciemnościami. Myśl uderzająca w swej prostocie, tak przecież oczywista, a mimo to niespodziewana. Wszak nie pierwszy raz stał się aniołem stróżem, który nie miał już kogo strzec. Wiek, choroba czy szrapnel – prędzej czy później coś zabierało mu jednego człowieka, by zaraz dać drugiego, następnego spadkobiercę dożywocia. I tak stulecie za stuleciem, nieprzerwanie. Zawsze. Jednakże Paweł Zawadzki, choć młody, zdrowy i bezsprzecznie żywy, jednocześnie był, wcale nie będąc. Odszedł, lecz jego miejsca nie zajął żaden spadkobierca.

Nie zajął, ponieważ nie mógł.

A nie mógł, bo Paweł Zawadzki – dzień za dniem, noc za nocą myśl nieustępliwie drażyła skałę, z której wykuty był anioł – wcale nie odszedł z tego świata.

Paweł Zawadzki odszedł od swojego anioła.

Zwyczajnie go porzucił.

I tym oto sposobem pewnej mroźnej, styczniowej nocy Tsadkiel, anioł, ostoja i tak dalej, po raz pierwszy w swym długim życiu poczuł, że ma nie tylko tłoczący krew narząd mięśniowy, ale też najzwyczajniejsze, najprawdziwsze serce, w tym sercu zaś całkiem sporo miejsca na strach, samotność i zwątpienie.

## Rozdział 12

Co dziś na obiad, alleluja? – zapytało Licho, wtykając nos do lodówki.

– Słyszałem coś o krupniku – odparł Turu, który siedział przy kuchennym stole, chrupał słone paluszki i w skupieniu przeglądał ostatnią pocztę.

Istotnie, mróz nieco dawał się we znaki listonoszowi, zmuszonemu co rusz wystawać pod ich bramą w oczekiwaniu na zmiłowanie bądź odmrożenia – w zależności od tego, co nastąpi szybciej. Nie licząc jednak tych drobnych niedogodności, strategia twierdzy niezdobytej jak dotąd sprawdzała się doskonale: w domu nie przybył ani jeden nowy dożywotnik.

Za to, jak co miesiąc, przybyło rachunków. Ułożywszy z nich zgrabny stosik, Brząszczyk sięgnął po kubek z herbatą i wydał z siebie przeciągły ryk:

– Konraduuuuuu!

– A... a gdzie ten krupnik? – dobiegło z lodówki.

– W garnku, Liszko, w garnku. Tym co zwykle. KONRADUUUUUUUUUU!

– No i czego wyjesz, idę przecież! – rozległo się od korytarza i chwilę później do kuchni doczłapał Romańczuk. Świeżo zmartwychwstały po chorobie, wciąż nie odzyskał kolorów właściwych istotom żywszym niż tygodniowe zwłoki, za to jeszcze bardziej zapadł się w sobie i w rezultacie wyglądał teraz jak coś, co najlepiej dobić szpadlem, żeby się dłużej nie męczyło.

– Tu masz rachunczki – wiking czule poklepał liczne koperty – tu kolejny kwitek na przekaz, zapewne od tego twojego kochasia, a tu jakąś paczuszkę, moje ty Konraduuu.

– Co ty dziś masz z tym wyciem? Przerzucasz się z wikingu na kojoting?...

– No tak tutaj stoi, sam zobacz. – Wskazał paluchem. – Jak byk, Konrad U. Takie z kropeczką.

Istotnie stało – jako adresat na niewielkiej paczce widniał Konrad U. Romańczuk.

– U? Ale czemu U? – zdziwił się Konrad, przyglądając się nie dość, że dziwnie zaadresowanej, to jeszcze zupełnie niespodziewanej przesyłce. – Przecież ja nie mam na drugie U!

– A jak masz? – natychmiast zainteresował się Turu.

Nagle Romańczuk spiekł raka.

– Te – odburknął.

– Te, czyli co? – drażył brodaty wiking. – Tomasz? Tymoteusz? Telemach?  
– Te, czyli... czyli Tobiasz – wyznał rad nierad, zaraz jednak dorzucił: – Ale to po pradziadku ze strony ojca! A ty? – Zadziornym gestem wziął się pod kościste boki. – Jak ty masz naprawdę na imię? Bo idę o zakład, że żadnego Tura w twoim dowodzie nie znajdę!

Brząszczyk chrząknął, naraz skonfundowany. Uciekając wzrokiem na lewo i prawo, zaczął bębnić palcami o kuchenny stół. Potem chrząknął ponownie.

– No więc? – ponaglił go Romańczuk z narastającym zaintrygowaniem.

– Grzegorz Marcin – bąknął wreszcie wiking.

– Grzegorz? Grzegorz Brząszczyk?

– No.

Marszcząc brwi, Konrad w zamyśleniu przecesał palcami siwiejące włosy.

– Grzegorz Brząszczyk, Chrząszczyżewoszyce, powiat Łękołody?...

– A weź ty mię nawet nie denerwuj... W pewnych kwestiach matuś mocno niedomagała, za to w innych domagała aż za bardzo.

– Ale w jakim garnku?

Obydwaj mężczyźni spojrzeli na lodówkę, z której wystawało Licho.

– Co w jakim garnku? – Turu w pierwszej chwili nie załapał, o co chodziło małemu aniołowi.

– No ten krupnik, alleluja! Jestem głodne, zjadłobym coś... przed ciastem – dokończyło ciszej, trochę zawstydzone własnym łakomstwem.

Zniecierpliwiony Brząszczyk otworzył drzwi lodówki na oścież i zaczął rozglądać się po półkach. Konsternacja Licha szybko znalazła wyjaśnienie – nigdzie nie było ani śladu garnka. Ani z krupnikiem, ani żadnego innego.

– Zaduszę łajzę! – krzyknął wiking. Zamknął z hukiem lodówkę i odwrócił się do Konrada, który ciągle studiował nieoczekiwaną paczuszkę, zubożętniały na palącą kwestię zaginionego krupnika. – Zaduszę... ale najpierw oskubię! Tak, właśnie tak! A potem... potem uwarzę gar rosołu na anielskich skrzydłach!

Mały anioł, oskubany własnoręcznie, zrobił wielkie oczy i na wszelki wypadek zszedł z drogi wzburzonemu Turowi, który wypadł z kuchni niczym stado cwałujących walkirii.

– Licho, czy ty coś może zamawiałoś? – usłyszało jeszcze głos Konrada. Nie zdążyło jednak nic odpowiedzieć, gdyż w progu stanęła Carmilla.

Mimo incydentu z lokówką, który pozostawił niezatarty ślad zarówno w jego pamięci, jak i na pośladku, Licho nie reagowało na nią nerwowo. Nawet ją lubiło – na swój sposób, rzecz jasna, jak również w rozsądnych dawkach... i najlepiej z pewnej odległości, w razie gdyby znów zapomniała

wyłączyć coś gorącego. Z jednej strony, tak mu nakazywała jego anielska natura, zlepek poczciwości i naiwności bez granic, z drugiej zaś... cóż. Licho było głupiutkie, ale nie głupie. W przeciwieństwie do Tura, który Carmillę znał dopiero od niedawna, oraz Konrada, który znał ją najdłużej i siłą rozpędu pewne jej cechy przyjmował za bezdyskusyjny pewnik, ono niespodziewanie dostrzegło w tej charakternej, nieprzystępnej kobiecie coś, czego nie widziało wcześniej. I wcale nie chodziło o poprzedzający jej osobę duży, okrągły brzuch, który zdawał się tak bardzo jej ciążyć i zarazem nieustannie popychać ją do działania. Licho czuło się tym wielce zaintrygowane. Bo jak to możliwe, myślało sobie chociażby teraz, patrząc na tę kobietę, żeby być jednocześnie tak silnym i kruchym? Tak niezmordowanym i zmęczonym? Nieprzejednanym i... i wystraszonym?

Tymczasem Konrad zdawał się w ogóle nie zauważać tego paradoksalnego wewnętrznego rozdwojenia. Ani tego, że gdy Carmilla nastawiła wodę w czajniku i przysiadła na krześle, odruchowo sięgnęła po paczkę z resztką paluszków. Za to zmarszczył przelotnie nos, jak gdyby węszył nadciągające kłopoty.

– Wciąż nie przysłałeś mi tekstu.

Jedna brew drgnęła mu tak lekko, że niemal nieuchwytnie.

– Carmillo droga, gdybyś nie zauważyła, to ostatnio wypluwałem płuca i podsmażałem sobie szare komórki na wolnym ogniu. A to raczej nie sprzyja twórczości.

– Biedaku ty mój, męczyłeś się tak od września? Bo jeśli dobrze pamiętam, to właśnie wtedy umówiliśmy się na ostateczny termin, który tak jakby minął w zeszły piątek.

– Cóż, tak jakby się składa, że od pewnego czasu nie narzekam na brak zajęć.

– Czyżby? A cóż ty masz takiego do roboty?

– To – odparł krótko Konrad, machając jej przed nosem grubym plikiem niemile widzianych kopert.

– Ach, no tak. Zapomniałam, że ty jeden na tym świecie masz rachunki do zapłacenia. Nikt inny, tylko Konrad Romańczuk.

– Tak jest, właśnie tak. Wziąłem na siebie rachunki świata i spłacam je własną krwią.

– Ciekawe, jak taki Jan Karol Szumilas to robi, że płacą mu się same? – ciągnęła Carmilla, chrupiąc paluszek za paluszkim. – Bo najwyraźniej płacą, skoro regularnie pisze dla mnie co najmniej dwie książki rocznie i na dodatek zawsze wyrabia się w umówionym terminie.

– Czekał, czekał. Albo coś mi umknęło, albo podsmażyłem sobie więcej szarych komórek, niż dotychczas sądziłem. To ja jestem Jan Karol Szumilas? Pykam fajeczkę, pomykam w tuzurku, kolekcjonuję rosyjskie samowary, żywię się białą herbatą i dziennym światłem?

– Och, nie, skądże. Ty jesteś Konrad Romańczuk. Zgrzytasz zębami, pomykasz w dresie, kolekcjonujesz rodzimych popaprańców, a żywisz się kiepską kawą i kurzem.

– W takim razie bądź tak dobra i nie stawiaj między nami znaku równości.

– Równości? Dobrze sobie.

Licho złękło się nie na żarty, bo na te słowa twarz Konrada stężała w wyjątkowo nieprzyjemnym i chyba też dość bolesnym grymasie. To była bardzo, ale to bardzo zła wróżba – jedna z tych, po których padają trupy i imperia.

Lecz najpierw do kuchni wparował Turu, z włosiem rozwianym.

– A niech mnie walkirie popieszczą! – zakrzyknął. – Jego doskonałość wziął dupę w troki!

– Co? O kim ty mówisz? Jaką dupę, jakie troki?

– Zadkiel! Albo wziął się sam, albo zrobili to diabli, za co chyba im zaraz wystrugam rytualny ołtarzyk z zestawem wymiennych ofiar na każdy dzień tygodnia. Tak czy siak, zapadł się pod ziemię razem z całym swoim majdanem. I nie zrobił krupniku, padalec...

– Konrad, skup się. Wciąż nie mam tekstu, który mi obiecałeś.

– Zapewne dlatego, że wciąż go nie skończyłem – syknął Romańczuk w odpowiedzi, po czym zwrócił się z powrotem do Tura: – Ale jak to? Kiedy? Dokąd mógł pójść?

– A bo ja wiem, w cholere?...

– Konrad, czy mógłbyś się na chwilę skupić? – warknęła Carmilla, wyszarpując z paczki ostatniego słonego paluszka. – Ustaliliśmy termin, a ty go zawaliłeś. Tak po prostu, bez żadnego ostrzeżenia przed nadciągającym fakapem. I co, nie masz mi nic do powiedzenia? Przecież ja już się wstępnie umówiłam z wydawcą. Oczekujesz, że będę za ciebie oczyma świecić?

– A świeć sobie, czym chcesz!

Po tych słowach zapadła głucha cisza. Carmilla spuściła wzrok.

– No tak, czemu ja się dziwię – powiedziała półgłosem i dźwignęła się z krzesła, jedną ręką wsparta o blat. Drugą bezwiednie położyła na brzuchu. – Ciągnie swój do swego.

– Co proszę?...

Trupy i imperia, pomyślało Licho ze smutną rezygnacją. Trupy i imperia...

– Słyszałeś. Jesteś taki sam jak ten twój fircyk w zalotach. Na ciebie też nie można liczyć.

Najczulsza, najśłabsza struna w duszy Konrada Romańczuka po raz ostatni naprężyła się do granic wytrzymałości, po czym pękła z żalonym brzękiem.

– Że co? Że na... że na mnie? Na mnie nie można liczyć? NA MNIE? Wiesz co, Carmilla? Wiesz co?! – Z całych sił cisnął kopertami o stół, aż odbiły się rykoszetem i rozleciały po całej kuchni niczym spłoszone gołębie. – Jak pewnego pięknego dnia zostaniesz całkiem sama i całkiem sama będziesz musiała o wszystkim myśleć, o wszystkim pamiętać, na wszystko zapieprzać i nikt, absolutnie nikt nawet nie zapyta, czy dajesz radę, czy nie trzeba ci w coś pomóc, to wtedy pogadamy, na kogo można liczyć, a na kogo nie, dobrze?!!!

Stojące sobie cicho z boku Licho nagle zapragnęło pójść, pobiec wręcz w ślady Tsadkiela. Zamiast tego stało z boku, niezdolne się poruszyć, i czekało bezradnie na nieuchronną eksplozję, która wisiała w powietrzu. Wyprowadzony z równowagi Romańczuk dyszał i świszczął, i generalnie wyglądał, jak gdyby naprawdę miał zaraz dokonać żywota. Po drugiej stronie kuchennego stołu Brząszczyk kipiał świętym oburzeniem, a jego ciężka łapa podrygiwała złowieszczo. Lecz to nie na nich skupiała się cała uwaga małego anioła – tylko na Carmilli.

Bo Carmilla, bezduszna Carmilla, ta wampirzyca krwi żądna, harpia nienasycona, która pustoszyła marzenia, deptała godność i wyszarpywała ze swych autorów teksty razem z duszą, zwyczajnie zalała się łzami. A potem, kołysząc się na boki niczym kaczka, uciekła do swojego pokoju.

– Wiesz, Konradeńku – wycedził wiking – jak ty czasem okażesz zrozumienie, to aż się człowiekowi na wymioty zbiera.

– Och, doprawdy! – Konrad z irytacją przewrócił oczyma. – I to bez alleluja! Ona jest wredna dla mnie, ja jestem wredny dla niej. Na tym między innymi opiera się nasza współpraca. Żadnej taryfy ulgowej. Zawsze tak było i jakoś nikt się nigdy o nic nie obrażał. A teraz nagle...

– Teraz nagle to ona jest w ciąży! – ryknął Turu, aż w oknie zatrzęśły się szyby.

– Ach, no tak. No tak. Gdzie ja mam głowę. To te słynne hormony, tak?

– Radzę po dobroci, lepiej się opamiętaj, bratku, póki jeszcze masz komplet klawiszy. Ja już jednego Dupkiela ostatnio w pysk strzeliłem, więc jeżeli sądzisz, że się teraz zawaham... Nie hormony, ciemny żłobie, tylko samotność. Taka, od której chce się tylko wyć.

Konrad parsknął z goryczą.

– Wyc, powiadasz? Akurat o tym coś wiem.

– Gównu tam wiesz. Gdybyś wiedział, to od czasu do czasu skupiłbyś się na tym, co naprawdę ważne. Zanim będzie za późno.

– Że... że co proszę? Napraw... NAPRAWDĘ ważne? Przepraszam, a co ja niby teraz robię, baki zbijam? Człowieku, ja zasuвам dzień i noc, pracuję, zarabiam na cały ten bajzel, żeby wam niczego nie zabrakło, sterczę przy garach, piore, prasuję... No dobrze, może z tym prasowaniem nieco przesadziłem, raczej przeciągam tam i nazad żelazkiem, ale mimo wszystko...

– I to jest według ciebie naprawdę ważne, tak? Gary i żelazko?

– Cóż, w wymiarze kosmicznym zapewne nie, ale cóż począć – odparował sucho Romańczuk. – Siła wyższa.

Nagle z Tura jak gdyby zeszła cała para, bo rozluźnił dotąd spięte ramiona, wyprostował się i zwiesił ręce wzdłuż zwalistego ciała.

– Nie, bratku – rzekł cicho. – Siła niższa. Prozaiczna i przyziemna, mierzona liczbą nieprzespanych godzin, wyprasowanych koszul czy rozpadających się uszek w spieprzonym barszczu. Inaczej tak zwane życie. A siła wyższa stoi chociażby tu – wskazał paluchem na wielkookie Licho – i próbuje się nie sfajdać ze strachu w porcięta. Ryczy z bezsilności tam, w swoim pokoju. Błąka się po mieście niczym stary, bezpański kundel albo... albo leży jak kłoda w piwnicy. To właśnie jest siła wyższa. To, co naprawdę najważniejsze. Cała reszta jest bez znaczenia.

– Ja... ja to nawet nie lubię uszek – ośmieliło się bąknąć Licho.

Skonsternowany Romańczuk popatrzył na małego anioła stróża, a potem na porozrzucane po całej kuchni koperty. Miał wrażenie, jak gdyby wraz z nimi runął na ziemię fundament, na którym opierało się całe jego dotychczasowe życie. Ostatkiem sił uciekł się do bezpiecznego, sprawdzonego przesadyzmu.

– Czyli co? Wychodzi na to, że jestem złoczyńcą, łotrem i padalcem? Bo żyły sobie wypruwam, żebyście w czystych gaciach chodzili?

– Nie no, bratku, już nie przesadzajmy z tym samobiczowaniem. Wbrew pozorom ty wcale nie jesteś taki zły. Ty jesteś po prostu tępą dzidą. Wredną, tępą dzidą – uściślił Turu, szybko przemyślawszy sprawę. – Egotyczną, wredną, tępą dzidą. Neurotyczną, egotyczną...

– Okej, okej, wystarczy tych inwektyw, już załapałem motyw przewodni! Konrad Romańczuk – dzida.

– Będzie jak znalazł na nagrobek. O ile do tego czasu zostanie ci ktoś, żeby go postawić.

I po tych słowach Turu, uznawszy, że powiedział już wszystko, co miał do



powiedzenia, zalał zapomnianą herbatę przestudzonym już wrzątkiem, wyjął z szafki nową paczkę słonych paluszków i tak wyposażony ruszył podnieść Carmillę na upadłym duchu.

– Chyba wiem, dokąd uciekł Tsadkiel – po paru krokach doleciało go zza pleców.

– Oczywiście, że wiesz. – Spojrzał przez ramię na Konrada, który właśnie wkładał buty na korytarzu. – Przecież wy dwaj jesteście tacy sami. Ślizgacie się gładko po powierzchni, byle się przypadkiem, Thorze uchwaj, nie zanurzyć w emocjach. Dlatego Zadkiel chowa się przed nimi za upierdliwym perfekcjonizmem, a ty za chorym pracoholizmem. Tyle że on to robi, bo nie ogarnia czegoś takiego jak emocje, a ty, bo cię przerastają. A niczego nie boicie się w życiu tak bardzo jak porażki. Wart Pac pałaca, Konradeńku. Wart Pac pałaca.

\*\*\*

Obsypany śniegiem, zastygły Tsadkiel jak nigdy dotąd przypominał zimny, doskonały posąg. Czy raczej przypominałby jako żywo, gdyby nie rumieńce, spurpurowiały nos oraz usta niemal tej samej barwy co jego ametystowe oczy. Nawet majestatycznemu aniołowi nie było w takiej kolorystyce szczególnie do twarzy.

Zostawiwszy tico na osiedlowym parkingu pod pstrokatym, niskim blokiem, w którym jeszcze nie tak dawno mieszkali Zawadzcy, Romańczuk podszedł niespiesznie do Tsadkiela i jego walizki. Zamiast usiąść obok niego na zaśnieżonej ławce, oparł się plecami o stojący obok przerdzewiały trzepak, wcisnął dłonie w rękawiczkach pod pachy, a nos głęboko w ciepłe zwoje szalika.

Przez dobrych parę chwil milczeli we dwóch, niby wspólnie, a jednak osobno.

– Tak właśnie myślałem, że cię tu znajdę.

Tsadkielowi nawet nie drgnęła powieka. Śnieg padał nieprzerwanie, osiadając na nim grubymi płatkami. Gdyby nie żywe kolory, które wciąż wyraźnie malowały się na pustej twarzy anioła, Konrad na wszelki wypadek sprawdziłby mu tętno.

– Paweł mnie nie chce.

To nie było pytanie. Romańczuk nabrał mroźnego powietrza, po czym wypuścił je pomału. Przestał kaszleć już po dwóch minutach, co można było uznać za dobry prognostyk.

- Nie – odparł wreszcie.
- Ty też mnie nie chcesz.

To również nie było pytanie, lecz tym razem całkowicie zbędna odpowiedź padła natychmiast.

– Nie. Przyznaję bez bicia. Drażnisz mnie jak mało kto, a ja nie potrafię cię olać. Teoretycznie powinienem, w końcu nie do takiego szalu doprowadzał mnie Szczęsny. Ale przemyślałem sobie to i owo po drodze i chyba... chyba nawet wiem, dlaczego tak się dzieje. Nieważne, w tej chwili to średnio istotne. Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że życie ze mną to też nie bajka, że ze mną też czasem trudno wytrzymać, bo jestem... – „neurotyczną, egotyczną, wredną, tępą dzidą”, podsunęła mu usłudźnie pamięć, lecz Konrad ją zignorował, stanowczo trzymając się synonimiki własnego autorstwa – ... cholernikiem, egocentrykiem i generalnie żołądnym dupkiem, tyle że z przebłyskami człowieczeństwa – och, jej, doprawdy, nie musisz tak gorliwie zaprzeczać...

- Cóż, byłoby trudno. Jak dotąd wszystko się zgadza.

Na te słowa człowieczeństwo jak gdyby przygasło. Romańczuk, chociaż wbrew sobie, podsycił je energicznie.

– ...ale nie aż takim – i sam nie wierzę, że to mówię – ale naprawdę nie aż takim, żeby machnąć ręką, zostawić cię teraz na tej ławce i liczyć, że na wiosnę odtajesz i wyłonisz się spod śniegu niczym przerośnięty krokus albo... inna niespodzianka, przyczajona na trawniku.

- Doprawdy, alleluja, ty to potrafisz prawić komplementy.

– Dziękuję, to wrodzony talent i lata ciężkiej pracy. Słuchaj, będę z tobą szczery. Owszem, gdyby istniało gdzieś schronisko dla bezdomnych aniołów stróżów, tobym cię tam teraz odwiózł, choćbym musiał drałować na drugi koniec kraju na wrotkach. Niestety, nie istnieje, a ja nawet nie mam wrotek, więc... – Urwał i westchnął ciężko. – Więc zabieram cię z powrotem do domu.

– To nie jest mój dom – odparł krótko Tsadkiel. – Mój dom jest tam – wskazał ciemne okna na trzecim piętrze.

W pierwszej chwili podirytowany Konrad uniósł ręce ku niebiosom, bliski wybuchu, lecz zaraz potem opuścił je w geście bezsilności.

– Wiesz co? Mój też nie! Ani Licha, ani Carmilli, ani... cóż, w zasadzie nikogo innego poza Turem, a i on mieszka tu służbowo. Ale jest. Po prostu – jest. Ani ty, ani my nie mamy innego. Ot, cała filozofia. Lepsze to niż ławka pod blokiem, nie uważasz?

- Zatem postanowiłeś zrobić mi łaskę?

– Nazywaj to, jak chcesz. Dla ciebie to łaska, a dla mnie elementarny odruch sumienia. Bo może i jestem cholernikiem, neurotykiem i dupkiem, ale nie skończoną świnią. Pewnych rzeczy się po prostu nie robi. I już.

– Paweł zrobił.

– No. Zrobił. I co, na złość jemu odmroziś sobie anielskość? Czy może raczej... – i tu w głowie Konrada zaświtała myśl przewrotna i szatańska, a tak upojna, że aż zakręciło mu się od niej w głowie – ...czy może raczej zaczekasz, aż po ciebie wróci za tych parę... naście tygodni, żeby mu to wypomnieć? Skrzętnie i beznamiętnie, za to ze szczegółami, jak tylko ty potrafisz?

Anioł nareszcie drgnął. Odwrócił głowę w stronę człowieka, a w jego ametystowych oczach po raz pierwszy od dawna zaśniło zdecydowanie nieposągowe życie.

– Zaczynasz mówić z sensem.

– Tak, mnie też to przeraża.

Z uwagi na skrzydła, niby ściśnięte pod prochowcem, lecz wciąż zbyt rozłożyste, by nie przesłaniać kierowcy połowy świata, Tsadkiel łaskawie, bo bez dyskusji, zajął miejsce na tylnej kanapie.

– Mam tylko do ciebie jedną, gorącą prośbę – rzekł Konrad, zapinając pas i podkreślając ogrzewanie. – Jedną. Czy mógłbyś przez całą drogę nie otwierać ust? Proszę? Błagam?

– Och, czyżbyś nauczył się w końcu, do czego służy kierunkowskaz?

Romańczuk spojrział z ukosa na anioła we wstecznym lusterku.

– Wiesz co? Kopnąłbym cię w ten anielski tyłek, gdybyś już na nim nie siedział.

– Tak. Wiem – odparł Tsadkiel. A potem odwróciwszy twarz w stronę okna, uśmiechnął się niezauważenie.

Silnik stęknął, zmarznięte wycieraczki zapiszczały o szybę, po czym człowiek i nie jego anioł ruszyli przez zaśnieżone miasto z powrotem do domu, który dla żadnego z nich tak naprawdę domem nie był – niby osobno, a jednak razem.

## Rozdział 13

Tsadkiel, ma się rozumieć, ani myślał trzymać gębę na kłódkę i niczym statkowy trubadur umiłał Romańczukowi podróż beznamiętnymi komentarzami z tylnej kanapy tico. I to bez dodatkowej opłaty, chociaż Romańczuk nie takie rzeczy mu proponował, byleby tylko anioł się przymknął. A na wypadek, gdyby nie dość mu było atrakcji, już za pierwszym zakrętem wpakowali się w wyjątkowo niemrawy korek, potem zaś zapadł zmrok, gęste opady śniegu nabrały rozmachu i przeszły w regularną śnieżycę. W rezultacie do celu doturlali się późnowieczorną porą, kiedy cały dom już spał snem sprawiedliwego, tu i ówdzie nawet pochrapując.

Ale cóż. Wszak Konrad sam stwierdził, że każdy dobry uczynek prędzej czy później musi zostać ukarany.

Zaprzestawszy wreszcie dalszego umilania, Tsadkiel wcisnął się do znów swojego pokoju i cicho zamknął drzwi. Romańczuk już miał pójść za jego przykładem, gdy naraz coś go naszło, tknęło i generalnie pchnęło w zupełnie inną stronę. Bezszelestnie, na palcach ruszył labiryntowymi korytarzami w głąb domu.

Najpierw zajrzał do małego anioła. Licho oddychało miarowo, ze wszystkich stron obłożone posapującymi, skłębionymi różowymi królikami. Nad całą tą śpiącą hałastrą czuwała niestrudzenie Rudolf Valentino. Powitała przybysza zdawkowym fuknięciem, a w jej paciorkowatych oczkach błysnęło coś łudzaco podobnego do łaskawości. Konrad podniósł książkę, która w pewnym momencie musiała się wysunąć z rączki Licha, zwisającej teraz bezwładnie nad podłogą. Naciągnął kołdrę na odkrytą bosą stópkę, przesunął jeden kłębuszek różowej zagłady trochę dalej od skraju łóżka, na koniec zaś zgasił lampkę nocną. Stał tak jeszcze przez kilka minut, w nikłym blasku ulicznych latarni przyglądając się tej anielsko-puchatej sielance. I myślał.

Później zszedł na parter. Opustoszała kuchnia, za dnia zachęcająca domowników do długich, wspólnych posiedzeń, o tej porze odstręczała ciemnością i martwym bezruchem sprzętów. Zaulek za spiżarnią już stąd emanował piwnicznym chłodem. Po krótkim zawahaniu Konrad minął go pospiesznie. Dudniące grzmoty, które raz po raz dobiegały z pokoju Tura, świadczyły niezbicie, że wiking raczej nie miał powodów, by uskarżać się na bezsenność. Zmora tymczasem buszowała w najlepsze po prawie że salonie,

to ścigając niewidzialnego wroga, to znów przed nim pierzchając i robiąc przy tym, jak na kota, niesłychany wprost hałas. Dostrzegłszy w korytarzu Konrada, miauknęła przeciągle i w nagłym przypiływie miłości jednym susem wskoczyła mu na ramię – czy raczej taki miała zamiar. O ile bowiem przednie pół kota trafiło mniej więcej w cel, nieomal go przy tym powalając na ziemię, o tyle dolne pół już tak jakby niekoniecznie. Zmora zawisła więc z odwłokiem dyndającym wdzięcznie oraz przednimi pazurami wbitymi w ramię Romańczuka, któremu aż świeczki stanęły w oczach. Tyle dobrego, że tym razem oszczędziła twarz, choć biorąc pod uwagę jego aktualną aparycję ledwo żywego trupa, zapewne nie zrobiłoby to wielkiej różnicy.

Zataczając się pod ciężarem mrużąco-rezonującej kotki, Konrad zawrócił i powędrował dalej. Za kolejnym zakrętem dostrzegł wąskie pasmo światła, które wymykało się z pokoju Carmilli pod krawędzią nieco wypaczonych drzwi. Najwyraźniej nie tylko on zarywał tę noc.

Długo się zastanawiał, czy zapukać. Tak długo, że znudzona Zmora z eterycznym łoskotem zeskoczyła mu w końcu z ramienia i przepadła gdzieś w czeluściach domu. Wówczas pasmo światła przeciął miniaturowy cień, wetknął nos w szparę i wydał z siebie nad wyraz srogiego, acz niezaprzeczalnie piskliwy jazgot, który równie dobrze mógł wpędzić intruza w panikę, co w konsternację.

Ignorując dalszą agresję dźwiękową ze strony skudłaconego yorka, gotowego zawarczyć wroga na śmierć, a w razie konieczności nawet go obślinić, Konrad zastukał wreszcie do drzwi, po czym zajrzał ostrożnie do środka.

Carmilla siedziała po turecku na zaścielonej wersalce i z zawziętą miną masakrowała czerwonym długopisem maszynopis ani chybi jakiegoś nieszczęsnego debiutanta. Z każdym krwawym cięciem kolejne zdania bezpowrotnie traciły przydawki, nieszczęsne powtórzenia, pleonazmy i tautologie ginęły masowo, nadmiarowe imiesłowy szły potulnie na rzeź, a logika zdania ramię w ramię z logiką fabuły powracały na obyczajną drogę. Kiedy szło o szlifowanie tekstów, Carmilla znała litość wyłącznie w teorii, której z zasady nigdy nie wcielała w życie, o czym Konrad niejednokrotnie przekonał się na własnej skórze. Za to, dla odmiany, nigdy dotąd nie widział swojej agentki z oczyma zapuchniętymi od długiego płaczu – podczas gdy łyzy wylane przez jej autorów podniosłyby poziom mórz i oceanów szybciej niż topnienie lodowców.

– Jestem... – „Dzida! Tu-wstaw-swoją-inwektywę dzida!”, podsunął mu w okamgnieniu wewnętrzny głos, osobliwie tym rozradowany. Konrad zdusił

dziada, odetchnął głęboko i zaczął raz jeszcze: – Jestem zarobiony. Po łokcie. Po uszy. Po kokar...

– Całkiem zgrabna gradacja, stopniowanie przysłówka oparte na rzeczywistym wertykalizmie. Ale daruj sobie dalsze figury stylistyczne i przejdź do meritum. Mam dziś jeszcze sporo pracy. – Zastukała wymownie długopisem o wydruk w stanie przedagonalnym.

– Meritum. Tak. Jasne. Krótko i węzłowato: cierpię na zaawansowany niedoczas. Poniekąd na własne życzenie, co dopiero niedawno sobie uświadomiłem czy też raczej co mi uświadomiono, więc jeszcze nie zdążyłem się z tym tak do końca...

Stuk-stuk-stuk.

– Tak jest, meritum. No więc miotam się. Między za... a, chrzanić przydawki. Między niedoczasem a zmęczeniem. Trwa to już jakiś czas i chyba przestaje wyrabiać. Zaczynam zawalać, a że zawalać nie znoszę, to się zaraz wściekam i wtedy z tej wściekłości tym bardziej nie potrafię niczego odpuścić, i w rezultacie zawalam coraz więcej, coraz częściej. Wszystko, jak leci, pracę, pisanie. W ogóle życie. I wystarczy, że wydarzy się coś, czego nie przewidziałem, na przykład zostanę z cudzym aniołem na głowie albo zjawisz się ty w... no, w dwupaku, albo moja... zresztą, nieważne. – Machnął wymijająco ręką. – Wtedy zmieniam się w neurotyczną, egotyczną, wredną, tępą dzidę. Chociaż nie, dzidą jestem z natury. Po prostu wtedy mi się gwałtownie pogarsza. Do tego stopnia, że zamiast się wreszcie ogarnąć, drę się, wyzłośliwiam i ogólnie odreagowuję na innych.

Carmilla odłożyła zakrwawiony maszynopis na pościel i zmarszczyła brwi. Nawet rozjuszone pół psa odpuściło sobie zaciekły szturm na kostki Romańczuka. Przysiadło i ziejąc, łypało czujnie na niego spomiędzy kołtunów, z pozoru spokojne i zaintrygowane, w rzeczywistości zaś gotowe w każdej chwili rozpętać krwawą rzeź.

– Konrad, czy ty... czy ty mnie przepraszasz? – zapytała Carmilla, nie do końca dowierzając temu, co słyszała, na co on uśmiechnął się niezręcznie.

– Tak jakby usiłuję.

– Mocno naokoło.

– Cóż, nie mam wprawy... yyy... yyy... – Zaciąwszy się nagle na tej jednej głosce, Konrad znieruchomiał z uniesionym palcem wskazującym i rozdziawionymi ustami. – Yyy... tyyy... tyyy... chyyy...

Obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem.

– Masz wylew?

Tych parę sekund wystarczyło, żeby Romańczuk odzyskał stałą łączność

z tymi rejonami własnego mózgu, w których od dzieciństwa gromadził słowa i tym podobne drobiazgi.

– Raczej nie. Za to ty masz wyciek... czegoś – rzekł, wskazując na wersalkę.

Spojrzała pod siebie i cała krew w ułamku sekundy odpłynęła jej z twarzy, jak gdyby dla równowagi płynów w przyrodzie. Gdyż wszędzie wokół na pościeli rozkwitała niespiesznie wielka, mokra plama.

Oszołomiona Carmilla chwyciła maszynopis w dwa palce i powoli wyciągnęła go z kałuży. Połowa kartek zdążyła już solidnie nasiąknąć.

– Cóż, nie powiem, żeby to jej jakoś szczególnie zaszkodziło. To i tak zła książka była.

– Ale... ale żeby aż tak?...

– Konrad, do cholery, przecież nie olałam jej ciepłym moczem, żeby w ten subtelny sposób dać autorowi do zrozumienia, co myślę o jego po stokroć przeklętym dziele! Wody mi odeszły!

– Aha! No tak, tak, jasne. Wody. Czyli... co teraz?...

– Wiesz, zazwyczaj następne w kolejności wychodzi dziecko.

– Ooo... szlag. O szlag. O SZLAG!

– Lepiej bym tego nie ujęła – sapnęła, łapiąc się za brzuch, bo w tym momencie poczuła pierwszy porządny skurcz.

\*\*\*

Była pierwsza nad ranem, gęsty śnieg walił poziomo, a tico pruło przez miasto, bliskie wejścia w nadprzestrzeń.

W ciele Carmilli działy się rzeczy niebywałe.

Z głową Konrada wcale nie było lepiej.

W rezultacie na mikroskopijnej przestrzeni wewnątrz już i tak głośnego samochodu natężenie dźwięków osiągało wartości zawrotne, wyraźną dominację zyskały zaś dwie głoski – przeciągłe AAA, towarzyszące kolejnym skurczom i zwieńczone sapnięciem, oraz jednostajne YYY, z jakim Romańczuk usiłował ogarnąć własne myśli, z których większość miała charakter paniczny. Szło mu całkiem nieźle. Już za drugim skrzyżowaniem przypomniał sobie, jak się wrzuca wyższy bieg; za czwartym nawet tej trudnej sztuki dokonał, litując się wreszcie nad silnikiem, i wewnątrz tico od razu zrobiło się jakby ciut ciszej. Na piątym, czekając w napięciu na światło, które najwyraźniej nie zamierzało zmienić się na zielone, przynajmniej nie w tym stuleciu, w końcu wyłowił z wewnętrznego chaosu pierwszą składną

myśl w sam raz na tę okoliczność i mógł darować sobie bezproduktywne zawodzenie.

– Co ile... co ile minut masz skurcze?

Carmilla, kurczowo uczepiona uchwytu pod sufitem, spojrzała z przestachem na Konrada.

– Nie wiem, a czy to ważne?...

– Podobno nawet bardzo!

– A niech to szlag! To co ile ja mam te skurcze?!

– Nie wiem, nie mam zegarka!

– Jak można nie mieć zegarka?!

– A na co mi zegarek?!

– Jak to na co?! Na rękę!!!

– No wybacz, że nie mam zegarka! Nie mam nawet takiej potrzeby! W ogóle nic nie mam, nie mam czasu, nie mam tekstu, nie mam życia, nie mam godności ani rozumu człowieka!!!

– Za to masz zdumiewającą skłonność do popadania w przesadę, która powinna ci rekompensować te niedostatki. I to z solidną nawiązką!

– Och, jasne, nie to co Jan Karol Dwojga Imion Szumilas!

– Och, Jan Karol Szumilaaaaaaaaa!... -as może mi naskoczyć! Z dowolną liczbą imion!

– No wiesz, twój ulubieniec? – prychnął Romańczuk z przekąsem.

– Dupa tam, nie ulubieniec! Nie trawię gościa jak mój pies laktozy! Z tą subtelną różnicą, że mnie tak po nim nie goni i nie sram potem po kątach. Ej, czy mógłbyś nieco zwolnić? Chciałabym trafić na porodówkę, a nie od razu na OIOM.

Konrad posłusznie oderwał nieco stopę od pedału gazu.

– Więc czemu powiedziałaś, że...

– Bo na bezczelnego wystawiłeś mnie do wiatru i chciałam ci dosrać! – warknęła, wchodząc mu w słowo. – Owszem, Szumilas cierpi na przewlekłe twórcze rozwolnienie, i to głównie dzięki niemu nie umarłam jeszcze z głodu, bo idzie ostro w ilość i mam z tego regularny procent. Za to ty idziesz w jakość. Uwierz mi, to jest naprawdę miła odmiana. No i... jemu nigdy nie zwałabym się na głowę.

– Och, no co za... chwila, że co?

Carmilla kilka razy odetchnęła głęboko, zbierając siły do dalszej rozmowy.

– Konrad, znam cię lepiej, niż ci się wydaaaaaaaaaa!... -je. Owszem, jesteś tępą dzidą, ale nie ostatnią szują. W te pędy przyniósłbyś mi ten durny, wyfiokowany łeb Szczęsnego na srebrnej tacy, płasząc przy tym radośnie jak



naćpana cukrem primabalerina, gdybyś tylko wiedział, gdzie go znajdziesz.

– Przecież powiedziałaś, że się nie ruszysz, dopóki...

– Och, już tak nie piskaj, dobrze wiem, co powiedziałam! Szczęsnego mam mniej więcej tam gdzie ty Szumilasa. Tyle że głębiej. Sama dam sobie radę. Zresztą musiałabym wpierw oczadziąć, żeby dopuścić go do jakiegokolwiek dziecka.

Cóż, w tej kwestii Romańczuk był skłonny przyznać jej całkowitą słuszność.

– Więc czemu?

– Temu, że z końcem roku wygasła mi umowa najmu – odparła zrezygnowanym tonem, zmęczona już i tą rozmową, i skurczami, które dopiero się rozkręcały. – Właściciel nie chciał jej przedłużyć, a nie mogłam znaleźć niczego nowego, więc miesiąc przed terminem zostałam bez dachu nad głową. Nikt się nie garnie do wynajmowania przestrzeni życiowej samotnym maaaaaa!... -tkom. Dlatego pomyślałam o tobie.

– I wykorzystałaś moje wyrzuty sumienia – dośpiewał sobie.

– A było co wykorzystać? – odparowała.

Konrad zastanawiał się przez moment nad odpowiedzią.

– Było – przyznał uczciwie.

– W takim razie możemy chyba uznać, że jesteśmy kwita.

Chyba rzeczywiście mogli.

Gruba warstwa śniegu skutecznie stłumiła pisk opon, niweczając wszelki dramatyzm, kiedy wjechali z impetem na opustoszały przyszpitalny parking. Podczas gdy Carmilla gramoliła się niezdarnie z samochodu, Konrad wywłókł z bagażnika jej rzekomo podręczną torbę.

– Czegoś ty tam napakowała?! – sapnął, bo jego kręgosłup już drugi raz tej nocy wyraził stanowczy sprzeciw wobec nadmiaru aktywności fizycznej.

Carmilla nabrała głęboko powietrza.

– Nocne koszule, szlafrok, grube skarpetki, cienkie skarpetki, majtki poporodowe, staniki do karmienia, klapki do chodzenia, klapki do kąpieli, suszarka do włosów, kosmetyki do... człowieka, ręczniki, termofor, taaaaaa!... -blet, chusteczki, podpaski, pieluchy jednorazowe, pieluchy tetrowe, kocyk, rożek, pajacyki bawełniane, pajacyki welurowe...

– Znaczący, wszystko. W ilości mnóstwo – podsumował Konrad, darując sobie ciąg dalszy tej wyliczanki, która może nawet miała gdzieś jakiś koniec, zapewne dawno, dawno temu, w odległej galaktyce.

Westchnąwszy, zarzucił sobie cały ten porodowy majdan na ramię i zaprowadził coraz ciężiej posapującą Carmillę do szpitala. Mając koniec

języka za przewodnika, znalazł nawet właściwą izbę przyjęć, gdzie z nieskrywaną ulgą cisnął torbę na gustowne linoleum. Jego kręgosłup z chrzęstem i niewymowną ulgą z powrotem się wyprostował.

– Dobra. Szpital – Carmilla. Carmilla – szpital. No. To bawcie się dobrze... i w ogóle.

Nogi ugięły się pod nią nie tylko w przenośni, bo klapnęła ciężko na jedno z plastikowych siedzeń pod ścianą.

– Konrad, ty mnie tu chyba nie zostawisz?!...

– Yyyyyyyyyy?...

Gdzieś głęboko, w samym jądrze jego zdębiałego jestestwa, obudził się lęk najpierwotniejszy z pierwotnych, lęk przed wrotami piekieł, które z każdym kolejnym skurczem otwierały się nieuchronnie, coraz szerzej, gdzieś w czeluściach Carmilli – choć nie było już żadnej Carmilli, był tylko Zuul, a skąd Konrad miał teraz wziąć łatwo wzruszające się gluty i statuetkę skłoną do zażycia ruchu na świeżym powietrzu?!... Lecz jednocześnie coś darło w nim paszczę na cały regulator, że nie może, po prostu nie może jej tak zostawić tu samej, że otwieranie wrót piekieł we własnych czeluściach to coś więcej, o wiele więcej niż odmrażanie sobie tyłka na ławce pod blokiem, że jeśli teraz obróci się na pięcie i da nogę, wówczas będzie to noga niechybnie zwieńczona racicą, która zostanie mu już na zawsze. Pomału, na bezdechu zebrał się w sobie i podniósł wzrok na Carmillę.

– No nie. No przecież, że nie zostawię, musiałbym doszczętnie zdzidzić... czy zdzidować? Ale poniżej pasa nie schodzę, choćbyś pękła! Znaczy... dobra, nieważne.

Po raz trzeci dźwignął torbę i z duszą na ramieniu przekroczył próg krainy skurczów partych i innych nieprzyjemności.

\*\*\*

Niedługo przed świtem śnieżne chmury nad miastem w końcu wyprztykały się z amunicji i rozstały niechętnie, odsłaniając tu i ówdzie skrawki dawno niewidzianego nieba. Choć równie dobrze mogłyby spluwać deszczem meteorytów, wulkanicznym pyłem albo żabami – trwale oderwanemu od rzeczywistości Konradowi było doskonale wszystko jedno.

Na szczęście dla ludzkości, nieświadomej zarówno całkowicie ziemskiego zagrożenia, jak i nadziemskiej ingerencji, siły wszelkiego zasięgu i autoramentu czuwały nad poobijanym tico, kiedy toczyło się ulicami miasta bez większego udziału kierowcy w tym procesie. Wiedziały bowiem, że

minionej nocy widział on rzeczy niebывałe, których nijak odwidzieć się nie dało, i zgodnie uznały, że tym razem jednak przeciągnęły strunę. Zmieniały zatem światła na kolejnych skrzyżowaniach, usuwały z drogi wszelkie przeszkody, i te żywe, i te nie bardzo, dopóki Romańczuk nie dotarł bezpiecznie do celu.

Dom powitał go ciszą zwyczajnego poranka, jednego z tych, które pachniały jajecznicą na maśle, kakao, wciąż ciepłym chlebem i... kurzem. Kurzem wszechobecnym, wieloletnim i wielowarstwowym, zatęchłym i zamieszkiwanym przez niezliczone pokolenia roztoczy, które już dawno powinny były dostać wyrok natychmiastowej eksmisji z dywanów, mebli, framug, szczelin, kątów i zakamarków. Gdyby tylko komukolwiek się chciało.

Zdumiony Konrad Romańczuk stał pośrodku korytarza i rozglądał się po zapuszczonych, spękanych ścianach, po zapyziałych oknach, po pajęczynach rozsnutych wszędzie, jak gdyby dopiero przeżycia tej nocy zdołały wstrząsnąć nim na tyle, że łuska spadła mu z oczu. Jak gdyby dopiero teraz, po tylu miesiącach spędzonych pod tym dachem ciałem, lecz duchem już niekoniecznie, nareszcie do niego dotarło, że gdzieś po drodze wydarzyło się coś bardzo ważnego, a on to przegapił, zbyt skupiony na sobie – wyłącznie na sobie; że osamotnione Licho naprawdę się pogubiło, naprawdę straciło grunt pod nogami. I nie tylko Licho, przemknęło mu naraz przez myśl, gdyż oto z lustra na ścianie patrzył na niego zmarniały, wymizerowany on, cień człowieka, cień cienia. Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata. Bo uciekając na oślep przed żalem, który go przerastał, z rozpędu uciekł przed całą resztą.

Chyba nadeszła pora, by zawrócić.

Tak jak stał, w krótkim płaszczu i mokrych od śniegu butach, Konrad zszedł do piwnicy, której istnienie tak skutecznie dotąd wypierał. A tam zapalił światło, wspiął się do drakkaru, przyklęknął na dnie, drżącymi rękoma rozwiązał stary, jutowy worek leżący na posłaniu z wiórów i po krótkim wahaniu zanurzył dłoń w uschniętych i szorstkich włosach, które wciąż pachniały lasem i wiatrem.

– Bardzo mi Ciebie brakuje, Puk – powiedział cicho przez ściśnięte żalem gardło, delikatnie głaszcząc hamadriadę po głowie. – I chyba... chyba nie radzę sobie z tym najlepiej.

## Rozdział 14

Tego styczniowego ranka Licho otworzyło oczy i poczuło rozchodzący się po całym domu zapach jajecznicy na maśle. Ta konkretna woń o tej konkretnej porze lepiej niż cokolwiek innego dowodziła ponad wszelką wątpliwość, że zaginiony Tsadkiel zmienił charakter swego bytu i stał się Tsadkiem odnalezionym, który właśnie zasiadał do rutynowego śniadania, zapewne przyprawiając je suto równie rutynowym komentarzem. Cóż, w przeciwnym razie nie byłby sobą, tak jak Licho nie byłoby Lichem, gdyby nie ucieszył go ów powrót anioła marnotrawnego – mimo wszystko. Mimo całego mnóstwa wszystkiego. Uważało jednak, że nawet owym wszystkim Tsadkiel nie zasłużył sobie na to, co zrobił mu jego człowiek.

Nie miało jednak zbyt wiele czasu na wnikliwsze rozważania w temacie zbrodni i kary, gdyż zaraz potem poczuło coś jeszcze, i to nie tyle w powietrzu, ile we własnych skrzydłach, mianowicie osobliwe, nieznośne swędzenie. Rzecz jasna, mógł to być zwiastun rychłej potrzeby depilacji uparcie odrastających piór, ewentualnie subtelna sugestia, że ostatnio naprawdę przesadziło z czekoladą i teraz ma za swoje. Albo że powinno niezwłocznie zmienić mydło. I proszek do prania. I może jeszcze, tak na wszelki wypadek, zarządzić skrupulatną przepierkę wszystkich swoich współspaczy, z wyżymaniem, dezynfekcją i dezynsekcją włącznie. A przynajmniej do takich wniosków doszedłby zapewne przeciętny zjadacz chleba, ale Licho miało już pewne doświadczenie w tej materii i wiedziało lepiej. Nie minęło pięć minut, a domysł przerodził się w niezbitą pewność, gdyż oto ze skrzydeł swędzenie rozprzestrzeniło się na całą jego cielesność, od gołych pięt aż po koniuszki celofanowych włosów. Po czym zaczęło wsiąkać coraz głębiej, aż objęło anielską duszę, umysł i serce.

Takim bowiem sposobem objawiał się u Licha donośny zew mopa.

Nie mogąc już dłużej uleżeć w miejscu przez to nieznośne swędzenie, mały anioł wygrzebał się spomiędzy królików i popiskując pod nosem „Och, alleluja”, podreptał boso do jednego ze schowków pod schodami, gdzie od miesięcy, bardziej z przyzwyczajenia niż rzeczywistej potrzeby użycia, gromadził baterię środków czystości na każdą okoliczność znaną ludzkości oraz parę nieznanych. Otworzył na oścież koślawe drzwiczki i aż przysiadł z wrażenia, wniebowzięty i upojony widokiem, który się przed nim ukazał.

W środku tłoczyły się detergenty uniwersalne i specjalistyczne, płyny, żele, pasty, mleczka, spraye, kostki, kulki, udrażniacze i odświeżacze, do tego zaś kilkanaście rodzajów szmatek, ścierek i ściereczek, szczotki i gąbki przeróżnych kształtów, rozmiarów i stopni szorstkości oraz rękawice: silikonowe, winylowe i gumowe, użytku, wedle zapotrzebowania, wielokrotnego bądź jednorazowego. Istny sezam chemii gospodarczej w nienaruszonych, ciut przykurzonych opakowaniach.

Z błyskiem ekstazy w tęczyw oczach Licho uzbroiło się po zęby i przystąpiło do dzieła, pchane wewnątrzno-zewnątrznym przymusem, jakiego już od dawna nie zaznało. Gdyby zapytać, skąd u niego tak nagła odmiana, skąd ten niepohamowany pęd ku czystości, zgodnie z prawdą odparłoby, że nie wie, ale musi, bo tak. I już. Nie zawracało sobie głowy czymś tak doskonale mu zbędnym jak powody bądź uzasadnienia, tylko realizowało potrzebę, która swędziała je nieustannie we wszystko. I była to potrzeba zupełnie inna niż wtedy, gdy z zapamiętaniem, które niebezpiecznie ocierało się o amok, szykowało pokój dla starszego kolegi po pierzu i fachu – tym razem Licho podążało bowiem za radosnym i szczerym głosem własnego serca i niczego nikomu nie próbowało udowodnić. A już zwłaszcza sobie.

Na początek niczym lokalny huragan przemknęło przez skomplikowaną konstelację wijących się przez piętro pomieszczeń i korytarzy. Kolorowa motylka w jego wprawnej ręczce przeistoczyła się w narzędzie nieuchronnej zagłady całunów z kurzu i pajęczyn. Dokonawszy wstępnego spustoszenia, bez namysłu sięgnęło po najcięższe działo w postaci odkurzacza. Żarłoczna maszyna zawyła przeciągle i złowroźnie, zadrżały roztocza i pająki, a w duszy małego anioła stróża rozległy się stosowne pienia. Chwilę później Licho, aż drząc i kichając z podekscytowania, śmigało w tę i z powrotem po korytarzu i nacierało na kolejne metry zapuszczonego chodnika wątpliwej barwy, a z każdym wciąganiem do odkurzacza kłaczkiem, paproszkiem czy farfoclem na nowo stawało się sobą i nabierało wiatru w oskubane skrzydła.

Z tego wszystkiego zupełnie nie zwróciło uwagi na wystającą ponad szczytem schodów siwiejącą głowę. Tymczasem mizerny Romańczuk patrzył i własnym oczom nie wierzył, gdyż te uparcie ukazywały mu widok od tak dawna zapomniany, że aż nierzeczywisty, niczym z cudownego snu, ale też wytęskniony w stopniu, którego Konrad dotąd sobie nie uświadamiał. I chociaż każda komórka jego ciała szlochała teraz z rozdzierającej tęsknoty za ciepłym łóżkiem, on nie ruszył się ze schodów ani na krok, tylko chłonał bijącą z zasmarkanego anioła stróża nieskrępowaną, nieopisaną radość życia i sprzątania.

Wreszcie Licho dostrzegło wystającą ponad poziomem podłogi jednoosobową widownię. W pierwszym odruchu uśmiechnęło się promiennie, by zaraz popaść w szczere zafrasowanie.

– Oj, czy ja ciebie obudziłem?... – zapytało, pospiesznie wyłączwszy odkurzacz. Zaraz się jednak połapało, że Konrad, owszem, istotnie był nie do końca przytomny, a przy tym ogólnie wymiętoszony jak ktoś, kogo przed momentem brutalnie wyrwano ze snu, za to wystawał niewłaściwie, bo ponad schodami, nie zaś ze swego pokoju, gdzie przecież zwykł sypiać. A mimo swej głębokiej naiwności Licho nie posądzało go o tak drastyczną zmianę obyczajów.

– Nie, dopiero szedłem się położyć – uspokoił Romańczuk wyraźnie przejętego anioła, po czym skupił się na własnym dysonansie. – Przepraszam, ale czy ty... czy ty sprzątasz?

– Oczywiście, alleluja! – odparło, w okamgnieniu odzyskując animusz, i potrząsnęło rurą odkurzacza na znak triumfu siły ssania nad wątlą materią kurzu.

– Aha. A... a dlaczego?... Znaczy, pojmuję ogólną ideę – uściślił czym prędzej, jako że mały anioł stróż już się obruszył i kręcił głową, z dezaprobatą szeleszcząc celofanem – bo burdel na kółkach istotnie panuje tu nieziemski, co nawet ma pewien sens, biorąc pod uwagę status ontologiczny rzeczywistości w skali endemicznej... Rany jeża, przepraszam, brak snu chyba zaczyna mi się rzucać na... na wszystko. Ale dlaczego właśnie teraz? Trochę już tu mieszkamy, a jakoś dotąd nie kwapiłeś się do gruntowniejszego sprzątania.

Licho wzruszyło skrzydełkami, a potem zmarszczyło nos w zadumie.

– Coś się zmieniło, alleluja – odparło wreszcie.

– Tak po prostu?

– Uhm, tak po prostu – przytaknęło, po czym kichnęło zdecydowanie. – Wczoraj było tak, a dziś jest już zupełnie inaczej. Wiesz, może ja nie jestem najmądrzejsze – dodało po chwili – i nie za bardzo rozumiem, co właśnie do mnie powiedziałaś, ale tak sobie myślę, alleluja, że cały świat dzieje się tak po prostu, nie oglądając się na nikogo i na nic. Nawet na status trąbologiczny w skali demonicznej.

Romańczuk odruchowo parsknął śmiechem, lecz niemal natychmiast umilkł, bo uprzytomnił sobie, że to zasmarkane, nie najmądrzejsze Licho, nie oglądając się na żadną tam wydumaną trąbologię, którą ludzie usiłovali tłumaczyć sobie wszystko i jeszcze trochę, trafiło w samo sedno.

Uznawszy, że sprawa została wyjaśniona ostatecznie i niezbcie, mały anioł

kichnął ponownie, przechylił głowę niczym mocno przerośnięta ciekawska papuga i raz jeszcze zmierzył wymiętoszonego człowieka życzliwym spojrzeniem.

– Skoro wcale nie spałeś, to gdzie cię tak pomięło?

– Ach, tak, dopiero niedawno wróciłem ze szpitala i... ale nic się nie stało!

– Zapewnił, bo na słowo „szpital” tęczowe oczy anioła o mało nie wyszły z orbit. – Nic a nic! No, znaczy mnie nic, bo Carmilli to już raczej coś, chociaż też nic, jakby się tak zastanowić, więc niby nic, ale jednak coś, czyli nic i coś jednocześnie, czyli, znaczy, takie... takie nicoś, nicoś Schrödingera...

– Ale co za nic, czyli coś, czyli i tak dalej? – wtrąciło Licho, kiedy filozoficznie i emocjonalnie zapętłony Romańczuk przerwał, żeby zaczerpnąć tchu i przy okazji odrobinę odgarnąć lawinę wspomnień z minionej nocy, która naraz zwała mu się na półprzytomną głowę.

– Nic, czyli coś, czyli dziecko. Model chłopiec.

Licho wypuściło rurę z rączki, po czym usiadło na odkurzaczu, wpatrując się w Konrada jak urzeczony.

– Nicoś Schrödingera... – powtórzyło w przerwie między kichnięciami. – Nawet ładnie, choć mnie bardziej podobałoby się Maciuś.

Konrad nawet nie musiał się zastanawiać; nie miał wątpliwości, że próby wprowadzenia Licha w świat mechaniki kwantowej mogły się dla niego zakończyć co najwyżej trwałym rozprostowaniem paru kluczowych zwojów, a i tak mało co dotarłoby do celu. Na szczęście mały anioł nie zdradzał głębszego zainteresowania eksperymentami myślowymi.

– O rany, o rany, o alleluja! – pisnął zamiast tego, ożywiwszy się niezmiernie, bo coś mu przyszło do głowy. – A jak on się wydostał?

– Wy-wy-wydostał?... – wydukał Romańczuk, któremu nagle wyłuszczenie meandrów mechaniki kwantowej wydało się jednak małym piwem w porównaniu z wprowadzaniem odpierzonego anioła stróża w tajniki porodu fizjologicznego na samicę ssaka naczelnego, osobę towarzyszącą i personel medyczny. A przecież jeszcze nie tak dawno dałby sobie dowolną rękę uciąć, że skoro przerobił już z nim temat plemników i najbliższych okolic, klucząc i wijąc się przy tym niczym piskorz, to nic gorszego spotkać go nie może, no bo jak, skąd, a przede wszystkim za jakie grzechy? – No więc... – z tymi słowami Konrad wziął wdech tak głęboki, że aż go zamroczyło na moment z nadmiaru tlenu – ...wydostał się powoli – zaczął możliwie ogólnikowo i niezobowiązująco, jednocześnie wypuszczając szkodliwe powietrze i próbując wygrzebać z lawiny coś, co zaspokoi ciekawość anioła, nie prowokując przy tym zbyt wielu pytań dotkliwie

szczegółowej natury. – Jak resztki pasty z tubki. Przez kilka godzin, za to przy rozbudowanym i dość urozmaiconym tle wokalnym. Głównie o charakterze emotywnym i niewerbalnym, ale padały też różne... wyrazy, a że Carmilla dysponuje szerokim zasobem leksykalnym, więc tych wyrazów było coraz więcej i więcej, choć z przerwami, a ja tam cały czas byłem i nigdzie nie wychodziłem, i wszystko słyszałem i widziałem, bardzo widziałem, i trzymałem za rękę, i podawałem wodę, i podpierałem plecy, i w pewnym momencie myślałem, że już nigdy nie przestanę oddychać, tylko będę tak oddychał i oddychał, i oddychał, aż w pewnym momencie rozległ się taki dziwny dźwięk, a potem wyrazy się skończyły, choć ja bym jeszcze mógł parę podsunąć, i przerwy też się skończyły, i Carmilla poszła ostro w wokalizację, a ja wreszcie przestałem oddychać i ujrzałem tunel, a w nim światło i to chyba nie był pospieszny, a potem nagle zapadła cisza i przypomniałem sobie, że tlen jest całkiem fajny, więc otworzyłem oczy i zamrugałem, i wtedy zobaczyłem u niej na brzuchu ni to łysego szczura, ni to żabę na takim śmiesznym, krótkim kablu, a Carmilla już się nie wyrażała ani nie wokalizowała, tylko się uśmiechała do tej szczurożaby, nawet nie od ucha do ucha, tylko tak jakby na okrętkę, a ta szczurożaba poruszyła się i kwęknęła, i nagle... – Konrad wreszcie postanowił nabrać tchu – ...i nagle wszystko było już zupełnie inaczej.

Licho dotąd słuchało tego strumienia ograniczonej świadomości z rozdziawionymi ustami, przycupnięte na odkurzaczu. A teraz przymknęło buzię z cichym kłapnięciem i uśmiechnęło się, mrużąc nieco oczyska.

– Tak po prostu? – zapytało z całą diaboliczną chytrą, na jaką tylko potrafiło się zdobyć, a objawiającą się głównie lekkim zezem typowym dla kociąt z cikliwych pocztówek.

Romańczuk, któremu po tak długiej przerwie kolejna szokowa dawka tlenu uderzyła do głowy, potrzebował chwili, by najpierw zrozumieć, co dokładnie miał na myśli nie najmądrzejszy mały anioł, a potem docenić ogrom jego chytrą.

– Tak – odparł wreszcie, szczerze odwzajemniając uśmiech, choć już bez zez, po czym pogłaskał anioła po celofanowej czuprynie. – Masz rację, tak po prostu. A teraz chyba tak po prostu pójdę w końcu spać, zanim znów zobaczę światło na końcu tunelu.

Po tych słowach powlókł się do swojego pokoju, a Licho, pomachawszy mu wesoło na pożegnanie, wróciło do bezpardonowej, acz chwilowo nieco cichszej walki z ogólnym rozgardiaszem, który ośmielił się załęgnać pod tym samym dachem co ono. Cichszej, trzeba zaznaczyć, wyłącznie zewnątrz,



gdyż albowiem w głębi duszy napawało się godnym bez mała Wagnera, monumentalnym *opus magnum* na ogłuszające trąby i chóralne pienia anielskie, przy którym *Cwał walkirii* zasługiwał co najwyżej na miano subtelnej pieszczoty dla niewprawnego ucha.

Bo w przeciwieństwie do Konrada Licho doskonale rozumiało, jakąż to demoniczna trąbologia znów pchnęła je w objęcia odkurzacza i mopa.

\*\*\*

Trzy dni później cały dom, od strychu aż po piwnicę, lśnił tak, że każdy szanujący się pies ze wstydem podwinąłby ogon. Nawet Tsadkiel, który pomалу zaczął wracać na łono życia domowego i szukał jakiegoś zajęcia zarówno dla ciała, jak i umysłu, nie miał się do czego przyczepić – co nie znaczy, że nie próbował. Niestety, ku jego rozczarowaniu Licho na dobre wróciło do dawnej formy i ani myślało dawać starszemu koledze choćby najmniejszy pretekst do marudzenia.

Wczesnym popołudniem przyszało się do jednego z wypucowanych okien na parterze, skąd miało najlepszy widok na bramę wjazdową i podwórko. Nie po to jednak, by napawać się scenerią w klimatach zimowej idylli, z łagodnymi krzywiznami zasp otulających dom, chmurami malowniczo skłębionymi na niebie oraz śniegiem znów prószącym niezobowiązująco w tempie, które aż się prosiło o dyskretny akompaniament dzwoneczków. Licho jednakże miało i tę idyllę, i tę malowniczość, i nawet te dzwoneczki głęboko w zasmarkanym nosie. Teraz łaknęło wyłącznie kanciastego tico... no i może pierniczka. Albo najlepiej dwóch. I może paczki ciągnących się krówek.

Minuty mijały, a Licho cierpliwie trwało w oknie, za towarzystwo mając raz po raz wstrząsanego dreszczami yorka. Przyczyn owego wzmożonego dygotu, przez który już raz zleciał z piskiem z parapetu, uzbierało się tego dnia więcej niż zazwyczaj. Oprócz wrodzonej swej rasie skłonności do drżenia przy każdym wdechu, wydechu, uderzeniu serca bądź ruchu robaczkowym dowolnego odcinka jelit york dygotał również z zimna, jako że odrodzone Licho się nie patyczkowało i w ramach odgruzowywania wszystkiego zarządziło także bezzwłoczne strzyżenie nadmiarowych psich kudłów, które dotychczas mile grzały pół psa w powierzchowność. Nie obyło się przy tym bez dynamicznej i dramatycznej sceny pościgu. York miał bowiem w kwestii zabiegów fryzjerskich nieco inne zdanie niż anioł, anioł miał wsparcie dziewięciu różowych królików, te zaś miążdzącą przewagę

liczebną oraz niepokojącą ochotę na polowanie z nagonką. Koniec końców półnagie pół psa ruszyło w swoją stronę, kołtun zaś w swoją, niczym myśliwskie trofeum porwany przez różową watahę w celach niechybnie haniebnych. Przede wszystkim jednak, o czym mało kto myślał, yorkiem telepało na skutek rozsadzającej jego chucherkowate ciało niewyobrażalnej tęsknoty za panią, którą w samym środku nocy uwiózł był w nieznanym kierunku ten potwór, ten barbarzyńca, ten drań, nędznik i łachmyta Konrad Romańczuk.

Licho czekało więc, a pół psa dygotało jak wściekłe, balansując na skraju parapetu. Aż nagle i jedno, i drugie stworzenie wydało z siebie przenikliwy pisk, gdyż oto skrzydło bramy drgnęło i w końcu przed dom zajechał poobijany, kanciasty samochodzik, z którego po chwili zaczęli gramolić się pasażerowie.

W ułamku sekundy na parterze zapanował zgiełk nie do opisanego. Świdrujący jazgot, w zamiśle zdolny kruszyć skały, w praktyce spotkał się z absolutną obojętnością ze strony frontowych drzwi, pod którymi kłębiło się teraz pół psa, za to skutecznie przyciągnął pozostałych mieszkańców, a każdy z nich uznał za stosowne wydawać własne odgłosy. York zatem jazgotał, Turu chichotał, Licho kichało, Zmora pomiaukiwała, Tsadkiel, niczym koryfeusz, fukał pospołu z króliczym chórem, utopiec zaś kapał ostentacyjnie na wiekowy parkiet.

Po czym cała ta zgraja umilkła nad wyraz przykładowo i zgodnie, kiedy w progu stanęli Konrad i Carmilla, taszcząc tobołek w osobliwym nosidle.

Tobołek zafurczał.

York pisnął i popuścił z wrażenia.

Jako pierwsze w końcu odkamieniało Licho. Bezszelestnie, w niezawodnych bamboszkach, podeszło bliżej nosidla i ostrożnie zapuściło żurawia, jak gdyby w obawie, że coś je dziabnie bez uprzedzenia. Ale nie. Zamiast macek bądź innych przejawów złowrogiej abominacji ujrzało dwoje zwyczajnych, zaspanych oczu, zerkających półświatem na świat spomiędzy opuchniętych powiek, oraz kartofelkowaty nosek nienachalnych rozmiarów.

Carmilla rozpięła pasy nosidla i zaczęła pomału wydłubywać resztę zawartości tobołka spomiędzy spowijających ją warstw zimowej odzieży. Kaptur odstąpił czapkę, czapka zaś... cóż, kolejną czapkę, tylko cieńszą, w zielone żabki. Spod kombinezonu pomału wyłaniało się coś, co kształtem przypominało istotę mniej więcej ludzką.

– I co? – Ciszę przerwał zgrzytliwy głos utopca.

– Dziecko – odparło Licho zgodnie ze stanem faktycznym.

Jak gdyby tylko czekali na ten sygnał, pozostałe towarzystwo odzyskało władzę w kończynach i okrążyło nosidło. Różowe króliki stanęły słupka, by lepiej widzieć. Pół psa o mało nie zeszło na zawał, gdy oparłszy się przednimi łapami o skraj nosidła, nieoczekiwanie nim zakołysało. Utopiec przechylił głowę i skrzywił się wyjątkowo paskudnie, nawet jak na niego.

– Jesteście pewni, że to nie utopiec? – zapytał z powątpiewaniem. – Bo nawet podobny.

– Człowiek, człowiek – wysapał uspokajająco Romańczuk, który zdążył w tym czasie skoczyć raz jeszcze do samochodu i wrócić, dźwigając mieszczącą pół świata torbę Carmilli. – Tylko w fazie poczwarki.

Utopiec wcale nie wyglądał na przekonanego.

– Jakiś taki opuchnięty. I strasznie pomarszczony.

– Bo się długo namaczał.

– No właśnie!

– A jak ma na imię? – Turu uznał za stosowne zepchnąć rozmowę na bardziej neutralny grunt, gdzie nikomu nie groziła dalekosiężna erupcja srogiego gniewu świeżo upieczonej matki na hormonalno-adrenalinowym haju, przy którym szal berserka wydawał się w najlepszym razie stanem lekkiego rozdrażnienia.

– Och, ja wiem, ja wiem, alleluja! To jest Nicoś Schrödingera!

Jak na komendę wszyscy spojrzeli najpierw na małego anioła, a potem, z jakiegoś powodu, bez wahania na Konrada Romańczuka, który od razu oblał się rumieńcem i odchrząknął.

– No więc... no więc Licho pytało mnie o poród i jakoś tak... samo wyszło...

– Wiesz, Konradeńku, twój umysł pomyka fascynującymi ścieżkami.

– Owszem. Możliwe nawet, że ostatnio zgubił się gdzieś po drodze.

Carmilla tymczasem wysupłała dziecko z ostatnich warstw wierzchnich i zaprezentowała domownikom.

– To nie jest żaden Nicoś – rzekła z mieszaniną dumy, lęku i niedowierzania – tylko Bożydar Antoni.

– Bożydar? – powtórzył utopiec. – Bożydar Jekiełek? To dziecko niechciane czy jak?

Obydwaj mężczyźni jęknęli solidarnie i czym prędzej odesłali naindyczonego utopca z powrotem do wanny. Na szczęście Carmilla była całkowicie skupiona na Lichu, które zdążyło się wstępnie oswoić z Bożydarem Antonim i coraz śmieiej kontemplowało jego osobę, głównie poprzez zadawanie mnóstwa pytań. Upewniwszy się dwukrotnie, że dzieci, na

przekór gramatyce i w przeciwieństwie do niektórych aniołów, płęć zdecydowanie posiadały i raczej nie zwykły jej regularnie zmieniać, więc owszem, można było przyjąć, że Bożydar Bożydarem pozostanie, zaczęło od podstawowych parametrów życiowych, po czym przeszło do równie życiowych konkretów.

- A gdzie on ma buciki?
- Jeszcze nie potrafi chodzić, więc nie potrzebuje bucików.
- A czemu on ma czapkę?
- Żeby nie marzył w głowę, bo jeszcze nie ma włosów.
- A gdzie on ma włosy?
- Jeszcze mu nie wyrosły.
- A zęby?
- Też nie.
- A czy on lubi kakałko?
- Jeszcze jest za mały na kakao.
- A na sernik?
- Na sernik też.
- A na pączki?
- Też.
- A na grzanki z masłem i miodem?
- Też.
- Bez miodu?...

Carmilla pokręciła głową.

– No to czym my będziemy go karmić? – drążyło Licho, równie zdumione, co niestrudzone w swych dociekaniach.

Różowe króliki zdążyły się już znudzić tym niekończącym się przesłuchaniem i wróciły do własnych spraw, podobnie jak Zmora i Tsadkiel, który wyraźnie podupadł na duchu, bo nie tylko nie zdołał wtrącić, ale nawet wymyślić choćby jednego komentarza. W korytarzu przed frontowymi drzwiami zostało już tylko trzy i pół człowieka, pół psa oraz cały anioł.

- Piersią.
- Kurzą czy indyczą?
- Moją.

– Och... och, alleluja! – Wstrząśnięte i zmieszane tym odkryciem Licho zamilkło na dobrych parę sekund. Aż w końcu zebrało się na odwagę i wyrzuciło z siebie pytanie najważniejsze z ważnych, które kołatało się po jego duszy, odkąd tego ranka usłyszało od Konrada, że Carmilla i jej dziecko wychodzą ze szpitala: – A czy... a czy ja mogłoby go potrzymać?

Carmilla zerknęła niepewnie na Konrada i Tura, którzy stali kawałek za Lichem i przysłuchiwali się ich rozmowie. Obydwaj bez wahania skinęli głowami, uśmiechając się przy tym zachęcająco, by dodać jej odwagi. Chwilę później nastąpiło zwolnienie kurczowego matczynego uścisku i przekazanie tobołka.

Mały anioł stróż spojrział na małego człowieka.

Mały człowiek spojrział na małego anioła stróża.

Po czym wpakował w małą pieluchę już nie taką małą zawartość.

Tak po prostu.

## Rozdział 15

Pierwsze tygodnie stałego pobytu Bożydara Antoniego Jekiellka na tym łoż padole układały się w pasmo ogólnej szczęśliwości. Najsampierw domownicy litościwie przemianowali go na Niebożątko, uznawszy jednomyślnie, że ten przydomek znacznie lepiej odpowiadał kluskowatej osobie. Nawet niski stopień interakcji dziecka nie odstręczał ich od pielgrzymek do jego wezgłowa, skąd przyjąwszy wyraz twarzy wniebowzięty i durnowaty, mogli z atawistycznym zachwytem obserwować, jak kwiliło i postękiwało, wszere i wzdłuż niepostrzeżenie obrastając w jestestwo.

Dla miłego urozmaicenia i podtrzymania ducha w stanie gotowości bojowej owa panująca wśród domowników szczęśliwość, niczym złotogłów złotą nicią, przetykana była incydentalnymi atakami bogatej w konsekwencje, efektownej hysterii.

Pierwszy, w solowym wykonaniu Romańczuka, miał miejsce na wyjeździe, za ledwie dobę po tym, jak wzmiankowane Niebożątko stało się faktem teraźniejszym dokonany. Odespawszy raczej mniej niż więcej zaległości z ostatnich kilku dni, Konrad ocknął się nagle, dźgnięty w budzącą się świadomość myślą z gatunku panicznych, osobliwą, bo dotąd całkowicie mu obcą. Nie zaprzestając dźgania, myśl ta zagnała go następnie do chwilowo wyludnionego pokoju na parterze. Wystarczył jeden pobieżny rzut oka, by zyskały potwierdzenie wszystkie jego najgorsze przypuszczenia. Pamięć go nie myliła – Carmilla zawitała w ich progi z yorkiem w garści i całym życiem upchniętym do poobijanego laptopa i pojedynczej walizki, którą wiking ledwo wywlókł z bagażnika matyza. Sęk w tym, że było to życie niemal wyłącznie przeszłe. Przyszłość ze współdziałaniem Niebożątka musiała się zadowolić tymi kilkoma pajacykami, kocykiem i rożkiem, które powędrowały razem z Carmillą do szpitala.

Odbywwszy pospieszne konsultacje z Turem Brząszczykiem, Konrad, popędzany poczuciem misji lepiej niż batogiem, w kwadrans upodobnił się do człowieka, acz z umiarkowanym sukcesem, w biegu wyparzył sobie przelyk wrzątkiem o posmaku kawy, odkopał tico spod zaspy i ze skrzypieniem opon na ubitym śniegu ruszył w te pędy do Tesco.

Musiał kupić wszystko.

I jeszcze trochę na zapas.

Zaczął się tradycyjnie – odruch bezwarunkowy wkroczył do akcji i bez niespodzianek czy zbędnych ceregieli zrobił swoje. Wrota Tesco rozstały się potulnie niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem, zewsząd spłynęła światłość wiekuista wespół z błogimi pieniami oraz sielskim brzdękaniem i plumkaniem, które ukoili ciało, duszę i portfel. Z każdym przebytym metrem odzyskując wewnętrzny spokój, Konrad podążył prosto do tej najmniej mu znanej alejki ze specjalistycznym osprzętem do obsługi niemowlęcia i tam utknął na godzinę z solidnym okładem. Przez ten czas niejedną raz pożałował, że nie zabrał ze sobą wsparcia w postaci Tsadkiela i jego pedanterii. Wybór musztardy idealnej bądź jednego rodzaju makaronu do pomidorowej okazał się bowiem błahostką w porównaniu z pieluchami godnymi nieletniego zadka, a te dopiero otwierały długą listę rzeczy absolutnie niezbędnych każdemu nowemu obywatelowi świata.

Histeria cierpliwie czekała na niego przy kasie, czając się za plecami znajomego ochroniarza. Ten od razu poznał Romańczuka, który z wysiłkiem manewrował sklepowym wózkiem, zgięty wpół i ledwo widoczny zza sterty wszystkiego – z zapasem, okładem i żelazną rezerwą na wypadek wojny bądź dwóch. Wszystko, sterczące na lewo, prawo i ukos, zwieńczone było odwróconą do góry dnem plastikową wanienką zdolną pomieścić małego słońca.

Podczas gdy przez następne dwa kwadransy obydwaj młodzi ojcowie – ten z krwi oraz ten z przypadku – debatowali nad zawartością koszyka, szacując pospiesznie dobowe zużycie pieluch i mokrych chusteczek na osobosiuśmajtkę, kasa samoobsługowa, pikając jak dzika, szła na rekord sprzedaży, by na koniec wypluć ze swych trzewi długaśny paragon. Na widok sumy Romańczukowi w pierwszej chwili zmiękły kolana. Szybko jednak wziął się w garść.

– Cóż – rzekł, zgodnie z zasadą „co z oczu, to z serca” chowając czym prędzej paragon grozy do portfela – myślałem, że będzie gorzej...

– No bo będzie – rzucił ochroniarz bezbarwnym głosem, zapatrzony w piętrzącą się przed nimi stertę dóbr podstawowych.

Konrad podążył za otępiałym spojrzeniem mężczyzny i doznał głębokiego dysonansu między tym, co widział na własne oczy, a tym, co czuł na własną duszę.

– Nie no, co pan?... Przecież ja tu pół sklepu wykupiłem! Wszystko mam! Wanienska, myjka, pieluchy, chusteczki mokre, chusteczki suche, szpatułki, waciki, płyn ileś tam w jednym, trzy rodzaje kremu, zasyпка, oliwka, obcinacz do paznokci, termometr kąpielowy, płyn do prania, płyn do

płukania, płyn do...

– Panie, przecież to jest dopiero gra wstępna – przerwał mu ochroniarz z ciężkim westchnieniem. – Drugi raz to przerabiam. Takie głaskanie po główce, dla niepoznaki, a potem bum! Fanga prosto w nos. Dolicz pan sobie do tego fotelik samochodowy, wózek głęboki, wózek spacerowy, futerał do wózka, nie, wróć, nie futerał, tylko ten, no, śpiworek, no bo zima, wiadomo, więc do tego jeszcze ocieplany kombinezon, poza tym łóżeczko...

– Łóżeczko to już kolega dzierga – wtrącił prędko Konrad, jak gdyby ta informacja mogła go uchronić przed ciągiem dalszym, na który niechybnie się zanosilo. – Znaczy, ciosa. Znaczy, ciosa, żeby potem wydziergać. Bo on taki mocno uzdolniony w temacie drewna. Pewnie będzie w aniołki... w sensie, że łóżeczko, nie że kolega.

– No to do tych aniołków potrzebny jest jeszcze materac, ze trzy prześcieradła, miękki ochraniacz na szczebelki i przynajmniej dwa nieprzemakalne podkłady, jak się młode zafajda po pachy albo bardziej i wcale nie przesadzam, bo niejedno już własnym egzemplarzom zza uszu wyskrobywałem. Poza tym przewijak, kojec, nosidło, chusta, leżaczek... Dom czy mieszkanie?

Coraz bardziej przytłoczony Konrad w okamgnieniu przybrał barwę trupio bladą i poczuł załazek łupania gdzieś w głębi czaszki.

– Mam kupić mieszkanie?...

– Nie no, gdzie – zachnął się ochroniarz. – To dopiero później, po samochodzie. A teraz pytam, czy pan masz dom, czy mieszkanie?

– D-d-dom.

– No to dochodzi jeszcze elektroniczna niańka, żebyś pan wszędzie słyszał, jak toto drze paszczę, bo drzeć będzie, a im dłużej drze, tym bardziej, no i jeszcze nebulizator, termometr bezdotykowy, nawilżacz powietrza, najlepiej od razu taki z jonizatorem, tłumacz płaczu...

– Przepraszam, co takiego? Tłumacz...?

– Płaczu – dokończył ochroniarz. – Dzieciak panu beczy, a to ustrojstwo przekłada ten bek na bardziej ludzki komunikat. Jeść, spać, mokro, mama, jeść, spać, mokro, mama i tak w koło Macieju.

– I co, sprawdza się? – zapytał Konrad z naiwną wiarą w najnowsze zdobycze cywilizacji.

– Ni cholery – skwitował mężczyzna bezlitośnie. – Pic na wodę za ciężkie pieniądze. Ale wierz mi pan, nie na takie rzeczy człowiek się szarpnie, jak mu się dzieciak drze ciągiem przez całą dobę, że idzie z nim już tylko szalu dostać. Co tam jeszcze... Aha, witaminy, probiotyki, kolejne dawki kolejnych



szczepień na kolejne choróbka i średnio co trzy miesiące wymiana wszystkich ciuchów, bo te pędraki rosną szybciej niż dług, za przeproszeniem, publiczny. A potem... – ochroniarz wziął głęboki oddech – ...potem zaczną się gadzety.

– Gadzety? Jakie znowu gadzety?

– Jeśli wierzyć mojej żonie, szwagierce i trzem znajomym mamom z piaskownicy, to niezbędne dla przetrwania ludzkości. Maty, grzechotki, gryzaki, karuzele, kłocuszki, sortery, projektory, pchacze, chodziki, jeździdła, interaktywne nocniczki, stoliczki, co do jednego grające, żrące baterie jak mała kit i edukacyjne do urzygu. A to wszystko przecież dla dziecka, na dziecku się nie oszczędza, co to za ojciec, co dziecku żałuje, nie? Więc pan będziesz co krok wyskakiwał z kasy i jeszcze cieszył się jak durny, że nikt nie wpadł na to, by kupić temu dziecku zwykły bębenek i cymbałki...

Więcej nie musiał mówić. Wstrząśnięty paragonem, ogłuszony bębenkiem i dobity cymbałkami Konrad Romańczuk na oczach ludzi i monitoringu osunął się prosto w szeroko rozpostarte ramiona hysterii.

\*\*\*

Atak drugi nastąpił zaledwie dwa dni po tym, jak Carmilla i Niebożatko opuścili szpital i zagnieździli się wspólnie z yorkiem w pokoju na parterze, gdzie centralne miejsce zajmowała teraz wyciosana i wydziergana przez Tura słusznych rozmiarów kołyska na szerokich płozach. Na jej płaskorzeźbionym wezłowiu, zamiast klasycznych zezowatych aniołków czy misiów z zaawansowaną otyłością brzuszna, wiło się i kłębiło pół nordyckiego bestiarius w postaci smoków, węży i innych fantastycznych stworzeń. Całości strzegł trójwymiarowy smoczy łeb z szeroko rozwartą paszczą, z której sterczały zębiska i rozdwojony gadzi język.

– Co prawda nie zdążyliśmy omówić szczegółów, ale ja chyba prosiłem, żebyś zrobił zwykłe, proste łóżeczko, a nie miniaturowy drakkar w wersji na bogato? – zwrócił się do Tura osłupiały Romańczuk, gdy po raz pierwszy ujrzał tę drewnianą landarę.

Szok estetyczny swoją drogą; przede wszystkim, mimo szczerych starań, nie potrafił pojąć, jakim cudem Brząszczyk wyrobił się z taką robotą, mając do dyspozycji raptem dwie doby i tyleż samo rąk. W zasadzie wystarczyło tylko dosztukować maszt z żaglem, ster i kilka wiosł, a potem można już było kołyskę zwodować i bez żadnych obaw planować morską wyprawę w nieznane.

Brząszczyk wzruszył ramionami.

– A, bo wiesz, jak się człowiek spieszy, to mu się zawsze ręka raz czy dwa omsknie.

– Raz czy dwa, powiadasz?

– No, może ze dwadzieścia...

– Wiesz co, Turu... – Konrad życzliwie poklepał wikinga po plecach. – Może lepiej nie bierz się do krzeselka do karmienia, co? Bo czego jak czego, ale sali tronowej z prawdziwego zdarzenia to my tu raczej nie wygospodarujemy.

Carmilla jak gdyby nigdy nic ułożyła Niebożątka w imponującej kołysce, nie dawszy po sobie poznać przelotnego zesztywnienia. Gdyż dopiero na widok tego dzieła sztuki meblarsko-szkutniczej dotarło do niej, że mogła zapomnieć o paru istotnych drobiazgach. Tak bardzo skupiła się na maskowaniu wewnętrznego zmieszania, że nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń do nieortodoksyjnych zdobień. Także Niebożątka było doskonale wszystko jedno, gdzie spocznie. Za to york ledwo wyrobił na zakręcie, z ogłuszającym jazgotem pierzchając przed smoczym łbem. Pół psa odnalazło się po kilku godzinach pod obluzowanym stopniem gdzieś między piętrem a strychem, wciąż drżące jak galareta.

Nadal nie była to jednak histeria właściwa, która dopiero miała się rozpętać w tym domu jeszcze tego samego dnia, wczesnym wieczorem, poprzedzona stosownym preludium.

W szpitalu Carmilla poprzestała na podziwianiu, zwykle z bezpiecznej odległości, znamionującej wielką wprawę swobody, z jaką położne zonglowały pod kranem kolejnymi noworodkami. Jednak po powrocie do domu siłą rzeczy sama musiała ogarnąć ablucje jaśnie potomka. Zbliżyła się szósta, kiedy postanowiła wziąć w końcu byka za rogi. Przystąpiła do dzieła metodycznie, aby o niczym nie zapomnieć, a przy okazji zyskać czas na uspokojenie drżących nieco rąk. Najpierw za pomocą starej farelki nagrzała w łazience na parterze tak, że wszyscy szatani błagaliby ją o zmiłowanie. Trzykrotnie wyparzywszy wanienkę, napełniła ją, precyzyjnie ustalając odpowiednią temperaturę i poziom wody oraz rekomendowaną dawkę płynu do kąpieli. Na koniec rozstawiła w zasięgu ręki mrowie kremów, zasypek i innych akcesoriów, które nazwoził Konrad, po czym udała się po Niebożątka.

Tyle że smocza kołyska była pusta.

W tej samej chwili tuż za plecami skamieniałej wskutek zaskoczenia Carmilli objawiło się Licho, zwabione na parter upajającą wonią gorącej

wody z dodatkiem niemowlęcych kosmetyków.

– Przybyłam ze wsparciem! – oznajmiło gotowe do asysty i na dowód zapiszczało niebieskim, gumowym dinozaurem, którego przyniosło.

Słyszając za sobą radosny głosik, Carmilla odwróciła się i spojrzała czujnie na tego dziwnego, małego dzieciaka w celofanowej peruce. Ten odpowiedział promiennym uśmiechem jak gdyby nigdy nic, jak gdyby wszystko było w najlepszym porządku, a przecież nie było! Najwyraźniej nie mógł się wprost doczekać tej kąpeli – nie to co ona, pełna obaw, że sobie nie poradzi, że coś popsuje, że pomyli oliwkę z szamponem albo szampon z oliwką, że woda okaże się za ciepła albo za zimna, albo za mokra, albo za śliska, bo przecież ona nic nie wie, nie potrafi i ręk ma stanowczo za mało, i w ogóle nie ogarnia tego całego matką bycia, inaczej pamiętałaby o wszystkim, a już na pewno nie stresowałaby się czymś tak zwykłym jak kąpiel, do jasnej cholery, więc... więc kto wie? Może ten podstępny pokurcz w bamboszach zakradł się tutaj, kiedy ona, w pocie czoła i na kolanach, szorowała wanienkę? Może wziął Niebożątka z kołyski i... nie, nie wziął – porwał wręcz! Porwał, wykradł i uprowadził! A potem zaniósł je do jakiejś zimnej, brudnej łazienki gdzieś w czeluściach tego upiornego domu i tam zostawił, bez pomysłu, bez wyobraźni i bez serca, na pastwę śmiercionośnych zarazków, które w tej właśnie chwili kolonizowały niewinny, bezbronny, ledwo kilkudniowy organizm?!...

Licho zamrugało, szczerze zdumione tym, co działo się z twarzą stojącej przed nim kobiety. A potem zerknęło do kołyski. Zdążyło jeszcze zmarszczyć brwi, kiedy nagle blizna przecinająca jego anielski pośladek odezwała się nieznośnym swędzeniem o charakterze wyraźnie wieszczącym, i to wieszczącym jak najgorzej, po czym Carmilla zaczerpnęła głęboko powietrza i wydała z siebie mrozący krew w żyłach wrzask.

Domownicy zlecieli się jak do pożaru, by jeszcze szybciej zbaranieć w drzwiach pokoju. Carmilla dyszała spazmatycznie, z wytrzeszczonymi oczyma trzymając się oburącz za głowę, rozdarta między paniką a furją, a Licho wpatrywało się w nią jak urzeczony i zawzięcie drapało po pośladku, raz po raz popiskując nerwowo gumowym dinozaurem. Ani jedno, ani drugie nie reagowało na konwencjonalne próby nawiązania łączności ze strony świata zewnętrznego. Napięcia jako pierwszy nie wytrzymał Romańczuk.

– CO SIĘ STAŁO?! – wydarł się, potrząsając Carmillą.

Odpowiednie trybiki najwyraźniej wskoczyły dzięki temu z powrotem na swoje miejsce, bo spojrzała na niego przytomniej.

– N-n-nie ma! – wydusiła. – Nie ma! NIE MA!!!

– Czego nie ma?!

– Dziecka!!!

Słyszając to, Konrad wstrzymał oddech i zmartwiał, za to wiking wprost przeciwnie. Jednym susem znalazł się przy kołysce – i na krótką chwilę zawisł nad nią, uczepony bakburty niczym gargulec kamiennego parapetu, z włosiem rozwianym i gębą zastygłą w nieszczęśliwie twarzowym grymasie. Aż wreszcie odżył i zanurkował bez słowa między węże, smoki i inne patafiany, a gdy znów wyprostował się nad kołyską, trzymał w objęciach ciamkające rozkosznie, zaspane Niebożątko.

Konrad puścił Carmillę.

Carmilla puściła głowę.

– Ale... ale przecież... przecież nie było... – wykrztusiła, wpatrując się w ziewającą błogo paszczę pierworodnego. – N-n-nie było, jeszcze przed chwilą go tam nie było! Naprawdę! Przysięgam!!!

Konrad, Turu i Tsadkiel spojrzeli po sobie niepewnie, a potem odwrócili się do Licha.

– Samo widziałom! – przytaknęło gorliwie, nie przestając się drapać po pośladku. – Na własne oczy! – dodało i dla dobitniejszego podkreślenia swych słów zaprezentowało zamasyście, które dokładnie oczy miało na myśli. Gumowy dinozaur, ujrzany nagle z bardzo bliska, przypieczętował anielskie zapewnienia stanowczym piśnięciem.

– Eee... Kon... Konradeńku?...

Krzepkie ręce Brząszczyka, choć wciąż ułożone w kołyskę, jak gdyby piastowały niemowlę, teraz były puste.

Puściuteńkie.

– Zgubiłeś!

– Zepsułeś!

– Doprawdy, alleluja!

– CICHOTAM! – odryknął Turu przejmującym szeptem, od którego Licho, ze swędzącym pośladkiem i zażawionym okiem, do kompletu o mało nie udławiło się własnym kichnięciem. – Ja je czuję. Ja je cały czas czuję!!!

I wtedy rozległo się ciche stęknięcie, po czym tam, gdzie jeszcze przed momentem, przed sekundą, zebrani nie widzieli absolutnie nic, Brząszczyk zaś wyraźnie czuł coś, jak spod ziemi wyrosło Niebożątko. Całe, zdrowe i wyraźnie niezadowolone, że znowu je budzą.

– Zasnęło. I znikło. – Zaprawiony w bojach z absurdem umysł Konrada Romańczuka nie potrzebował potrzęsania, żeby dodać dwa do dwóch. – No tak. Czyli już wiemy, że jedno na pewno ma po tatusiu.

– Co takiego? – zainteresował się Turu mimo dogłębnego szoku.

– Zmienny stan skupienia.

– Och, alleluja! – sapnęło Licho, bo i ono szybko wykonało niezbędne działania, uzyskując ten sam wynik.

– A ty wcześniej nic nie zauważyłaś? – zwrócił się Konrad do Carmilli, która uznała tymczasem, że dalsza walka z grawitacją stanowczo przerasta jej możliwości, i opadła na wersalkę. – Jeszcze w szpitalu? Albo już tu, w domu?

– Czego nie zauważyłam?...

– Że ci dziecko tak jakby znika, kiedy zasypia? Robi się z lekka, no wiesz... niewidzialne?

Za odpowiedź wystarczyło mu bezdenne otępienie, jakie wespół z przerażeniem malowało się teraz na woskowym obliczu Carmilli. Dotąd z powodzeniem radziła sobie z niewygodnymi elementami rzeczywistości metodą konsekwentnego ich ignorowania, lecz tym razem nic nie chciało zadziałać, jak należy. Bo co innego patrzeć na najprawdziwsze skrzydła najprawdziwszego anioła i ich nie dostrzegać, z zasady i z rozpędu, a co innego na własne dziecko, jak znika, naprawdę znika, by zaraz znów się pojawić.

– A-a-ale jak to? – jęknęła. Ostatni, najostatniejszy raz rozpaczliwie uczepliła się tych mizerych resztek racjonalizmu, które właśnie w niej dogorywały z cichuteńkim skowytem. – Jak to: znika? Jak znika, czemu znika, gdzie znika!? Przecież ludzie tak po prostu nie znikają!!!

– No nie, ludzie akurat nie – przyznał Romańczuk dyplomatycznie, żeby stopniować wstrząs, który niechybnie zaraz ją czekał. – Popatrz no, i Szczęsny, i Niebożatko jakoś tę sztukę opanowali... – dodał, kręcąc głową. A potem mógł już tylko patrzeć, jak wyjaśnienie, któremu nijak nie szło dłużej zaprzeczać, przedzierało się mozolnie do świadomości Carmilli, o czym niezbitnie świadczyły jej coraz większe i większe szkliste oczy.

– W-w-więc t-t-t-o... – Drżącą ręką wskazała na małe Licho o celofanowych włosach. Uśmiechnęło się do niej pocieszająco mimo zapuchniętego, łzawiącego oka.

– To jest anioł. Stuprocentowy i autentyczny – usłużnie podsunął Konrad, tak na wszelki wypadek siadając tuż obok na wersalce i uspokajającym gestem kładąc dłoń na tej dłoni Carmilli, która akurat nie była zajęta wędrowaniem od jednego przedstawiciela niebios do drugiego.

– I t-t-tooo... – Carmilla wskazała na niewzruszonego, złocisto-ametystowego Tsadkiela.

– Tak, to też jest anioł – potwierdził spokojnie Romańczuk. – Konkretnie

anioł stróż. Za nim stoi utopiec, na strychu mieszkają zaś trzy miłe widma niemieckich szeregowców z czasów drugiej wojny światowej. A ty, Kamillo Bożeno Jekiełek, dziewięć miesięcy temu nieopatrznie zmajstrowałaś sobie tego oto potomka z chwilowo dość konkretnie ucieleśnionym widmem dziewiętnastowiecznego poety z tendencją do pilatesu, znikania i romantyzmu.

I cóż było począć? Po tych słowach histeria mogła już tylko zakasać rękawy i z werwą rozpocząć prezentację swych możliwości. A siła niższa rozsiadła się w pierwszym rzędzie i wtrącając popcorn, szlochała ze szczęścia.

## Rozdział 16

Z trzecim, kulminacyjnym występem histeria wcale się nie spieszyła. Wprost przeciwnie. Zamiast od razu pójść za ciosem i dobić swe ofiary, uśpiła ich czujność i przez następne tygodnie narastała sobie po cichutku, nabrzmiwała cierpliwie konsekwencjami.

W międzyczasie na świat, wraz z pierwszymi cieplejszymi promieniami słońca, spłynęło przedwiośnie. Potoki wody na powrót wydobywały spod dotychczasowej bieli śniegu częściowo już zapomnianą szarżyznę chodników, ulic i budynków. Rozbudzone i pobudzone ptaszęta rozpoczęły regularne bombardowania ludności cywilnej, która przemykała zakosami przez rozległe rozlewiska kałuż, a miejskie trawniki rozkwitały doskonale zakonserwowanymi mrozem pamiątkami minionych miesięcy. Dzień za dniem świat stawał się coraz bardziej interaktywny, niejednokrotnie w stopniu wręcz narzucającym się.

Przez ten czas Niebożątko intensywnie pracowało nad masą i kompetencjami społecznymi, w czym z zapałem sekundowało mu Licho, zapatrzone w niemowlaka jak w obraz. I choć mówiło do tego obrazu, a obraz do niego ani razu, to i tak nie miało choćby cienia wątpliwości, że jego afekt nie trafiał w próżnię. Mały człowiek w pieluchach z małym aniołem w bamboszach byli niczym zlepione dżemem dwie połówki tego samego, niemiłosiernie słodkiego pączka, w gruncie rzeczy tak samo pogodni i ufni, ale też całkowicie bezbronni wobec rzeczywistości, której nijak nie ogarniali rozumem.

Co innego miotłą i mopem – bo akurat z tą metodą ogarniania Licho znów radziło sobie tak, że klękajcie narody.

Albowiem dom lśnił. Od piwnicy aż po strych lśnił tak, że mucha nie siadała, o pająkach nie wspominając, a i Niemcy czuli się momentami jacyś tacy onieśmieleni, Turu Brząszczyk stracił zaś dotychczasowy punkt odniesienia, oddający glanc w jego mniemaniu idealny. Wrodzoną Lichu namiętność do sprzątanía dodatkowo podsyciała obecność Niebożątka, w anielskich oczach wymagająca bezwzględnie takiego poziomu czystości, przy którym można było jeść z dowolnej powierzchni w dowolnym pomieszczeniu. Konrad ledwo wyperswadował mu zakup profesjonalnej cykliniarki oraz wysokoobrotowej froterki do podłóg i posadzek, tłumacząc,

że budżet domowy mógłby takiego wydatku nie udźwignąć, a co dopiero zabytkowa instalacja elektryczna. Z podobnym trudem odwiódł je od codziennego wyparzania okien razem z futrynami. Najwięcej problemów napotkał jednak z tłumaczeniem, że o ile butelki i smoczki, owszem, traktować gorącą wodą i detergentem należy regularnie, o tyle matkę osobiście, własnopierśnie karmiącą już niekoniecznie, a nawet jeśli, to raczej poradzi sobie z tym zadaniem sama – no, chyba że niespodziewanie odpadną jej ręce, wtedy to co innego. Tak czy owak, po miesiącach gnuśnienia Licho w pełni rozwinęło wydepilowane skrzydła i teraz dzień za dniem, tydzień za tygodniem przez pół doby odkurzało, zamiatało, myło, szorowało, wygotowywało, prało, krochmaliło, pucowało, woskowało, polerowało i glansowało wszystko w zasięgu wzroku, regularnie sięgając również i tam, gdzie wzrok nie sięgał. Uporawszy się z tymi obowiązkami, dreptało następnie w te pędy na parter, by myślą, słowem i umiarkowanym uczynkiem asystować przy Niebożątku albo chociaż tak po prostu cichutko sobie być w obrębie tego samego pomieszczenia i wdychać niemowlęce wonie, nie zawsze upojne.

Podobną, acz nieporównywalnie słabszą fascynację budziła w nim Carmilla. Licho siłą rzeczy samo nie posiadało rodzicielki, a na dodatek nigdy dotąd też nie spotkało żadnej młodej matki gatunku ludzkiego, dlatego nie mogło się wprost nadziwić temu zjawisku, którego załazek dostrzegało już wcześniej, a które teraz osiągnęło pełnię objawów – temu niez mordowaniu mimo umordowania, tej instynktownej nieustraszonej mieszanej z nieustającym lękiem o wszystko. Bez przerwy krążąc gdzieś na jej orbicie, czy to podając usłudze czyste śpioszki, czy to dzielnie towarzysząc przy niekończącej się obsłudze niemowlęcego zadka, Licho pomału utwierdzało się w przekonaniu, że nie ma na świecie istoty równie silnej i zarazem równie bezbronnej co świeżo wyciśnięta matka.

I również w tym przypadku jego fascynacja była w pełni odwzajemniona, gdyż Carmilla, dopiero co odarta z grubego futra złudzeń, którym dotychczas spowijał się jej racjonalizm, dzięki regularnej styczności z małym aniołem oswajała się, w miarę bezboleśnie, acz zachowując przy tym bezpieczną odległość, z istnieniem stworzeń natury nadprzyrodzonej jako takich. Stosunkowo szybko, bo już po tygodniu, przestała podejrzewać Licho o zamiary ze wszech miar nieczne, z wykorzystaniem skrywanych podstępnie ostrych narzędzi, niekonwencjonalnych odnóży czy też nadprogramowej paszczy. Po miesiącu rozluźniła się na tyle, że pozwoliła mu nawet wyrzucić do kosza napećniałą pieluszkę, a po dwóch już w miarę spokojnie patrzyła,



jak Licho podało Niebożątku upuszczoną grzechotkę, zamiast wyrwać mu ją razem z ręką, jak na dobrą matkę typu predator przystało.

Konrad Romańczuk śledził te wzajemne podchody anioła i agentki z pobłażliwym, nieco tęsknym uśmiechem. Wydawało mu się teraz, że minęły całe wieki, odkąd tamtego pierwszego dnia w Lichotce odbywał ten sam intensywny kurs adaptacyjny co Carmilla, tyle że w dynamiczniejszym tempie, siedząc w kałuży mleka na kuchennej podłodze i wytrzeszczając gały to na zasmarkanego anioła w bamboszach, to na gigantyczne macki, które ni stąd, ni zowąd wyłoniły się ze spiżarni. Tymczasem w rzeczywistości nie upłynęły jeszcze nawet dwa lata, a on już zdążył na dobre pożegnać się z niedowierzaniem i okrzepnąć w temacie nadnaturalnych kuriozów. Gdyby z laptopa niespodziewanie zaczęło mu wyłazić jakieś długowłose, mocno anemiczne dziewczę, zapewne nie okazałoby większego zdziwienia. Zamiast tego raczej zapisałby dokument, a potem skoczył do warzywniaka po surówkę z buraczków do najbliższego obiadu, zanim panna zdążyłaby na dobre zalec na biurku.

Choć nikt poza Konradem nie zwracał sobie głowy obserwacjami czy też, borze sosnowy uchowaj, wnikliwymi analizami zachowań domowników w ich środowisku naturalnym, to jednak nie dało się zaprzeczyć, że odkąd Niebożątko zstąpiło na ten świat, w życiu każdego z nich zaszła jakaś zmiana. Najtrudniej przeoczyć było, rzecz jasna, metamorfozę Licha, które niezaprzeczalnie się rozpogodziło, a przy okazji też całe otoczenie. Z kolei Turu Brząszczyk, który żadnego rozpogadzania nie wymagał, gdyż nigdy nie zachmurzał się na długo, przeprowadził rozpoznanie rynku i postanowił zaszaleć, rozszerzając asortyment. Do sezonowego frasunku i zeza dorzucił całoroczne kołyski bojowe oraz cały rynsztunek prawdziwego wojownika w załączku i pielusze. Różowe króliki zaprzestały prześladowań yorka, zbyt pochłonięte obwąchiwaniem nowego domownika, co rusz produkującego intrygujące zapachy, york zaś w rezultacie zaprzestał jazgotu na rzecz nieszczęśliwego popiskiwanego. Zresztą i na nie nikt nie zwracał uwagi, choćby dlatego, że ginęło wśród stuków, puków, zgrzytów i chrobotów, które dzień w dzień rozlegały się to tu, to tam. Siły Wehrmachtu, porzuciwszy skata i teges na rzecz hebli i innych wihajstrów, zstąpiły bowiem ze strychu i zaczęły pierwszy od dziesięcioleci remont. Nawet utopiec trochę częściej niż zwykle opuszczał zarośniętą glonami wannę, żeby poczłapać na próg dziecinno-macznego pokoju i łypiąc wyłupiastymi gałami na Niebożątka, socjalizować się półgębkiem – byle bez przesady. Wszak dzieci nie wolno przyzwyczajać do dobrego, żeby się potem zanadto nie domagały, szkodniki

jedne.

Mogłoby się wydawać, że dla samego Romańczuka wbrew powszechnemu poruszeniu ciał i dusz największą zmianą było poszerzenie listy cotygodniowych rytualnych zakupów o pieluchy w ilościach hurtowych. W rzeczywistości wystarczyło jednak, że ciasna pętla, po której od miesięcy biegło jego życie, przesunęła się nieznacznie i oprócz Tesco, kuchni i biurka objęła także piwnicę, by wywołać w nim to pierwsze drgnięcie, po nim zaś całą serię drgnięć wtórnych. Konrad wciąż nie wiedział, dlaczego tamtego jesienno-ranka, kiedy otworzył oczy, nie zobaczył u swego boku Puk; dlaczego dopiero po wielu godzinach gorączkowych poszukiwań, co już samo w sobie było wystarczająco straszne, odnalazł ją w piwnicy, na posłaniu z wiórów, zawiniętą w jutowy worek, co było jeszcze straszniejsze; dlaczego jej oczy zgasły, włosy uschły, a ciało zdrewniało. Ale teraz nie uciekał przed dojmującą tęsknotą w kołowrót obowiązków ani nie próbował jej zagłuszyć nieustanną złością na wszystkich o wszystko. Zamiast tego godził się pomału z utratą – jak gdyby odrywał stary opatrunek z jątrzącej się rany, żeby ją oczyścić i nałożyć świeży – i dumając nad tym, co począć z przyszłością, by jej przypadkiem koncertowo nie spartaczyć, przyglądał się uważnie tym, którzy składali się na jego terażniejszość. I to zapewne dlatego jako jedyny dostrzegł zapowiedź burzy na horyzoncie.

\*\*\*

Turu Brząszczyk, poproszony po fakcie o komentarz, zapewne najpierw dumałby długo, szukając dostatecznie rzyciowego przysłowia. A niczego nie znalazłszy, stwierdziłby ostatecznie, że ciągnie wilka do lasu, a swój zawsze pozna swego.

Gdy Carmilla otrząsnęła się z początkowego wstrząsu na skutek napadu macierzyństwa i nie tylko, przestała pochłaniać wszystko, co nawinęło jej się pod rękę, i zaczęła na nowo ogarniać najbliższe rejony rzeczywistości. Nie wzięła jednak pod uwagę, że pod jej nieobecność owa rzeczywistość zdążyła się przepoczwarzyć, zaginając czasoprzestrzeń na obszarze dziesięciu metrów kwadratowych pokoju w precel teoretycznie niemożliwy. Poniedziałki bez uprzedzenia stawały się czwartkami z wyraźną nutą wtorku sprzed dwóch tygodni, noc uwijała się w godzinę, a godzina w kwadrans. Ten z kolei to gnał na łeb na szyję z prędkością błyskawicy, byle zdążyć między drzemkami, to znów włókł się w nieskończoność, szczególnie bladym świtem, zimnym i nieprzyjaznym życiu we wszelkich jego przejawach, który zjawiał się

codziennie sekundę po zamknięciu ciężkich powiek, by potem ciągnąć się sadystycznie aż do południa dnia następnego. Do tego wszystko było wszędzie, ewentualnie nigdzie, a i tak niczego nie dało się nigdy znaleźć. Piętrzące się po kątach kartony z pieluchami zawierały, o dziwo, pieluchy, za to coraz liczniejsze kartony po pieluchach mieściły ubranka, akcesoria, kosmetyki i zabawki na teraz, na zaś i na okoliczność. Gdzieś w tych nieprzebranych hałdach bawełny i tworzyw sztucznych kryły się odpryski dawnego życia Carmilli w postaci porzuconych szpilek, szminek, zapalniczek i maszynopisów – tych całkiem dziewiczych, tych już wykończonych i tych dopiero dogorywających.

I to właśnie wśród takiego oto krajobrazu nędzy i rozpacz Carmilla postanowiła na dobre wrócić do pracy. Zaczęła od wydobycia spod wersalki przykurzonego laptopa i otwarcia skrzynki mailowej. Korzystając z chwili ciszy, zabrała się do zmagania z efektem końcowym przemiany fobii i fantazji swych autorów. Przeszłość przytuliła ją do łona i pomiziała czule po pleckach, a w żyłach wespół z krwią zabuzowała adrenalina, tak ożywcza i tak wytęskniona. Tymczasem Niebożątko drzemało sobie grzecznie w kołysce, niewidzialne i przez tę swoją niewidzialność jak gdyby nieobecne, nieistniejące. I przez chwilę Carmilla naprawdę sądziła, że da radę, że to się uda, że wszystko będzie dobrze.

No więc nie było. Znienacka funkcjonowała już tylko siłą niepojętego rozpędu, na autopilocie, półprzytomna i rozdarta między pracą a macierzyństwem, zarazem zaś, w ramach tegoż macierzyństwa, między zachwytem bez granic a otepiającym znudzeniem. Choć kochała Niebożątka instynktownie i nieprzytomnie, a każdemu, kto próbowałby je skrzywdzić, urwałaby łeb przy samym odwołaniu, to gdzieś wśród całodobowych maratonów utulania i oporządzania, które temu kochaniu musiało towarzyszyć, cząstka po cząstce gubiła siebie. I czuła, że bez odskoczni, która pozwoliłaby jej się odbić od dna, na dobre zapuści na nim korzenie i już nigdy się nie pozbiera, tylko będzie tak leżeć w rozsypce. A to uczucie pogubienia i tęsknoty na dodatek wzmacniał stan jej osobistych finansów, które ostatnimi czasy zastygły w bezruchu niczym sarna w blasku samochodowych reflektorów i już tylko czekały na śmierć. Tym rozpaczliwiej przywierała więc do laptopa, do maszynopisów, do wszelkich przejawów życia poza Niebożątkiem, żeby ratować przyszłość i syna, i własną.

Lecz im bardziej starała się pogodzić ukochaną pracę z ukochanym dzieckiem, tym mocniej i praca, i dziecko pragnęły posiadać ją na wyłączność, gardząc palcem i domagając się całej ręki, a najlepiej obydwu rąk i jeszcze

głowy gratis. Ona zaś nie potrafiła zrezygnować z niczego. Nie potrafiła odpuścić na żadnym polu, chociaż wiedziała, że Licho z ochotą robiłoby koło Niebożątka wszystko, o co by tylko poprosiła, a pewnie i więcej, że byłoby wniebowzięte, niezmordowane i oddane mu nie mniej niż rodzona matka. A wtedy ona mogłaby i spać, i żyć, i pracować do woli, i... i czułaby się zredukowana do roli podajnika paszy, nieudolnego i wyrodnego.

Tym sposobem wraz z nadejściem wiosny Carmilla Jekiełek była już bliska rzeźbienia scen biblijnych w ekologicznej marchewce ze słoiczka. I właśnie ten widok, jakże dobrze mu znany, dostrzegł z perspektywy piwnicy Konrad Romańczuk.

Nie zastanawiając się długo, podążył za głosem duszy własnej, którą wstrząsał dynamiczny rezonans. Zgarnął kluczyki od samochodu, narzucił płaszcz na grzbiet i stanąwszy w drzwiach pokoju Carmilli, przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Siedziała na kanapie, przytłoczona chronicznym niewyspaniem męczennica z wyboru i konieczności, w jednej ręce dzierżąc niemowlę, które całym sobą bulgotało ze szczęścia, w drugiej zaś maszynopis, poplamiony śliną, mlekiem i poprawkami. Patrzył więc tak i patrzył na to na wpół żywe stworzenie, ucieleśnienie tęsknot i rozterek, na człowieka-zmęczenie, z którego rozpaczliwie pragnął wyrwać się, wyodrębnić i wybić na niepodległość sam zwyczajny człowiek, bez ciągnącego na dno ciężaru jakichkolwiek atrybutów – i widział siebie.

– No co? – odezwała się w końcu Carmilla głosem równie bezbarwnym co jej spojrzenie.

– Kiedy ostatnio byłaś w Tesco?

\*\*\*

Odkryta przez Konrada Romańczuka odskocznia sprawdziła się i tym razem.

Chociaż Carmilla wróciła wciąż tak samo niewyspana i tak samo wymięta, to jednak po kilku godzinach spędzonych poza domem, bez trosk, refleksji czy problemów poważniejszych niż wybór topionego sera, które zaprzętałyby jej głowę, wydawała się nieco podobniejsza do prawdziwej, rzutkiej siebie niż do przyszłej pensjonariuszki zakładu starannie zamkniętego. Jej oczy, mimo że wciąż podkrążone, odzyskały blask, a wypaczona nawykowym pochyleniem nad jaśnie potomkiem sylwetka odzyskała pion właściwy rodzajowi *Homo* już za czasów *erectusa*. Lecz podskórna obawa przed piętnem matki kukułki w dalszym ciągu tkwiła mocno na swoim miejscu i szybko dała o sobie znać. Wystarczyło, że Carmilla stanęła na ganku, a już spięła się

instynktownie, jak gdyby każda komórka jej ciała szykowała się na tę niewypowiedzianą grozę, która niechybnie czyhała na nią za frontowymi drzwiami.

Tymczasem po drugiej stronie czyhał jedynie ciemny, pusty korytarz – a i to jakoś tak bez szczególnego przekonania. Porzuciwszy siatki z zakupami na progu równie wymarłej kuchni, Romańczuk i Carmilla ruszyli w głąb domu, podążając za coraz wyraźniejszą smugą bladego światła do prawie że salonu, gdzie rozgrywało się prawdziwe horrendum.

Oblany rumieńcem i potem Turu ze wzburzonym włosom klęczał na polarowym kocyku w pieski i pochylał się nad Niebożątkiem, które wiło się i rzucało na wszystkie strony, charcząc i tocząc ślinę w paroksyzmach niewysłowionych cierpień. Tuż obok leżało bezwładnie Licho, zapatrzone szklistym wzrokiem gdzieś w przestrzeń, i ledwo zipało.

Carmilla chciała zemdleć. Albo wrzasnąć. Albo zemdleć, wrzeszcząc, lecz zanim zdążyła się zdecydować na reakcję, która lepiej wyraziłaby ogrom targających nią uczuć, naraz wiking nabrał powietrza i jak nie ryknął straszliwym głosem:

– GILI-GILI-GILI!!!

Niebożątka zarzęziło i zabulgotało pod jego wielkimi łapskami, zanosząc się chichotem na pograniczu hysterii. Od pasa w górę wypuszczało przy tym banieczki śliny w ilościach obfitych, od pasa w dół zaś serię przytłumionych pryknięć z delikatną sugestią podążającej tuż za dźwiękiem wilgoci.

– Li... litości... już nie gilaj, alleluja... – wykrztusiło Licho, załaskotane do imentu. Nie miało nawet siły kichnąć.

– Nie ma litości, jest tylko gili-gili! – zagrzmiął w odpowiedzi Turu i w mig na kocyku w pieski wiły się już dwa piskorze, jeden bez zębów, drugi bez pierza, obydwa zaś tak samo szczęśliwe i z tego szczęścia zasmarkane.

Aż w pewnym momencie Niebożątka zauważyło Carmillę, która chłoneła zmysłami to bezlitosne, acz beztroskie gili-gilanie, zaśmiewając się przy tym do łez. I choć wydawało się to całkowicie niewykonalne, sprzeczne z logiką, fizyką i tym podobnymi pierdołami, na obślinionej, pucułowatej paszczy niemowlęcia rozkwitł uśmiech jeszcze większej radości. A wraz z tym uśmiechem raz na zawsze dotarło do niej, że świat Niebożątka wcale się nie zawali, jeśli od czasu do czasu zabraknie jej w nim na chwilę albo nawet i dwie. Bo choć niekwestionowanym pępkiem tego świata była ona sama, to istniało w nim coś jeszcze – coś więcej, choć niekoniecznie ważniejszego od niej.

Konrad trzymał się z boku i patrząc to na Carmillę, która klęczała już na

kocyku i współgilgotała z zapalem, to na rozczochranego Tura, chichoczącego coraz cieńszym i cieńszym głosem, to na wzięte w krzyżowy ogień łaskotek zasmarkane piskorze, raz po raz parskął niepohamowanym śmiechem, aż zaczęła go boleć twarz. Aż naraz usłyszał gdzieś za plecami szelest – cichy i pospieszny, tak pospieszny, że trącający paniką. Romańczuk wypadł w ślad za dźwiękiem na korytarz i tylko dlatego zdążyły mu jeszcze mignąć znikające na piętrze koniuszki anielskich skrzydeł współ z bosymi anielskimi piętami.

Nigdy dotąd nie widział, by Tsadkiel poruszał się tak prędko.

Bez zastanowienia Romańczuk porzucił tętniący śmiechem prawie że salon i przesadzając dwa stopnie naraz, wspiał się na piętro, i przez niedomknięte drzwi zerknął do środka.

W pierwszym odruchu zwątpił we własne zmysły i nawet rozejrzał się tak na wszelki wypadek. Ale nie – to na pewno było piętro, nie parter, i pokój Tsadkiela, nie Carmilli, i to na Tsadkiela patrzył, z pewnością, przecież Carmilla nie miała skrzydeł. Tyle że zwątpienie ani myślało odpuścić.

Swego czasu z takim pietyzmem wychuchany przez Licho pokój wykazywał teraz wszelkie cechy dystynktywne tak zwanego krajobrazu po bitwie. Rolę zwłok odgrywały książki i czasopisma w różnych stadiach rozkładu, które poniewierały się wśród bogatych w roztocza smug i rozlewisk kurzu. Ponad tym wszystkim, niczym sępy, krążyły jednorazowe pieluchy z szeroko rozpostartymi rzepami. A gdzieś pomiędzy usiłowało unosić się powietrze, ciężkie i gęste od skumulowanego zaduchu.

Tsadkiel stał pośród tego bałaganu i wertował nerwowo jakąś książkę, z której na lewo i prawo sypały się zabazgrolone kolorowe karteczki. Ze zwieszonymi apatycznie skrzydłami, matową, zmierzwioną słomą zamiast spływających na plecy kaskad lśniącego złota już nie wydawał się ani majestatyczny, ani posągowy. Jego alabastrowa skóra straciła nadnaturalny połysk, w ametystowych oczach wypalił się ogień. Jak gdyby dla zachowania równowagi sił anielskich w przyrodzie im mocniej odradzało się Licho, tym bardziej niknęła wspaniałość Tsadkiela. I nikt nawet nie zwrócił uwagi, że duży anioł znalazł się już nawet nie tyle na granicy hysterii, ile daleko za nią, bez bagażu czy paszportu.

Wyczuwając obecność Konrada, odwrócił skołowaciałą głowę w kierunku drzwi.

– Wszędzie piszą, że ma mieć kolor i konsystencję jajecznicy – wychrypiął i na dowód wyciągnął rękę z książką. – Widzisz? Jajecznicy, właśnie tak tu piszą. I tu – cisnął książkę na ziemię i sięgnął po pierwsze z brzegu czasopismo z wielkookim bobasem na okładce. – I tam. I tu też. – Kolejne

tomy i gazety latały po pokoju i obijały się o ściany, trzepocząc kartkami i okładkami. – Wszędzie to samo. Ma mieć kolor i konsystencję, kolor i konsystencję...

– Ale co takiego? – odważył się zapytać Konrad.

Tsadkiel zastygł ze zmarszczonym czołem i kolejną książką gotową do lotu.

– Kupa – odparł wreszcie, opuszczając rękę. – Kupa niemowlęcia. Ma mieć kolor i konsystencję jajecznic, ale ja nie wiem jakiej! Z ilu jaj? Ścięta słabo, średnio, mocno? Z dodatkami czy bez? I czy to ma być jajecznica na maśle, na smalcu, czy na oleju? A może na parze? Czemu nigdzie o tym nie piszą? Skąd ja mam wiedzieć, o jaką dokładnie jajecznicę chodzi, skoro nikt o tym nie wspomina?!

Cisnął książkę na bok i porwał z podłogi rozpostartego pampersa.

– A pieluchy? – zapytał, potrząsając tym nowym dowodem rzeczowym. – Co z pieluchami? Jednorazowe czy ekologiczne? Jaki producent? Jaki rozmiar? Jeżeli niemowlę waży cztery kilogramy, to które będą dobre? Te od dwóch do pięciu czy od trzech do sześciu kilogramów? A może ja wcale nie powinienem kierować się wagą dziecka, tylko wiekiem? Albo płcią? Albo budową ciała? Albo wilgotnością powietrza i koniunkcją planet? Nie ma sprawy, uwzględnię i koniunkcję, tylko z którego dnia? Zapłodnienia? Implantacji? Powicia? A może z zeszłej niedzieli? Nie wiem, ja nic nie wiem, dlaczego ja nic a nic nie wiem?!

Naraz anioł poczuł z całą mocą, że oto dotarł do ściany i choćby tłukł w nią pięściami i walił, to i tak nie znajdzie w niej żadnych drzwi, które pozwoliłyby mu iść dalej i gdzieś za horyzontem, w jakiejś magicznej krainie, znaleźć ujście dla tego natłoku targających nim nowych, niepojętych emocji. Nogi same się pod nim ugięły i klapnęły na łóżko, wpatrując się umęczonym, błagalnym wzrokiem w Konrada. Lecz Konrad również nie wiedział.

– Jam jest ostoja. Jam jest ostoja – powtórzył zagubiony anioł stróż, bezradnie i cicho. – Jam jest. Jam, nie ono. Ono tylko sprząta. Dlaczego ono wszystko potrafi, a ja nie, skoro jam?...

Romańczuk wpięrowo odetchnął głęboko, po czym usiadł w milczeniu obok Tsadkiela. Głęboko w jego głowie z galimatiasu myśli, wątpliwości i pytań zaczęła się pomału wyłaniać pewna koncepcja – co prawda nieszczególnie kształtna, co prawda a to ślizgała się, a to potykała, gramoląc na stromy brzeg i metodą prób i błędów dopiero odkrywając, do czego tak w zasadzie służą te całe nogi, parła jednak nieustępliwie przed siebie.

Wreszcie zmierzył oklapłego anioła stróża uważnym spojrzeniem.

– Nauczyłeś się gotować krupnik – zaczął.

Wyrwany z kołowrotu myśli bezradnych i przytłaczających Tsadkiel wyprostował się nieco.

- Owszem. Ale jakież to ma zwiątek z jajecznicą i koniunkcjami?
- A myślisz, że mógłbyś... poszerzyć repertuar?
- Dlaczego miałbym to robić?

Romańczukowi błyskawicznie przyszła do głowy długa lista mniej lub bardziej wymyślnych krzywd, które mógłby wyrządzić Tsadkielowi zarówno w ciało, jak i w psychikę, lecz zamiast przystąpić do recytacji, postanowił wziąć go z zaskoczenia. Odparł więc z niewzruszonym spokojem:

- Bo w ten sposób bardzo byś mi pomógł. I właśnie dlatego cię o to proszę.
- Och, doprawdy, alleluja! – fuknął odruchowo anioł stróż, nadymając się godnością. I już miał na końcu języka ripostę trafną i ciętą, lecz nagle chyba zmienił zdanie, bo zamknął usta. Rozejrzał się po swoim pokoju, autentycznie zdumiony tym widokiem, jak gdyby zobaczył go po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna i nie do końca potrafił pojąć, jakie tornado poczyniło takie spustoszenie zarówno wszędzie wokół, jak i wewnątrz niego. Aż wreszcie chrząknął i rzekł: – Jeżeli pozwolisz, zacznę od dań mącznych.



## Rozdział 17

Pod koniec marca pogoda w swej łaskawości postanowiła ich nieco rozpieścić i szczerze podkreśliła ogrzewanie. Wehrmachtowcy wylegli na dach i korzystając z przerwy w opadach, wzięli się do chałupniczego łatania co większych dziur. Ich dziarskie śpiewy niosły się po okolicy niczym trele i pienia Marii von Trapp przez austriackie Alpy, docierając aż do najbliższego blokowiska.

Tymczasem ludzie płci męskiej wybrali ciut niższe rejony i rozsiedli się na ganku, w samym środku plamy jaskrawego słońca, jak najdalej od cienia, w którym wciąż dało się poczuć wspomnienie już oficjalnie minionej zimy. Turu Brząszczyk z zadowoleniem sączył pierwsze w tym sezonie piwo na świeżym powietrzu i bez pośpiechu dłubał prototyp grzechotki dziecięcej, model Mjølñir.

Natomiast Konrad Romańczuk nie robił nic.

No, przynajmniej nic pożytecznego czy niezbędnego z punktu widzenia kogokolwiek poza nim samym. Owszem, oddychał. Trawił. Mimowolnie wytwarzał nowe komórki w miejsce tych już zużytych. Absolutny szczyt aktywności osiągnął, moszcząc się na starym, pasiastym leżaku, który wygrzebał na strychu. Później już tylko westchnął, zamknął oczy i z twarzą wystawioną do słońca zaczął z lubością wygrzewać stare kości.

I to by było tyle.

Naprawdę.

Zarządzona przez niego zmiana na stanowisku głównodowodzącego garami spotkała się z powszechnym niedowierzaniem, po którym nastąpiła natychmiastowa ewakuacja wszelkich form życia towarzyskiego z kuchni do prawie że salonu. Co miało również pewien skutek uboczny – mianowicie utrudniony dostęp do lodówki pociągnął za sobą ograniczenie spożycia cukru na domownika, a wraz z nim zauważalny spadek dziennego utargu w piekarni za kilkoma rogami.

Choć to terytorium było mu obce w takim samym stopniu co pielęgnacja niemowląt, Tsadkiel śmiało zaanektował kuchnię i ani myślał brać jeńców. W swym dążeniu do perfekcji nie uznawał ani półśrodków, ani półproduktów, dlatego zaczął od solidnych podstaw. Z uwagą przestudiował wszystkie książki kucharskie, jakie kryły się w domu, wyliczył wartości odżywcze

każdej potrawy, skonfrontował je nawet z prognozowaną wydolnością domowego budżetu – i w ciągu tygodnia opanował więcej przepisów niż Romańczuk przez pół roku. Uznawszy wreszcie, że teorię wykuł już na blachę, zabrał się z werwą do praktyki i debiutanckim obiadem z dwóch dań zamknął usta wszystkim niedowiarkom, bez wyjątku. A kiedy na deser postawił przed nimi waniliowy sernik na czekoladowym spodzie, Turu Brząszczyk ze wzruszenia popłakał się nad swoją porcją.

Innymi słowy, Tsadkiel znowu miał w życiu cel – który, owszem, nie robił szczególnie imponującego wrażenia i częściej wiązał się z użyciem trzepaczki do jajek niż ognistego miecza albo trąby, ale za to był przydatny, czyli wbrew pozorom godny anielskości. Romańczuk zaś miał spokój. Wyzwoliwszy się z jarzma garów, odzyskał spory kawałek doby na własny użytek i wreszcie mógł się na dobre wykaraskać z wszelkich zaległości, zarówno w zleceniach, jak i we śnie. A gdy się z nimi wstępnie uporał, przyszła też kolej na chwilę słodkiego lenistwa w promieniach marcowego słońca, o czym jeszcze przed miesiącem czy dwoma nie śmiałyby nawet marzyć.

I miał naprawdę głęboko w nosie, że Turu droczył się z nim, nazywając teraz dużego anioła jego pieścioszkiem.

Drzwi frontowe otworzyły się ze zgrzytem i oto na światło dzienne wytuptało Licho, pchając wózek z Niebożątkiem unieruchomionym warstwami odzieży. Tuż za małym aniołem wyłoniła się Carmilla, której deptał po piętach Tsadkiel w kuchennym fartuchu.

– ...i żeby tylko nie były za twarde! – perorował tonem wnerwiająco-pouczającym. – Są mi potrzebne na sok, nie na pociski.

– Zwykle jakoś sobie radzę z odróżnieniem pomarańczy od kamieni, więc myślę, że i tym razem podołam. W najgorszym razie zawołam kogoś z obsługi i urządzimy klawe konklawe. Wypatruj białego dymu na horyzoncie. – Olawszy dalsze uwagi anioła do listy zakupów, zwróciła się do udomowionych przedstawicieli płci męskiej: – Jadę do miasta. Jakież życzenia?

W tej samej chwili od strony bramy rozległ się donośny łoskot zwiastujący przybycie listonosza. Turu, przełykając ostatni haust piwa, zatelepał wymownie puszką i popędził otworzyć. Konrad jedynie pokręcił głową.

– A ty tak bez makijażu? Na surowo? – zapytał z przekąsem, łypiąc spomiędzy zmrużonych powiek na Carmillę, gdy ta wsiadała do złotego matiza.

Nie przestawał się dziwić, że z własnej, nieprzymuszonej woli porzuciła pełną szpachlę, szponiaste tipsy i odzież typu kiszka na rzecz mniej

pracochłonnego i wygodniejszego wizerunku, który wyraźnie odjął jej lat, dodał za to człowieczeństwa i swobody ruchu. Nie zrezygnowała jedynie z zabójczych szpilek. Konrad podejrzewał w głębi ducha, że po tylu latach chodzenia na szcudłach w płaskim obuwiu nie wyrobiłaby na pierwszym metrze, bez względu na charakter nawierzchni.

– Będę oszałamiać naturalnym pięknem. Może ktoś z wrażenia rzuci we mnie rabatem, żeby zyskać szansę ucieczki – odparowała, trzasnęła drzwiczkami i pomknęła, gdzie ją koła poniosły.

Zamknąwszy bramę za matizem, Turu powrócił na ganek z zestawem przesyłek.

– Rachunczki, pierdołeczki oraz Konraduuu! – Pomachał płaskim kartonikiem.

– Znowu? – zdziwił się Romańczuk, wyciągając rękę.

– Ano znowu.

– Która to już w tym roku? Trzecia?

– Czwarta. Może tę dla odmiany uda ci się otworzyć.

Wystarczyła chwila nieuwagi, żeby wszystkie poprzednie przesyłki zaadresowane do Konrada U. Romańczuka w tajemniczych okolicznościach dostały nóg, i to jeszcze zanim Konrad – ten bez U. – zdążył je choćby dokładnie obejrzeć albo dobrać się do zawartości, a co dopiero ustalić, skąd i dlaczego przyszły. Ale dzień był taki piękny, a bezczynne zaleganie tak przyjemne, że nijak nie chciało mu się rozpakowywać paczuszki ani nawet zastanawiać nad jej pochodzeniem. Wsunął jedynie przesyłkę pod leżak i na powrót zapadł w błogi letarg.

W międzyczasie Licho również korzystało z pięknej pogody, acz znacznie aktywniej, i skrupulatnie wyrabiało kilometry, zaiwaniając po ogrodzie z wózkiem. Mniej więcej co drugie okrążenie stopniowo rozpakowywało zarówno siebie, jak i Niebożątka z kolejnych warstw odzieży wierzchniej. Dokopało się już do sweterków, kiedy z wyżyn dachu, wraz ze stukotem młotków, poniósł się śpiew męski, chóralny, ludowy, siłą rzeczy przerywany:

– *Schla dze... dzevetchka dooo lazechka, do zje... zjelonego, HA-HA! Do zjelonego, HA-HA! Do zjelonego! Napotkallla my... myzli... myzlivetchka bar... barrrrrrrrrtzo sch... stch... eh, verdammt...*

– *Bardzo szwarneho!* – huknęło litościwie z dołu.

– *HA-HA!!!*

– Coraz lepiej im to *ha-ha* wychodzi – stwierdził Brząszczyk nie bez dumy.

– I to na trzeźwo. Zdolne chłopaki!

Drzwi zgrzytnęły ponownie i na ganek wyjrzała złota anielska głowa.

– Cebulowa dochodzi. Obiad za pół godziny – oświadczyła dobitnie.

– A zrobiłbyś do niej grzanki? – zapytał Konrad z nagłym ożywieniem, jako że cebulową z grzankami wielbił bardziej niż Turu sernik. – Wiesz, najlepiej takie z ziołami... i może... może jeszcze z żółtym serem?...

– Doprawdy, alleluja! – prychnęła głowa, oburzona tak zuchwałymi roszczeniami względem obiadu.

– No zrób, zrób, nie bądź taki. Cebulowa bez grzanek to kpina z cebulowej.

Głowa prychnęła raz jeszcze i zniknęła wewnątrz domu.

– Trzeba je koniecznie naoliwić – rzucił Konrad niezobowiązująco w przestrzeń, kiedy upiorny jęk zawiasów w końcu raczył ucichnąć. – Psują mi efekt sielanki tym swoim wizgiem.

Przestrzeń w osobie Tura łypnęła spod krzaczastych brwi i zachichotała złośliwie.

– Ależ ty się cackasz z tym swoim pieścioszkiem.

– Tsadkiel wcale nie jest moim pieścioszkiem, a ja wcale się z nim nie cackam. Ja go tylko biorę pod anielski włos – wyjaśnił cierpliwie Romańczuk. Odkąd zaczął się regularnie wysypiać, poziom frustracji w organizmie spadł mu znacząco i nie groził już wybuchem ani wylewem z byle powodu. – Pozytywnie motywuję do podjęcia wysiłku, który przynosi mi wymierną korzyść.

– Celnie wymierzony kopniak dałby dokładnie ten sam efekt, a człowiek tak się przy tym nie namęczy.

– No co ty nie powiesz? A kto temu człowiekowi najpierw nóżkę rozbuja?

...

– Ty mię tu tematyki nie zmieniaj. Cackasz się z nim jak z jajem z zeszłorocznej Wielkanocy. Zadkieleczku, a zrobiłbyś mi grzanecki, cium-cium-cium? – zaczął wiking, składając usta w ciup, co przy jego niedźwiedziowej fizjonomii dawało niezapomniany efekt.

– Wiesz, regularne przesiadywanie w piwnicy ma swoje plusy – rzekł Romańczuk, westchnąwszy głęboko, z lubością. – Robi dobrze na kontemplację. Powinieneś spróbować.

– Cium-cium-cium, grzanecki.

– Borze Tucholski, Turu, ty naprawdę nic nie rozumiesz, co nie?

– A co tu jest do rozumienia? Ty go miziasz po pleckach, on ci rzeźbi grzanecki. Ti-ti-ti...

Konrad podźwiгнаł się naraz do pozycji siedzącej.

– Powiedz, Turu, kim ty jesteś? – zapytał chytrze, mrużąc powieki w promieniach ostrego marcowego słońca.

– No... sobą! – odrzekł Turu zgodnie z prawdą, gdy otrząsnął się z początkowego zaskoczenia. – A co to ma...

– Doskonale. Sobą, to znaczy kim?

– No... no Turem!

– Zgadza się. Jesteś Turem. Synem swoich rodziców, wnukiem swoich dziadków. Wikiniem z natury. Kornikiem z zamiłowania. Opiekunem tej oto zacnej rudery. Zdeklarowanym sernikożercą. Wielbicielem musicali. Dobrą duszą, że nic tylko do rany przyłoż. Jakaś część ciebie bywa nawet, choć z zawstydzeniem, Grzegorzem Marcinem Brząszczykiem. Można by tak długo wymieniać. Jesteś tym wszystkim po trochu, ale jednocześnie żadna z tych składowych osobno nie jest tobą. Dopiero ich suma. Suma wszystkich trochów.

– Ty do czegoś zmierzasz? – zapytał podejrzliwie wiking, kornik i tak dalej.

– Naokoło przez Suwałki, ale owszem, zmierzam. Widzisz, Turu, ja też kiedyś byłem taką sumą. Konradem Romańczukiem, facetem swojej kobiety, synem, wnukiem i tak dalej, pisarzem, copywriterem, cholernikiem i tępą dzidą. Żywicielem dość dziwnej rodziny. Opiekunem dożywocia. Aż wskutek pewnego splotu okoliczności, który swego czasu nazwałeś siłą niższą, oraz własnej głupoty zacząłem się definiować nie przez sumę, tylko przez jedną, jedyną składową.

– Tępą dzidę?

– Bankomat. Wiesz, kiedy to do mnie dotarło? Tak naprawdę, w pełnej krasie? Gdy zobaczyłem na własne oczy, że dokładnie to samo zrobiła ze sobą Carmilla, zmieniając się w matkę – i tylko matkę. Zapominając o całej reszcie, czyli, *de facto*, o sobie. Jak sądzisz, długo tak można pociągnąć?

– Jeżeli ty i ona mieścicie się w średniej, to nie za długo.

– Ano nie. A teraz powiedz mi, Turu, kim jest Tsadkiel?

– Aniołem stróżem.

– A co jest sensem i treścią istnienia takiego anioła stróża?

– No... takie tam... aniołostróżowanie.

– Tak w przestrzeń, po próżnicy?

– Nie no, gdzie. Jakiemuś człowiekowi.

– Owszem. Więc kim jest anioł stróż, którego porzucił człowiek? Nie obumarł, podkreślam, ale porzucił.

Wiking, zamiast szukać odpowiedzi, poprzestał na tępych wpatrywaniu się w Romańczuka.

– Nikim, Turu. Absolutnie nikim. Ty, ja, Carmilla – my mamy tych naszych składowych do wyboru, do koloru. Dopóki nie definiujemy się wyłącznie

przez jedną z nich, pozostajemy sumą. Pozbawieni jednej, nie tracimy całości, czyli, jak to trafnie przed chwilą ująłeś, siebie. Tymczasem na sumę anioła stróża składa się tylko jedna składowa. Jedna! Jego człowiek. Ja byłem ślepy – cóż, jak to bankomat – i nie zauważyłem, że właśnie taki los spotkał Licho, kiedy straciło najpierw Lichotkę, a potem jeszcze mnie na dodatek. Straciło siebie. A teraz ty nie widzisz albo widzieć nie chcesz, że Tsadkiel wpadł dokładnie w ten sam potrzask. Z jedną, za to kluczową różnicą.

– Strzelam. Zadkiel jest dupkiem, a Licho jest kochane?

– Nie, alleluja – odparł znad wózka mały anioł, zanim Romańczuk zdążył otworzyć usta. – Ja miałom chociaż wsparcie w tobie, Turu. I w króliczkach. A on naprawdę został sam.

Konrad mógł mu tylko przytaknąć.

– Serio, spróbuj kiedyś z tą piwnicą – rzekł jeszcze do Tura, po czym wyciągnął się z powrotem na leżaku.

– On naprawdę został sam – powtórzyło Licho, dumając intensywnie nad tym, co przed momentem usłyszało. Jego tęczy wzrok spoczął na wózku, którym machinalnie bujało. – A potem... potem ja znalazłom sobie człowieka zastępczego... a on nie.

– Więc to dlatego oddelegowałeś drania do grzaneczek? – zapytał Brząszczyk Konrada, a ten uśmiechnął się pod trymowanym wąsem.

– W gruncie rzeczy obydwie nasze aniołeczki, choć są tak różne, działają na tej samej zasadzie – odpowiedział. – Mają naturę zero-jedynkową, co umknęło i tobie, i Pawłowi. Mnie zresztą też, nie przeczę, dopóki nie uciekłem się do katabazy.

– Do czego?...

– Katabazy. To taki topos literacki, z mitologii greckiej, choć nie tylko. Motyw zejścia bohatera do podziemi. Do świata umarłych.

– Znaczy, polazłeś do piwnicy niby ten Orfeusz czy inszy Gilgamesz i doznałeś iluminacji – ujął to wiking swoimi słowami.

– Cóż... w zasadzie to tak. Posiedziałem w piwnicy i uświadomiłem sobie, że obydwie anioły napotkały dokładnie ten sam problem. Straciwszy człowieka, straciły siebie, najpierw Licho, potem Tsadkiel. A przecież, żeby iść przez życie, potrzebny jest pewny grunt pod nogami, po którym da się stąpać, prawda? Tyle że Licho miało szczęście w nieszczęściu, bo los podsunął mu człowieka zastępczego – skinął na wózek ze śpiącym niemowlęciem – a Carmilla potrzebowała pomocy. Bankomat i matka, pamiętasz? Wystarczyło więc pozwolić, żeby Tsadkiel zrobił dla mnie to, co Licho zrobiło dla niej. W rezultacie anioły odnalazły na nowo cel istnienia, a Carmilla i ja

odzyskaliśmy życiową równowagę. Efekt *wash and go*, mój drogi Turu. Wystarczyło odrobinę... rozproszyć odpowiedzialność. Licho ma teraz Niebożátko, a Tsadkiel cebulową.

Na te słowa Brząszczyk ryknął śmiechem tak gromkim, że aż mu łzy, czyste, rześiste, pociekły z oczu.

– Nie, bratku – wydusił wreszcie, dławiąc się jeszcze własnym chichotem. – Cebulową to masz ty. A Zadkiel – tu wiking pokiwał na Romańczuka grzechotką dziecięcą, model Mjǫlnir – ma ciebie. Cium-cium-cium.

Konrad zmarszczył brwi i już miał zgromić rozbawionego Tura wzrokiem, kiedy ów wzrok znalazł sobie lepsze zajęcie. Padł bowiem na szczerze zamyślane Licho i nagle uruchomił jeszcze jeden zapomniany trybik, cały w rdzy i pajęczynach. I to bez piwnicy, katabazy czy innych toposów.

– Może... może i ma... – mruknął Konrad do siebie po chwili. – Może faktycznie ma...

A potem z kuchni dobiegło wołanie na obiad. Wehrmacht zstąpił z dachu i ganek opustoszał. Byli w połowie cebulowej – z grzankami, a jakże – kiedy za oknem zerwał się wiatr i niebo zasnuło się ołowianymi chmurami, z których lunął deszcz. Zgarniając potem z ganku przemoczony leżak, Romańczuk nie zauważył nawet, że płaska paczuszka niepostrzeżenie zapadła się pod ziemię.

Wieczorem, tuż przed kolacją, gdy Carmilla kończyła układać Niebożátko do snu, a Konrad i Turu siedzieli już przy stole, do kuchni wkroczyło Licho i z miną stanowczą jak nigdy dotąd stanęło przed Tsadkiem, który właśnie wyławiał z wrzátka ostatnie idealne jajko na miękko – ze ściętym białkiem i wciąż płynnym, gęstym żółtkiem.

– Zrobiłom ci bambosze – rzekło Licho, prezentując parę w fioletowo-zielone paski. – Anioł stróż musi mieć bambosze.

Tsadkiel odłożył łyżkę do zlewu i dla równowagi uniósł brew.

– Doprawdy, alleluja? A czemuż to: musi?

– A temuż – odpalił mały anioł – że są mięciutkie i ciepłutkie, i w ogóle, alleluja.

– Istotnie, alleluja, jednakowoż nie jest to odpowiedź na moje pytanie.

– Bo w bamboszach nie sposób być niemiłym. A kiedy ty jesteś miły dla innych, to inni są mili dla ciebie. Tak działa ten świat. Alleluja.

– A cóż ty możesz wiedzieć...

– Mnie wszyscy lubią – przerwało mu bez wahania. – A ciebie?

Obaj mężczyźni wstrzymali oddech. Posągowy anioł oblał się purpurą, a dłoń z miseczką pełną doskonałych jajek zadrżała mu wyraźnie – ale nic nie

odpowiedział.

Za to Licho jak gdyby urosło o centymetr. Albo nawet i dwa.

– Ano właśnie. – Skinęło głową niczym generał podczas udanej inspekcji. – Więc przestań się ze mną kłócić, alleluja, i wskakuj w bambosze. A jutro... jutro nauczysz mnie dekorować ciasteczka.

– Wiesz co, Konradeńku? Chyba zrobiłeś dzisiaj coś dobrego – szepnął wiking, klepiąc go po plecach z czułością zdolną kruszyć lody i przetrącać kręgosłupy. – Jeszcze będą z ciebie ludzie.



## Rozdział 18

Zasypiając przy monotonnym szumie deszczu, Konrad Romańczuk nadal czuł w sobie rozkoszne ciepło wiosennego słońca i nie miał powodów sądzić, że jeszcze tej samej nocy nad jego rodzinnym miastem rozpęta się nawałnica, która z powodzeniem mogłaby posłużyć za tło ragnaröku.

Ilekroć wracał później do tamtych przeżyć, nigdy nie potrafił dokładnie przywołać, co mu się wtedy śniło przez tych kilka godzin – jedynie towarzyszący tym snom niezrozumiały niepokój. Oraz nie tyle odgłos czy czucie w sensie fizycznym, ile wrażenie drapania. Za to tym, co na zawsze zapadło mu w pamięć, był przeraźliwy łoskot, który go nagle obudził. I to, co nastąpiło później.

Zanim świadomość zdążyła przejąć stery, Konrad wrzasnął instynktownie i nie tyle zerwał się z tapczanu, ile runął z niego prosto na podłogę. Zderzenie z twardą powierzchnią otrzeźwiło go dostatecznie, by stopniowo zaczął rejestrować bodźce. Pierwsza dotarła do niego ciemność, bez półcieni, bez granic. Po niej nastąpiła sekunda oślepiającej jasności, po której ciemność powróciła jeszcze mroczniejsza, jeszcze bardziej nieprzenikniona, jak gdyby ścięła się pod wpływem tego nagłego przebłysku światła. Potem usłyszał nieludzkie wycie dobiegające od strony okna i jednocześnie poczuł ciągnący w ślad za nim dojmujący chłód. A na koniec jego bose stopy przeszyły setki, tysiące igieł.

Wijąc się i szamocząc ze splątaną kołdrą, w końcu wyswobodził się z potrzasku. Zdążył jeszcze stanąć na zmarzniętych nogach, gdy następny atak jasności rozświetlił na moment cały pokój.

Konrad na chwilę przestał oddychać.

Zamiast okna w ścianie naprzeciwko niego ziała teraz dziura, wyszarpana w tkance starego domu przez potężny, rozwidlony konar. Przypominał zachłanny szpon, który wbijał się w parkiet pośród kawałków szkła, drewnianej ramy i tynku. Po drugiej stronie muru wiatr zacinał deszczem i wył tak upiornie, tak przeciągle, że zagłuszał nawet gromy przetaczające się raz bliżej, raz dalej.



Niewiele brakowało, by Romańczuk osunął się z powrotem na podłogę, z której dopiero co się podźwignął, wraz z ciemnością opadła go bowiem także świadomość, jak niewiele brakowało, żeby intruz sięgnął tapczanu wraz z zawartością i zrobił z nią to samo co z podziaduniowym biurkiem. Zaraz jednak poczuł coś pod szybko drętwiejącymi stopami. Coś więcej niż wilgoć i zimno. Było to spazmatyczne drżenie, jak gdyby pokój, cały dom przeszywały dreszcze, zwiastując nadciągające przeziębienie stulecia.

A potem poczuł trzask – trzask podnoszących się i pękających klepek.

Nienasycony szpon zaczął wdzierać się głębiej.

Romańczuk jak w amoku wyskoczył na korytarz i tuż za progiem zderzył się z zaspanym Tsadkiem, który bezskutecznie pstrykał włącznikiem, usiłując zapalić światło. Gdzieś w oddali zamajaczył w ciemności drugi, mniejszy anioł.

– ...leluja?

– DO PIWNICY!!! – ryknął Konrad, przekrzykując zawieruchę, która wtargnęła do wnętrza domu wraz z drzewem, a potem runął na złamanie karku w dół schodów, na parter. Nie słyszał niczyich wołań, nie słyszał pytań, jedynie skowyt wiatru i świdrujący płacz Niebożątka – i huk, ogłuszający huk, echo przeszłego koszmaru, którego wciąż nie umiał wymazać z pamięci.

Tak jak stał, boso, w samej piźamie, wypadł na podwórko, prosto w strugi siekącego deszczu. I tam zastygł po kostki w najbliższej kałuży, niczym trup skostniały i blady, aż do szpiku kości zdjęty przerażeniem.

Oto bowiem najgrubszy i najdłuższy z konarów starego wiązu, ukochanego wiązu Tura, pękł częściowo u nasady i wbijał się w piętro domu, miażdżąc przy tym zadaszenie ganku. Wbijał się pomału, lecz nieuchronnie, bezradny pod naporem potężnego pnia, który nie miał innego wyjścia, jak tylko prędzej czy później ustąpić wobec szalejącego żywiołu. Pierwsze korzenie wyłaniały się już spomiędzy zwałów ziemi, ciągnąc za sobą następne.

W każdej chwili całe drzewo mogło runąć na dom.

Ich dom.

Jedyny, jaki im został.

Przed oczyma stanęła mu Lichotka na tle nocnego nieba i lasu, cegła po cegle, belka po belce trawiona płomieniami, których huk wciąż rozbrzmiewał mu w uszach, głośniejszy niż wyjący wiatr. Aż naraz zniknęła, tym razem już na zawsze, a kolejny rozdzierający niebo błysk ukazał tuż obok zwalistą sylwetkę Tura Brząszczyka gotowego do boju. Przed nimi zaś wyrósł Tsadkiel. Ametystowe oczy barczystego anioła lśniły niezwykłym blaskiem, skrzydła, złożone przez wzgląd na porywisty wiatr, przylegały ściśle do mocnego grzbietu. Smukłe, z pozoru delikatne, lecz silne palce zaciskał z wprawą na stylisku siekiery. Nie tracąc czasu, podał drugą Konrowi – a ten od razu zrozumiał. Tak, bał się. Jak nigdy dotąd. Bał się o swój dom, a przede wszystkim o tych, których trzech widmowi wehrmachtowcy prowadzili teraz do wysokiej, murowanej piwnicy: o Licho i utopca, Carmille i Niebożątka, jednego kota i dziewięć różowych królików. Ale w ogóle nie bał się o siebie. Bo niczego nie był w tym momencie tak pewien jak tego, że bez względu na wszystko Tsadkiel za nic nie pozwoli, by spotkała go jakakolwiek

krzywda.

W końcu był jego Pacem. A Tsadkiel Paca pałacem.

I pewnie dlatego Pac Romańczuk, nie zważając ani na burzę, ani na ciemność, ani na własną wątpliwą sprawność, jak ostatni wariat zaczął wspinać się boszo na ten po stokroć przeklęty, najeżony drzazgami wiąz, gotów za wszelką cenę odrąbać konar, który wbijał się w jego pokój, w jego dom, w jego dopiero co odzyskany święty spokój. Widząc to, Turu i Tsadkiel bez namysłu uderzyli na gruby pień.

Czas mijał – nawałnica ani myślała. Chociaż woda i ciemność zalewały im oczy, a z korony starego drzewa co rusz sypały się pomniejszych gałęzie, oni walczyli zażarcie. Zresztą nie tylko oni, gdyż w oddali, pośród wycia wiatru, od czasu do czasu dało się słyszeć przemykającą syrenę wozu strażackiego. Wreszcie szponiasty konar ustąpił i Konrad, który od dawna nie czuł już nic poza śmiertelnym zmęczeniem, jakiego dotąd nawet sobie nie wyobrażał, cisnął siekierę na ganek. Zamierzał po prostu zsunąć się na ziemię z wyszczerbionego kikuta, gdy wtem spomiędzy płataniny gałęzi runęło mu na głowę coś bardzo mokrego, bardzo ciężkiego i bardzo przerażonego, z opętańczym wrzaskiem wbiło pazury, w co popadło, i pociągnęło go za sobą.

Zmora, jak to kot, wylądowała na czterech łapach i pomknęła niczym pocisk do domu, a tam przejęli ją wehrmachtowcy i zanieśli do pogrążonej w mroku piwnicy, gdzie chronili się pozostali. Romańczuk nie miał ani tyle szczęścia, ani tyle gracji. Z pokiereszowaną twarzą wylądował bezwładnie w głębokiej kałuży. I najchętniej już by w niej został, jako że błoto, choć zimne i lepkie, było też cudownie, rozkosznie miękkie. Ale nic z tego – pewne ramię anioła stróża zaraz postawiło Konrada do pionu, przy okazji sprawdzając pobieżnie stan jego układu kostnego.

– Jeszcze trochę!!! – Przez mgłę wyczerpania usłyszał zachrypnięty krzyk Tsadkiela. – Jeszcze trochę i padnie!!! Musi paść!!! Chodź!!!

Ostatkiem sił Romańczuk podniósł siekierę ze zrujnowanego ganku i ruszył im chwiejnie na pomoc, zastanawiając się, ile w tym chwianiu niezmiernego zmęczenia, a ile prozaicznego wstrząsu mózgu.

Turu, doświadczony w obróbce materiału, dobrze wiedział, gdzie i pod jakim kątem rąbać, żeby wiąz, wbrew naleganiom nawałnicy, runął nie prosto na dom, lecz równolegle, na ogród. Wspólnie z Tsadkiem poczynili już sporą wyrwę w grubym pniu, wciąż jednak za małą, by grawitacja mogła przybyć im z pomocą, nawet bez tego mikrego, ale jednak dodatkowego ciężaru w osobie Romańczuka po niewłaściwej stronie drzewa. Tyle że we

trzech szło im niewiele szybciej, a w przeciwieństwie do nich zawierucha była niezmordowana. Wreszcie Konrad dotarł do tego punktu, kiedy przy każdym oddechu zawartość żołądka podchodziła mu do gardła. Brząszczyk dysponował co prawda większą tężyzną fizyczną, ale też miał znacznie więcej siebie do dźwigania i w rezultacie prezentował się niewiele lepiej, sapiąc jak przedwojenny parowóz. I tylko anioł nie zwalniał tempa, choć bardziej niż anioła przypominał teraz zmokłą kurę.

Czy Tsadkiel puścił ją rozmyślnie, czy też po prostu wyślizgnęła się z jego zgrabiących palców – tak czy owak, również trzecia, ostatnia siekiera koniec końców wylądowała w błocie i po fazie oszalałego rąbania pisarz, wiking i anioł zaczęli z całej mocy napierać na pień, błagając w duchu dowolne siły wyższe i niższe, żeby ustąpił i padł. Ale wiąz, mimo że przestał napierać konarem na nieszczęsny dom, mimo że cały drżał i trzeszczał, mimo że do sześciu rąk z tętnem dołączyły wreszcie ręce widmowe – uparcie trzymał pion.

– Na jajca Fenrira! – wrzasnął naraz Turu, odskakując jak oparzony od drzewa i łapiąc oburącz porzuconą siekierę.

Gdyż oto na ich oczach z czeluści pomiędzy poruszonymi korzeniami wynurzyła się wielka, lśniąca macka o barwie mroku. Oplótszy wiąz, wyrwała go do końca z ziemi, po czym odrzuciła na bok od niechcenia, jak gdyby to była zużyta zapalka. Chwilę potem na świat nocny wystrzeliła następna macka – i następna, i następna, i jeszcze, a za nimi obłe cielsko, złożone głównie z głowy, głowa zaś z paszczy przepastnej, z której dobył się niski, dudniący pomruk – pomruk zwiastujący ból, cierpienie i rychłą śmierć. Aż wtem jedna z tych potwornych macek zatoczyła łuk i nim ktokolwiek choćby mrugnął, pochwyciła oniemiałego, półżywego, utyłanego błotem Romańczuka w niszczycielskie sploty i uniosła wysoko w powietrze.

Turu zaklął szpetnie i bez zahamowań, Wehrmacht wrzasnął jednym germańskim głosem, a Tsadkiel z rozpostartymi skrzydłami w okamgnieniu rzucił się po swoją siekierę – i równie szybko znieruchomiał, brzuchem w kałuży, z koniuszkami palców zastygłymi o włos od styliska.

Bo zamiast miotać się konwulsyjnie, bryzgać posoką i generalnie w trybie przyspieszonym rozstawać się z życiem, Konrad Romańczuk jak gdyby nigdy nic pogłaskał pieścotliwie śliskie, mroczne cielsko, które trzymało go w swych uściskach, i zapytał z uśmiechem absolutnego rozrzewnienia na zmęczonej gębie:

– No i gdzieś ty się tyle czasu podziewał, powsimacko?

\*\*\*

A nad ranem świat znowu wydawał się piękny, pogoda zaś nastawiona przyjaźnie i pokojowo do ludzi i innych żyjątek. Chmury rozpiezchły się, wyżęte z deszczu. Słońce kolejny raz zawładnęło niebem i przeglądało się w taflach kałuż, które kryły ziemię. I asfalt też.

Konrad siedział na pniu obalonego wiązu i popijając trzecią już tego dnia gorącą herbatę z sokiem malinowym i świeżym rozmarynem, w milczeniu i samotności podziwiał skalę zniszczeń.

Jeszcze zanim zalegający w zaciszu prawie że salonu trzej dzielni drwale niechętnie otworzyli przekrwione oczy, a pogotowie energetyczne przywróciło prąd w tej części miasta, widma ze strychu zdążyły usunąć wbity w piętro konar i zabezpieczyć nadwerężone zadaszanie ganku. Później uprzątneły tę część bałaganu, która wymagała co najwyżej interwencji miotły i ścierki, konkretne roboty rozbiórkowe i murarskie zostawiając sobie na potem. Sprawdziły także dach, a na koniec pozbierały połamane gałęzie i zawlokły w odległy kąt ogrodu, gdzie szybko uzbierała się słusznych rozmiarów sterta potencjalnego opału. Tym sposobem jeszcze przed południem po burzliwych wydarzeniach minionej nocy zostały się już tylko nieliczne, za to najbardziej obrazowe pamiątki: szczerbata dziura zamiast okna, wypełniona deszczówką olbrzymia jama po korzeniach oraz tico, które przyjęło na dach i maskę zdecydowanie zbyt wiele ciosów wiązem i odeszło do krainy wiecznego tankowania.

No i Krakers, rzecz jasna.

Pradawny stwór z głębin zagnieździł się w piwnicy razem z drakkarem, który uznał za naturalny wystrój wnętrza. Wyściskał, wytulił i wytarł zasmarkane ze szczęścia Licho, opatrzył twarz Konrada, dorzucił utopcowi do wanny świeżego błota i badyli, połaskotał Niebożátko za uszkiem, poklepał uspokajająco już całkiem skołowaną Carmillę i raz-dwa nasmażył racuchów. Nakarmiwszy domowników do syta, zapędził ich do łóżek. A gdy wszyscy już spali snem sprawiedliwego, na horyzoncie zaś pomału zaczynał malować się świt, Krakers ściągnął i poskładał pranie, podlał zioła na kuchennym parapecie, pozmywał naczynia, nastawił zakwas na chleb i wziął się do rozparcelowywania czterech kapuścianych głów, aby upichcić gołąbki na obiad.

Dlatego też, choć piekła go pokaleczona kotem twarz, choć obolały grzbiet protestował na samą myśl o najlżejszym ruchu, a dłonie składały się z konstelacji pęcherzy i otarć, choć szlag w postaci wiązu trafił mu

i samochód, i laptopa, a on sam został bez tapczanu, bez biurka i na pewien czas także bez własnej odzieży – przez co tonął teraz we flanelowej koszuli Tura, spod której wystawały niepokojąco pasujące džinsy Carmilli – to Romańczuk, chłonąc słońce po burzy oraz cudowną woń malin i rozmarynu, koniec końców uznał, że ogólny bilans zysków i strat bezdyskusyjnie należy uznać za dodatni.

Tsadkiel był zgoła odmiennego zdania.

– Doprawdy, alleluja! – zakrzyknął już od ganku, po czym ruszył przez błoto w kierunku pnia.

O ile Konrad przy każdym kroku czuł się jak popieszczony prądem dzwonnik z Notre Dame, a wyglądał jeszcze gorzej, o tyle ani sprężysty krok, ani ogólna nieskazitelność anioła nie pozwalały się nawet domyślać trudów i przeżyć sprzed niespełna pół doby. Za to mina... jego mina wyrażała więcej niż tysiąc słów, z których przynajmniej co drugie aż prosiło się o cenzurę.

– On mi wpełza w kompetencje!

– Technicznie rzecz biorąc, Krakers wił nam gołąbki na długo przed... – zaczął Romańczuk, lecz Tsadkiel ani myślał słuchać bajek z krainy mchu i paproci.

– Więc to tak? Po to ja się męczę? – wszedł mu w słowo, biorąc się pod boki. – No, słucham? Po to urabiam się po łokcie, ślęcę nad książkami, analizuję tabele wartości odżywczych, komponuję zbilansowane, pełnowartościowe jadłospisy z uwzględnieniem indywidualnych zapotrzebowań na kalorie, mikro- i makroelementy, a potem trzy razy dziennie sterczę przy garach? Żebyś mnie przy pierwszej okazji wymienił na młodszy model? Tak bez słowa wyjaśnienia?!

– Jeśli już, to raczej na model wielofunkcyjny. Z napędem hybrydowym. Bo w ludzkich latach licząc, Krakers ma jakieś...

– ON NAWET NIE MYJE MACEK!!!

– Zapewniam cię, że myje – uspokoił go Konrad. – Tylko się z tym nie obnosi.

– Przed chwilą dodał jajko do ciasta na pierogi i teraz je wałkuje na blacie! Niedezynfekowanym, chociaż w domu jest kot, nosiciel pasożytów, bakterii i sierści! A do gołąbków użył białego ryżu zamiast brązowego! I zamierza je podać z sosem! Pomidorowym! Z PRZECIERU!!!

Akurat do przecieru jako takiego Konrad nie miał większych zastrzeżeń, natomiast gołąbki pływające w sosie pomidorowym nieodparcie kojarzyły mu się z horrorem wieku przedszkolnego, zaraz po przymusowym leżakowaniu, równie przymusowych rajstopkach, siekanym mięsie z gotowaną marchewką

na obiad oraz zimnym glucie budyniu waniliowego, fantazyjnie polanym malinowym sokiem i serwowanym na podwieczorek z sadystyczną wręcz regularnością.

– Cóż, tyle dobrego, że chociaż bez kartofli...

Lecz zanim zdążył się uwolnić od tych traumatycznych wspomnień, jego nozdrza wpięrow poraziła stołówkowa woń, po czym tuż obok niego na pniu zasiadł Turu Brząszczyk z pierwszą porcją pierwszego dania pierwszego obiadu.

– Już lubię gościa! – W głębokim talerzu na jego kolanach, szcudrze skąpane parującym sosem, dryfowały dwa wypasione gołąbki w towarzystwie kopy tłuczonych ziemniaków. – Robota pali mu się w mackach jak czarownica na stosie. Wstawił chleb do pieca, a teraz lepi pierogi szybciej niż koło gospodyń wiejskich. I nie oszczędza chochli!

– Ani arterii! – skwitował Tsadkiel wymownym prychnięciem.

– Bez obaw – podjął Konrad, zaciągając się głęboko intensywnym zapachem herbaty. Był gotów wciągnąć przez nos nawet i samą herbatę, byle uciec przed wonią i wspomnieniami, które wespół przyprawiały go o torsje. – Przyznaję, takiego obrotu spraw akurat nie przewidziałem, ale na pewno osiągniecie konsensus. Może... może ty zajmiesz się stroną koncepcyjną, a Krakery wykonawstwem? Zresztą sam zobaczysz, jeszcze będziesz błogosławił dzień... znaczy, noc, kiedy Krakery władował się z mackami w te twoje kompetencje. Jest mistrzem wypieków. Poczekaj tylko, aż weźmie się do mazurków na święta.

– Mazurki!... – jęknął Turu między jednym kęsem gołąbka z ziemniakami a drugim.

– Na święta, mój drogi, to ja już kręcę babę z dziewięćdziesięciu sześciu żółtek. I rzeźbię baranki z masła – odparł sucho anioł. – A mazurkami gardzę!

– Każdemu jego porno! – rzucił wiking znad talerza, odurzony wizją wielkanocnych słodkości, które go czekały. – Ty sobie rzeźb, gardź i kręć, czym tam lubisz, a Krakery niech się spełnia w kajmaku. I w migdałach. I w skórce pomarańczowej...

Naraz przez ogród przetoczył się gardłowy pomruk.

– Oczywiście, że mamy kalarepę! – odpowiedział mu z oburzeniem anioł stróż i obróciwszy się na pięcie, pomaszerował z powrotem do domu. – Doprawdy, alleluja, wystarczy wziąć oko do macki! Masz do czego!!!

– Ty serio myślisz, że się jakoś dogadają? – Turu łypnął z powątpiewaniem na Konrada, który westchnął ciężko nad kubkiem, aż mu rozmaryn zawirował.



– A ty serio pytasz? Tsadkiel kroi warzywa od linijki, naleśniki wytycza cyrklem, a gdyby miał nieograniczony dostęp do komputera, każdy posiłek planowałby w arkuszu kalkulacyjnym. Za to Krakers wierzy w bomby kaloryczne dalekiego zasięgu jako uniwersalną gwarancję powszechnego szczęścia i pokoju między narodami i gatunkami świata.

– Czyli nie.

– Oczywiście, że nie. Krakers nie znosi, jak mu ktoś miesza w garach, a Tsadkiel nie uznaje kompromisów. Ani konkurencji. I jeszcze paru innych pojęć na K.

– Czyli bardzo nie.

– Ano nie.

– Czyli czekają nas kłopoty... Bo to pojęcie na K akurat Zadkiel uznaje. Kultywuje wręcz.

I tu Konrad, wbrew twarzy i okolicznościom, uśmiechnął się od ucha do ucha.

– No właśnie niekoniecznie...

– Ejże, Konradenku! A coś ty tam znowu uknuł? – zapytał Brząszczyk, ocierając brodę i wąsy z pomidorowych zacieków.

– Jeszcze nic konkretnego – odparł wymijająco Romańczuk. – Mam pewną wizję wstępną, ale potrzebuję trochę czasu i warunków, żeby wszystko dobrze przemyśleć. Najpierw musimy załatać kilka dziur... i strawić kolejne święta. Dziewięćdziesiąt sześć żółtek, Borze Tucholski...

– Nie takie rzeczy się w życiu trawiło. A to – wiking lekceważąco machnął widelcem na szczyrbaty dom – to jest pikuś. Przeciągnie się szpachlą, zawiesi firaneczkę i po krzyku. Natomiast tu... – Umilkł i zmarszczył brwi, przypatrując się jamie w ziemi. Aż naraz jego brodata gęba zaczęła się rozpromieniać. – Tu, bratku... tu się doleje wody, sypnie kamyczkami, dorzuci jakieś żaby, pasikoniki czy owieczki, że niby wiesz, dla efektów wizualno-dźwiękowych typu idyllicznego, a na koniec – wyprostował się z triumfalnym błyskiem w oku – na koniec, bratku, zwozujemy drakkar!

## Rozdział 19

Olśnienie czyhało gdzieś na wysokości groszku w puszcze.

Oślepiiony z zaskoczenia Romańczuk zastygł w pół kroku, uczepony sklepowego wózka niczym ostatniej bariery, za którą czatowała twarda rzeczywistość wraz z szerokim repertuarem skutków ubocznych, podczas gdy trybiki w jego głowie już zasuwały na pełnych obrotach, już ze zgrzytem i chrzęstem wykańczały koncepcję – śmiałą, ryzykowną, budzącą grozę i przerażająco logiczną – a przy okazji i jego samego. Mógł jedynie przypatrywać się całemu procesowi i pośród konserwowych warzyw czekać bezradnie na ostateczny wynik, by się z nim pogodzić. Z tego wszystkiego wrócił do domu bez proszku do prania, za to z najbardziej ordynarnym majonezem, pełnym tłuszczu, cholesterolu i konserwantów. Zostawiwszy zakupy za progiem kuchni na pastwę zręcznych macek, udał się na piętro, do pokoju, w którym urzędował Tsadkiel.

Święta wielkanocne dowiodły niezbitcie, że choć sarna sarnie nie wygarnie, to anioł stróż pradawnemu potworowi jak najbardziej. Zresztą z wzajemnością. Zaczęło się już na etapie ustalania listy potraw, kiedy to ofiarą zażartej dyskusji nad wyższością żuru nad barszczem białym – bądź odwrotnie – padł nieoczekiwanie kuchenny stół. Turu rozsłochał się jak bóbr, własną pierśią broniąc doczesnych szczątków mebla przed podłymi padlinożercami, którzy zaraz się zewsząd zlecieli, żeby je rozdziobać niczym te kruki, wrony, zamiast podjąć próbę reanimacji za pomocą dużych ilości kleju.

– Ten stół to zabytek! Obiekt kolekcjonerski! – Ku konsternacji, ale też rozpaczki Konrada zawodził raz po raz nad każdą szczapą, każdym wiórem.

– Toż to zwykła paździerzowa Ikea!

– Ale z wycofanej kolekcji!!!

Korzystając z powstałego wówczas zamieszania, różowe króliki wywlokły z szafki koszyczek i skonsumowawszy czym prędzej bukszpan wraz z serwetką i łbem cukrowego baranka, dobrały się do świętego jajka. Święte jajko było drewniane, pamiątkowe, malowane ozdobnie i bez umiaru. Pamiętało czasy, kiedy dziadunio Brząszczyk nie zgłaszał jeszcze żadnych zastrzeżeń co do wykorzystywanych w polszczyźnie znaków interpunkcyjnych. Rokrocznie lądowało w koszyczku, gdzie pełniło funkcję

reprezentacyjną, a w razie konieczności także dywersyjną, swą wspaniałością odwracając uwagę od nadgryzionej kiełbasy bądź innych niedostatków święconki, i wskutek wielokrotnego kontaktu z kropidłem uzyskało stężenie świętości nieosiągalne dla żadnej tradycyjnej pisanki jednorazowej, choćby i najpiękniejszej, lecz prędzej czy później skazanej nieodwołalnie na smutny los zbuka. Niestety, wobec swędzących króliczych zębów nawet skumulowana świętość okazała się bezradna. Doznawszy kolejnej tak niepowetowanej straty, Turu Brząszczyk załamałby się już całkowicie, gdyby nie cała blacha różanego mazurka z marcepanem, którą współczujące macki wcisnęły mu razem z widelczykiem do ciasta.

Później obydwaj przedstawiciele sił opozycyjnych przystąpili do masowego szatkowania. Przez jakiś czas panował względny spokój, aż naraz konflikt rozgorzał z nową siłą. Poszło o ilość majonezu na centymetr sześcienny sałatki jarzynowej, choć pierwsze zgrzyty pojawiły się już na etapie ustalania jej składu. Tsadkiel, zwolennik wersji z groszkiem i ogórkiem kiszonym, trwał nieugięcie na straży poziomu cholesterolu i drożności arterii domowników, Krakers z kolei ponad groszek przedkładał kukurydzę z towarzyszeniem jabłka i nie przyjmował do wiadomości, że może istnieć coś takiego jak dawka krytyczna tłuszczu albo zator tętniczy. I gdy już niewiele brakowało, by w ruch poszły macki i miecze ogniste, do akcji wkroczyła Carmilla i przytomnie wcisnęła zdumionemu aniołowi opasłą teczkę z gumką na skraju wytrzymałości.

– W środku masz schemat rozszerzania diety w pierwszym roku życia niemowlęcia, listę potencjalnych alergenów z uwzględnieniem alergii krzyżowych, zalecenia Światowej Organizacji Zdrowia, porady logopedyczne, ulotki i broszury poszczególnych producentów, krajowych i zagranicznych oraz szczegółowy wywiad rodzinny – wyliczyła. – Marzy mi się... tabela. Taka na pół ściany, kolorowa jak koszmar daltonisty. Albo wykres. Albo diagram wykonany szlachetną techniką linorytu, cokolwiek, byle prezentowało jak krowie na miedzy, czym, kiedy i w jakich ilościach można futrować takie Niebożątko, żeby pierwszego Nobla odebrało, zanim z rżnięcia w pieluchy przerzuci się na nocnik. Oni są już straceni. – Skinęła na niedożywionego Konrada i przeżywionego Tura, którzy przybyli na odsiecz pozostałym przy życiu elementom kuchennego umeblowania i z bezpiecznej odległości podziwiając tę prostą manipulację, jaka zachodziła na ich oczach, czekali na rozwój wydarzeń. – Ale dla mojego syna wciąż jest nadzieja. Niestety – westchnęła ze starannie symulowanym smutkiem – ja poległam już przy wyborze pierwszej rozciapanej marchewki, nie ogarniam tego. Więc...

jak nie ty, to kto?

Każde słowo Carmilli trafiało idealnie w cel. Misja „Słoiczek” nie była co prawda rozwiązaniem dalekosiężnym i na dłuższą metę wcale nie likwidowała problemu, ale na jakiś czas zapewniła Tsadkielowi zajęcie z dala od kuchni, macek i ostrych narzędzi. Domownicy rodzaju ludzkiego chwilowo odetchnęli z ulgą, a Krakiers nie dość, że mógł od tej pory chlustać majonezem bez opamiętania, to jeszcze zdążył sprokurować na święta kolejną blachę mazurka oraz, nieco z rozpędu, sernik wiedeński rozmiarów opony.

W rezultacie Wielkanoc minęła im bez ofiar w aniołach czy pradawnego sushi – acz niewiele brakowało, nie obyło się bowiem bez mierzenia warstwy kajmaku i przeliczania jej na kilokalorie – a po niej kolejne błogie dni, które ośmieliły się przeciągnąć w tygodnie. Lecz teraz, gdy świat szykował się na powitanie zielonego, ciepłego maja, Konradowi Romańczukowi wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że wszystkie anioły, nijakie i męskoosobowe, mają chyba wrodzoną skłonność do flamastrów. Dwumetrowa rolka papieru, na którą Tsadkiel pieczołowicie i precyzyjnie, nie szczędząc artykułów piśmienniczych, nanosił swój autorski schemat żywienia Niebożątka, dobiegała już końca, a wraz z nią sielanka na tle kulinarnym. Olśnienie przyszło w samą porę, więc Konrad tym bardziej nie mógł go zignorować, choćby nawet chciał.

A nie chciał.

Bo to naprawdę miało sens.

Siedzący na podłodze w pozycji kucznej zgarbionej Tsadkiel podniósł głowę znad ostatniego metra rolki.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał, nie doczekawszy się żadnego komunikatu ze strony pogrążonego w myślach Konrada.

Owszem, mógł. Właśnie on i tylko on, nikt inny – perfekcja i pedanteria wcielona, uporczywa i uprzykrzona w stopniu niedoścignionym, od zewnątrz impregnowana obsesyjną drobiazgowością, od wewnątrz zaś wzmocniona dodatkową warstwą głębokiego poczucia misji. Patrząc na ujęty w misterną, wielobarwną tabelę rezultat anielskich analiz żywieniowych, Romańczuk ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, które go tu przywiodło.

– Ty jesteś upierdliwy.

– Precyzyjny – poprawił go błyskawicznie Tsadkiel, na co Konrad machnął lekceważąco ręką.

– Jeden pies, nie bądźmy już tacy drobiazgowi...

Anielska brew drgnęła niemal niezauważenie.

– Kiedy ja właśnie jestem – odparł sucho.

– No toż właśnie mówię. Jesteś upierdliwy. A ja chyba już wiem, w czym mógłbyś znaleźć prawdziwe życiowe spełnienie. Zostaw na chwilę te kredki i chodź.

Wraz z wywleczonym na światło dzienne Brząszczykiem zasiedli we trzech za zamkniętymi drzwiami prawie że salonu, gdzie na czas łatania jego pokoju chwilowo gnieździł się Romańczuk. Tam, odchrząknawszy, Konrad zebrał się w sobie, po czym krótko i węzłowato wyłuszczył wikingowi i rośtemu aniołowi plan, który od dłuższego czasu chodził mu po głowie.

Kiedy skończył, zapadła długa cisza.

Turu spojrzął najpierw na Tsadkiela, który zamienił się w słup soli i ani drgnął, potem zaś na Romańczuka, ze szczególnym uwzględnieniem znaczących jego czoło świeżych blizn. I tych starych. I tych w średnim wieku też.

– Konradenku, ptaszyno, ja wiem, że ty się z nadmiaru snu przerodziłeś ostatnio z tępej dzidy faszerowanej agresją w krainę szczęśliwości, co to po niej pierdzące watą cukrową jednorożce pomykają, i że się z tymczasowego braku katakumb przez pół dnia napawasz blaskiem słońeczka, ale jesteś pewien, że nie przegrzałeś sobie jakiegoś kluczowego obwodu?...

Konradeniek, ptaszyna, roześmiał się w odpowiedzi.

– No ale sam przyznaj, to ma sens!

– Nie no, może i ma, trochę boję się wnikać, żeby mi się nie udzieliło, ale... skąd ta nagła zmiana frontu? Zaklinałeś się, że nigdy, przenigdy, że po twoim trupie, a ja tu widzę jak na dłoni, że ty ciągle dychasz!

– A dycham, owszem, dycham.

– Znaczy co, planujesz rychły zgon? – Turu zaniepokoił się szczerze. – Mam ci już gustowną trumienkę rychtować? Sosna, dąb, płyta wiórowa?

– Po prostu doszedłem do wniosku, że jak generalnie nie trawię dziadygi, tak w jednym muszę temu... znaczy, Pawłowi przyznać rację. Faktycznie, mam doświadczenie w tym temacie.

– A w tobie obudziła się dusza kolekcjonera i musisz mieć je wszystkie? Ale kojarzysz, że mówimy o dożywotnikach, nie o pokemonach? No wiesz, widma, strzygi, poeci i inne poczwary?

– Jak dokładnie to sobie wyobrażasz? – odezwał się nieoczekiwanie Tsadkiel.

– Sam pomyśl. Każdy pod tym dachem nareszcie ma zajęcie, w którym się spełnia. Licho napawa się froterką i Niebożątkiem. Carmilla wróciła do znęcania się nad autorami, Krakery do garów, a Wehrmacht poszedł ostro w remonty. Nawet Turu się przebranżowił i rżnie z powodzeniem grzechotki

bojowe. Zostaliśmy tylko my dwaj, Tsadkielu. Ty lada moment znów nie będziesz miał stałego zajęcia i zapewne z nudów zaczniesz być... cóż, sobą. Intensywnie. Bezcelowo. A ja chciałbym, naprawdę chciałbym całkiem rzucić te fuchy i wrócić do pisania, skupić się tylko na tym, ale nie za bardzo mogę, bo nie utrzymam z tego domu pełnego... no, wszystkich.

– No fakt, na pochyłe drzewo i Salomon nie należy...

– Ach, dziękuję ci, Turu, za te wyrazy otuchy i szczerego uznania. A wracając do tematu. Dlatego zacząłem się poważnie zastanawiać, co takiego mógłbym robić, żeby zarobić na życie, jednocześnie tego życia nie tracąc. Potrafię pisać, ale co jeszcze?

– Złorzeczyć.

– Sarkać.

– Szydzić.

– Wkurzać się.

– Wkurzać innych.

– Wku...

– Tak, dziękuję, zrozumiałem! – przerwał im Konrad. – Zastanawiałem się więc i przypomniałem sobie, co powiedział mi Paweł. Jest jeszcze jedna dziedzina, w której mam doświadczenie. I to spore, wręcz ponadprzeciętne. Użeranie się, ogarnianie, okiełznywanie i tak dalej. Można by rzec, że jestem rzadkim specjalistą w tej dziedzinie. A teraz na dodatek mam ciebie. – Wskazał Tsadkiela palcem. – Ty zaś masz... niepowtarzalne predyspozycje. Jesteś zorganizowany, drobiazgowy aż do przesady i nigdy nie odpuszczasz. Z twoją i tylko twoją pomocą to wypali. Z twoją pomocą dam radę. – Nabrał głęboko powietrza. – Założę przytulisko dla niechcianych dożywcotników i ujdę z tego z życiem. A może nawet, kto wie, ze zdrowymi zmysłami?...

\*\*\*

Podczas gdy Konrad, nie żałując tegesu, intensywnie pracował nad Turem, który teges, owszem, przyjmował chętnie, lecz o kolejnych istotach nadprzyrodzonych w domu nawet nie chciał słyszeć, Tsadkiel zakasał rękawy. Ukończywszy czym prędzej dwumetrowy schemat dla Carmilli, by mogła fachowo poszerzać dietę przyszłego noblisty, przystąpił do dzieła. Zaczął od inwentaryzacji niewykorzystanej powierzchni potencjalnie mieszkalnej, z uwzględnieniem schowków, kanciap, składzików i zakamarków wszelkich kształtów i rozmiarów. Przy każdym pomieszczeniu odnotował informacje szczegółowe, takie jak czas nasłonecznienia, poziom wilgotności powietrza

czy zasięg sieci komórkowych. Następnie, korzystając z pogłębiającej się nieuwagi i nietrzeźwości prawowitego właściciela, zawłaszczył nowy laptop Konrada, by zamknąć się z nim na cztery spusty w swoim pokoju, skąd wyłonił się dopiero wczesnym popołudniem dnia następnego.

– Doprawdy, alleluja – skwitował krótko, lecz wymownie stan, w jakim obydwa mężczyźni, przyssani do butelek z wodą, zalegali bezwładnie w prawie że salonie, wracając do żywych w tempie pełzającym. – Mam nadzieję, że w trakcie intensywnych prac nad zatruciem alkoholowym chociaż doszłicie do konsensusu.

– Doszliśmy do kaca – wycharczał Turu z kanapy. Spod skotłowanego pledu w kratę wystawały mu tylko bosc, włochate stopy. – Też na K.

Skulony na fotelu Romańczuk tymczasem podjął męską decyzję. Wyściubił nos spod swojego koca i uchylił nieco powieki, by namierzyć źródło ogłuszającego szelestu, od którego chciała mu pęknąć głowa. To rosły anioł, rozsiadłszy się przy stoliku turystycznym ze stertą papierów, rozkładał je przed sobą metodycznie i bez śladu litości dla cudzych cierpień.

– Od strony technicznej wygląda to następująco. – Wertując gęsto obsiane liczbami wydruki, zwrócił się do zmartwychwstających zwłok Konrada: – Działalność związana z zakwaterowaniem krótkotrwałym w cyklu dziennym bądź tygodniowym nie wchodzi w grę, to samo usługi pomocy społecznej z zakwaterowaniem. Sanepid raczej nie przełknie gigantycznej matwy w roli szefa kuchni zamiast przystawki... Brałem też pod uwagę, cytuję, działalność usługową związaną z opieką nad zwierzętami domowymi w zakresie wyżywienia, pielęgnowania, strzyżenia, pilnowania i tresury. Ostatecznie proponuję działalność astrologiczną i spirytystyczną jako najbezpieczniejsze i najprostsze rozwiązanie. Kod PKD dziewięćdziesiąt sześć kropka zero dziewięć kropka zet, czyli, cytuję, pozostała działalność usługowa, gdzie indziej niesklasyfikowana. Tu masz druczek. Stawka VAT dwadzieścia trzy procent. Trzeba będzie na początku zainwestować w program komputerowy do fakturowania, ale to się wrzuci w koszty. Urząd skarbowy właściwy dla...

– Na słodkie renklody Idun – szepnął Turu, wyłaniając się spod pledu współ z przerażeniem i podziwem, które ogarnęły go zgodnie. – Toż to urodzona biurwa szturmowa...

– Mówiłem.

– Mówiłeś, bratku, mówiłeś. A ja byłem jako ten cymbał w uchu igielnym...

– ...w tym ubezpieczenie społeczne, zdrowotne i chorobowe – perorował anioł, głuchy na ich komentarze. – Tu masz druczek. Jednakże przy ustalaniu

czesnego nie brałbym pod uwagę składek preferencyjnych, tylko docelowe, co pozwoli nam uniknąć znaczącej podwyżki po dwóch latach działalności. Względy marketingowe, sam rozumiesz. Za to koniecznie musisz wykupić ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej dla małego przedsiębiorcy. Tu masz druczek. Nie obędzie się też bez osobnego konta bankowego...

– Tu mam druczek – domyślił się Konrad, przyjąwszy w końcu bardziej pionową pozycję.

– ...oraz mailowego. Tu masz adres i hasło. Strona internetowa raczej nie będzie potrzebna, wszak zależy nam na dyskrecji.

– No tak, jasne, jasne...

– Cóż. Tyle od strony administracyjnej. Teraz konkrety. Pozwoliłem sobie zalogować się dyskretnie na forum, na którym się udzielasz. – Tu obrzucił Romańczuka spojrzeniem przelotnym, lecz bezsprzecznie potępiającym. – Doprawdy, alleluja, dziwię się, że nie szkoda ci na to czasu, ale cóż. Jesteś dorosły, robisz, jak uważasz...

– Tylko uważaj, jak robisz! – wtrącił wiking.

– Właśnie. I w tym celu przeanalizowałem historię użytkowników, ich wpisy, statystyki aktywności, procentowy udział w konkretnych wątkach i tak dalej. Przeprowadziłem również szacunkową ocenę ryzyka dla poszczególnych dożywoćników i na tej podstawie opracowałem wstępny szczegółowy kwestionariusz osobowy.

– I tu też mam druczek?...

Tsadkiel prychnął i pokręcił głową.

– Doprawdy, alleluja. Tu masz zestaw druczków! Kwestionariusz osobowy, umowa wstępna, umowa właściwa, załączniki do umowy, kolejno od A-1 do G-17, trzy projekty kosztorysu, wzór oświadczenia o niekaralności, oświadczenia o stanie rodzinnym oraz oświadczenia o wyrażeniu zgody na przetwarzanie danych osobowych do celów rekrutacji.

Brząszczyk nie zdierżył i zachichotał, ryzykując wstrząsem mózgu.

– A zgoda proboszcza i obojga rodziców?

– Brałem taką opcję pod rozwagę na pewnym etapie – przyznał Tsadkiel, który jak zwykle nie złapał ironii – obawiam się jednak, że stoi w sprzeczności z Europejską Konwencją Praw Człowieka i mogłaby posłużyć za podstawę zaskarżenia wyników rekrutacji przed sądem powszechnym.

– Zadkieleczku, ty poważnie zakładasz, że ktoś poszedłby do sądu, bo jego dziwożona nie dostała się do przedszkola dla nadmiernie przyrodzonych?...

– Ludzie są dziwni – odparł krótko anioł, jak gdyby to wszystko wyjaśniało.

– Rekrutacja siłą rzeczy musi być długa i wnikliwa. To pozwoli nam



uniknąć...

– ...powtórki z wątpliwej rozrywki? – bąknął Brząszczyk, pociągając haust wody w sposób znaczący.

– Chciałem powiedzieć „niespodzianek” – ametystowe oczy poraziły go chłodem – ale można to i tak ująć. Jak już mieliśmy okazję się przekonać, podstawą jest częsta aktualizacja danych adresowych i kontaktowych, poparta ich wyrywkową weryfikacją pod groźbą dotkliwych kar finansowych. Rozważyłbym też dodatkowe zabezpieczenie w postaci weksla. Ponadto zależy nam na uzyskaniu kompletu pensjonariuszy o niskim prawdopodobieństwie skonfliktowania, stosunkowo samodzielnych, wymagających animacji w stopniu co najwyżej umiarkowanym. Potrzebujemy zatem informacji o gatunku, płci bądź płciach, alergiach i innych chorobach, specjalnych dietach, wymaganiach lokalowych, nietypowych zwyczajach, trybie istnienia – gdyż w przypadku kilku kandydatów na kandydatów trudno mówić o życiu *sensu stricto* – o rytmie dobowym, miesięcznym i rocznym, fobiach i tak dalej, i tak dalej. Wszystko to uwzględniłem w kwestionariuszu osobowym. I musimy przy tym zachować wzmożoną czujność. Po analizie wpisów podejrzewam jednego z gnomów o skrywany ludziowstręt, utrwaloną awersję do wietrzenia i zaawansowany świerzb. Uwierzcie, za żadne pieniądze nie chcielibyście mieszkać z kimś takim – za to dalibyście każde, byle się go pozbyć.

– Powierz mu jeszcze windykację spóźnionych należności – szepnął Turu do Konrada – a idę o zakład, że będzie jak Hugh Jackman w *Ściganym*...

– Jak Tommy Lee Jones.

– On też.

– Kluczem do sukcesu całego przedsięwzięcia – ciągnął tymczasem Tsadkiel, podsuwając Romańczukowi kolejną kartkę – jest desperacja i konkurencja.

– A tu mam druczek także i na tę okoliczność, tak?

– Nie, tu masz proponowany tekst ogłoszenia o otwarciu rekrutacji. Po przyjęciu zgłoszeń o charakterze spontanicznym oraz odsianiu przypadków nierokujących podamy do publicznej wiadomości listę przedwstępną – z podkreśleniem, że liczba miejsc jest ograniczona. W ten sposób, wykorzystując ludzką skłonność do irracjonalnej intensyfikacji starań o dobra reglamentowane, zapewnimy sobie możliwie szeroki wybór kandydatów. A potem z uwagą pochylimy się nad każdym nadesłanym kwestionariuszem i będziemy przebierać w dożywotnikach jak w ulęgałkach. Wybór optymalnej konfiguracji pozwoli nam w dalszej kolejności na rozplanowanie kwaterunku,

dokładne wyliczenie kosztów utrzymania, narzutu...

– I co teraz powiesz, Turu? – zapytał Konrad półgębkiem, nie bez satysfakcji łypiąc na wikinga.

Brząszczyk, zaplątany w kraciasty pled, własne włosy i chaotyczne myśli, nie mógł wprost oderwać oczu od rozprawiającego nieustannie anioła stróża i jego stosu profesjonalnych druczków.

– To się może udać. To się naprawdę może udać... Mamy jeszcze teges?

## Rozdział 20

Majowe, teoretycznie wciąż wiosenne, ale już niosące wyraźną zapowiedź lata słońce sprawiło, że domownicy w pełnym składzie wylegli z życiem codziennym do ogrodu. Nawet Niebożatko, z wypiętym ku nieboskłonowi kuprem w pieluszcze i obnażoną golizną tłusciutkich kończyn, spoczęło na kocyku w pozie nieskrępowanej i wspólnie z ośmioma różowymi królikami skubało radośnie zieloną, soczystą trawę. Kawalek dalej ich matki korzystały z chwili świętego spokoju od nachalnego potomstwa i razem ze Zmorą oddawały się zgodnie obróbce pazurów skrawaniem.

Po załatwieniu dziury w domu trzyosobowy oddział Wehrmachtu zabrał się z życiem po życiu za dziurę w ziemi, krok po kroku przeistaczając ją z otchłannej wyrwy o niezaprzeczalnie piekielnych konotacjach w przyjemną sadzawkę z bukolicznym sznytem. Konrad dość długo stawiał opór przeciwko przekuciu rozbuchanych urojeń Tura w kosztowne czyny, zwłaszcza gdy dostał do ręki listę bylin, sadzonek i elementów rzekomo dekoracyjnych wraz z poleceniem zastawienia się a postawienia w najbliższym centrum ogrodniczym. Zmiękł nieco, kiedy różowe króliki hurmą wyroiły się na łono natury i zamiast pałętać się ciągle pod nogami z zamiarami beztrudnie zbrodniczymi, zaczęły buszować w najlepsze w stercie gałęzi, czyniąc poważne przymiarki do zamiany dotychczasowych domowych pieleszy na letnią rezydencję pod gołym niebem. A to – na tę myśl prawie zaparło mu dech w piersi – to oznaczało koniec tuptania, koniec fukania, koniec skubania, podgryzania i prób wpierniczenia wszystkiego, co szeleściło, szurało albo leżało w sposób jawnie prowokacyjny, a nie zdołało dostatecznie szybko uciec przed wiecznie śwędzącymi zębami. Chwilę później Romańczuk stał się świadkiem pierwszego kontaktu wniebowziętego Niebożatka z emocjonalnie obojętną na ten precedens przyrodą w postaci mnogości barw, pieszczotliwego wiatru oraz obiektów pełzających i wtedy rozmiękł już zupełnie niczym biskopt za długo moczony w herbacie.

Szałę przeważył utopiec. Wywabiony powszechnym poruszeniem i przemieszczeniem mas ku światu zewnętrznemu, wyściubił nos na ganek – i ujrzał powstającą w ogrodzie sadzawkę. Na ten widok z natury wyłupiaste gały stwora nie tyle pogłębiły, ile uwypukliły ów stan, grożąc wypadnięciem i nieprzystojnym dyndaniem. Sekundę później w jego duszy, starannie

zagrzebanej pod warstwami cielesności, oślizgłości i szlamu, rozległ się pierwotny zew. Czymże bowiem była łazienka, choćby i cudownie zawilgła, rozkosznie zatęchła, wypełniona pieczołowicie gromadzonym mułem i ociekająca wilgocią, w której bujnie rozkwitała pleśń wspólnie z grzybem, wobec prawie naturalnego zbiornika wodnego z prawdziwego zdarzenia, zasilanego deszczem, butwiejącymi liśćmi i ślimakami dowolnych gatunków?

Niczym, odparła bez namysłu utopczowa dusza.

– Podobno wspólne włóczenie się po terenach zielonych wzmacnia więzi stadne – klarował właśnie Turu Brząszczyk nad sadzawki brzegiem, z siekierą w dłoni apelując do uczuć wyższych coraz bardziej miękącego Romańczuka, który co prawda pogodził się już z koncepcją bajora o charakterze dekoracyjno-rekreacyjnym, za to wciąż wzbraniał się przed pełną rozpustą ogrodową i obsesyjnie obstawał przy minimalizmie, najlepiej z jakiejś miłej portfelowi wyprzedazy.



- Nie no, owszem, wzmacnia. Tyle że u antylop!!!
- Oj, no i po co ty się znowu tak pieklisz, Konradeńku, no po co?...
- Nie po co, tylko za co! A dokładnie za siedemset dwadzieś...

I wtem, tuż między nimi, śmignął klucz gumowych kaczek, po czym wylądował w sadzawce, siejąc popłoch w szeregach zaskoczonego Wehrmachtu. W ślad za ptactwem podążyły kolejne przedmioty – świecący spazmatycznie delfinek, młyn wodny, trzy nakręcane żaby, pistolet na wodę z podwójnym magazynkiem, zestaw piszczących lektur i porażająca brokatem

Barbie syrenka – na koniec zaś ich właściciel wskoczył do wody na bombę. Niemcy, którzy zamierzali wpuścić tam rybki ozdobne, a nie utopce o wątpliwej urodzie, niezwłocznie wnieśli protest zbiorowy.

– Ej, a skąd ty to wszystko wzięłeś? – zawołał za nim Romańczuk, ignorując oburzone szwargotanie widm. Tknęło go coś nieokreślonego, co pojawiło się znikąd i teraz uparcie smyrało go w podświadomość.

– Jak to skąd? – zbulgotał stwór z odmętów sadzawki. – Ze źródła wszelkiego zła, głupoty i zbędnych maneli.

– Znaczy, z internetów! – domyślił się Turu. – Ale... czekaj no, jak tyś za te wszystkie fanty zapłacił? Bo chyba... hm, chyba nie w naturze, co? Nerką? Albo świńskimi fotkami? Nie żebym potępiał, wszystko dla ludzi i nieludzi też, ale wiesz, takie rzeczy lubią wracać. Zapoznasz jakąś miłą żabę, doczekacie się gromadki kijanek, a tu jebut, niespodzianka, tatuś uwieczniony w koronkach albo jeszcze, nie daj borze mieszany, w japonkach do kompletu...

Tymczasem Konrad skupił się intensywnie na nieco innym aspekcie poczynionego odkrycia, zapatrzony w kolorowe gumowe kaczuszki, które kolebały się na wodzie wokół żabowatego utopca. Jedna była zielona w białe kropeczki.

I naraz skojarzył.

– Konraduuuuuuuu! – zapiał, wchodząc w paradę utopcowi, który właśnie rozwierał paszczę, by uspokoić Tura w kwestii kompromitujących japonek.

– No i czego znów wyjesz jak potępieniec? – zdumiał się wiking, z wrażenia o mały włos nie upuściwszy siekiery.

– UUUUUUUUU! Konrad U. Romańczuk! Konrad U jak utopiec, którego zaraz żywcem obedrę z tej śliskiej, parchatej skóry, Romańczuk!!! To do ciebie przychodziły te wszystkie znikające przesyłki, nie do mnie! I to ty je cichaczem zgarniałeś!

Utopiec wywalił ozór na całą jego siną, cętkowaną długość.

– Och, wypłacz mi taką rzekę, to może się przejmę. Trzeba było nie zapisywać jak ostatni matoł haseł dostępu w przeglądarce. A już zwłaszcza numeru karty płatniczej w ustawieniach płatności paru sklepów – dodał i wyszczerzył krzywe, ostre zębiska niczym przerośnięty szczupak do niewinnego narybku. Nakręcił sobie jedną żabę i patrzył z upojeniem, jak wywijala plastikowymi łapami, młóćąc rażno mętnawą wodę.

– Widzisz? – zwrócił się Turu do Konrada, który z całych sił starał się nie zgrzytać. – Dzięki sadzawce oderwał się od twojego komputera i od razu odżył, nabrał kolorów... paskudnych, ale jednak kolorów. Odnalazł na nowo

utraconą pasję... Ciągłe zamknięcie w czterech ścianach źle mu robi na psyche i fizys.

Precyzyjnie wymierzona gumowa kaczuszka trafiła wikinga w sam środek czoła.

– Sam jesteś fizys! – zaskrzeczał utopiec i tyle go widzieli.

Dla złagodzenia szoku Turu ostatecznie zgodził się wykreślić z listy jedną z dwóch ton otoczków oraz figurę Posejdona z trójzębem, którego zamierzał cichaczem przerobić na Njörda z wodotryskiem oraz ledowymi reflektorkami, i zabrał się do rzezania siedziska w obalonym wiązcie, żeby przetransformować go w rustykalną ławeczkę. Konrad zaś, tłumiąc wewnętrzne łkanie, wsiadł do ocalałego z nawałnicy złotego matiza i ruszył szastać resztkami forsy.

Kiedy jakiś czas później zajechał z powrotem przed dom, z pustkami w portfelu oraz zaczątkiem kniei na tylnym siedzeniu i w bagażniku, po drugiej stronie przedniej szyby zobaczył scenę jak gdyby żywcem wyjętą z jednego ze swoich najczarniejszych koszmarów. I to nie tego, w którym jechał przegubowcem na drugi koniec miasta, modląc się, by nikt nie zauważył, że nie ma na sobie gaci.

Na powierzchni sadzawki majestatycznie kołysał się drakkar. Wszyscy domownicy, od zestawu futrzaków aż po komplet widm z importu, stali w kręgu i deliberowali półgłosem nad spoczywającym na trawie jutowym workiem.

Wraz z zawartością.

Słyszając za plecami znajome rżenie silnika, Carmilla odwróciła głowę i zawołała:

– Te, Konrad, panna ci uschła!

– Obiecałeś! – ryknął na to Romańczuk, wypadając ze złotego matiza niemalże razem z drzwiczkami. – Obiecałeś, że go nie zwodujesz!!!

– Kiedy to nie ja! – Brząszczyk zaprotestował gromko przeciwko tak jawnej potwarzy. – Już dawno bym to zrobił, gdybym był w stanie go w ogóle wywlec z piwnicy!

I jakby na potwierdzenie uczciwości wikinga przez drzwiczki pod gankiem wyślizgnęła się zręczna macka i przemknąwszy między domownikami, zabujała drakkarem jak dziecko plastikowym stateczkiem w kąpielu. Z głębin piwnicy dobiegł pomruk pradawnego rozbawienia.

– Te poetyczne zawsze miały tendencję do usychania – stwierdziła Carmilla bez oznak większego przejęcia dokonany odkryciem. – Aczkolwiek zwykle usychały z żalu albo tęsknoty. I jakoś tak... mniej dosłownie... Nie pamiętałeś

o podlewaniu czy jak?

– Nie, nie pamiętałem – wysyczał. – Tak samo jak o regularnym nawożeniu i przycinaniu pędów!

– A kto bądź co to tak w ogóle jest? – zapytał Tsadkiel, który przykleknął obok i rozchyliwszy jutowy worek, studiował jego zdrewniałą zawartość. – Rzeźba?

Konrad nabrał głęboko powietrza. Wewnętrznie aż nim zatelepało, jak gdyby zrobiło mu się nagle bardzo zimno w duszę. Pogodzić się z utratą ukochanej w zaciszu własnej osoby to jedno – ale zwierzać się z czegoś takiego masowemu, ciekawskiemu odbiorcy to już insza inszość. Zwłaszcza że ów odbiorca wykazywał się teraz empatią na poziomie omszałego głazu albo wprost przeciwnie, gapił się na niego wielkimi oczyskami we wszystkich kolorach tęczy i naiwności, zadając nieme pytanie: „Ale jak to? Przecież mówiłeś...”.

Zresztą Konrad wcale nie chciał tego robić. Nie chciał nikomu o niczym opowiadać, nie chciał, by ktokolwiek poza nim i Turem zobaczył, co się naprawdę stało z Puk. Wolał ukrywać jej zdrewniałe ciało w drakkarze i udawać przed Lichem, że świat wcale mu się nie zawalił bez ostrzeżenia, że hamadriada nie umarła pewnej zwyczajnej nocy, tylko odeszła od niego bez słowa wyjaśnienia – co akurat brzmiało sensownie, zważywszy na jej ograniczone słownictwo – uciekając z powrotem na łono natury przed smrodem miasta, do którego ją sprowadził. Dlatego nie ustąpił, dopóki nie wybił wikingowi ze łba pomysłu z tym całym wodowaniem. Niestety, nie wziął pod uwagę nadgorliwych macek Krakera.

– To jest Puk – odparł wreszcie z lekka drżącym głosem. – Hamadriada. Moja... moja... no, hamadriada. Przez przypadek uratowałem ją zeszłego lata z wycinki lasu niedaleko naszego poprzedniego domu. A jesienią ona... ona...

– Ej, bratku, a Puk to od pu...

– Samo wymyśliłem! – Licho nie wytrzymało i pisnęło z dumą, nieprzerwanie telepiąc zaślinionym Niebożątkiem.

– ...czyli nie. Dobra, nie było tematu.

Tsadkiel obrzucił Konrada spojrzeniem podejrzliwym i potępiającym.

– Doprawdy, alleluja, cóż tyś z nią uczynił, że ci tak uschła?

– No właśnie nic! Pewnego dnia ona... – zaczął, lecz i tym razem nie było mu dane skończyć.

– Wcale nie jestem zdziwiona – stwierdziła Carmilla, zwracając się do Brząszczyka. – On by nawet wielkanocną palemkę zasuszył.

Konradowi już całkiem opadły ręce.



– Czy ty do końca życia będziesz mi wypominała tamtego kaktusa? – jęknął.

– Zasuszyłeś kaktusa?... – zapytał Turu, zwątpiwszy we własne uszy.

– Owszem – przyznał Romańczuk z nieskrywaną niechęcią.

– JAK?...

– Niechący.

– Fest skuteczna metoda.

– O, tak, Konrad mógłby zawodowo osuszać tereny podmokłe.

– Czy wy mi dacie w końcu dojść do słowa!?

Nagle średni Niemiec odsunął Tsadkiela i sam kucnął przy wydobytym z drakkara pakunku. Rozsupłał węzły, zsunął jutowy worek, odsłaniając smukłą, kobiecą postać, leżącą na boku z dłońmi splecionymi pod policzkiem, jak gdyby była pogrążona w głębokim śnie, i wprawnymi ruchami zaczął omacywać i opukiwać zdrewniałe ciało hamadriady.

Konradowi aż pociemniało w oczach, a krew w nim zawrzała.

– Gdzie z tymi... – wyrzeził, lecz wtedy Niemiec roześmiał się i coś zaszwargotał do swoich towarzyszy. A ci odpowiedzieli mu perlistym śmiechem.

– On pyta, czy ty kiedykolwiek widziałeś drzewo z bliska – rzekła Carmilla do na wpół zdębiałego, na wpół rozwścieczonego Romańczuka.

– Oczywiście, że wi... czekaj no, od kiedy ty znasz niemiecki?!

– Zapewne odkąd dwanaście lat temu ukończyłam germanistykę, ale jedno z drugim niekoniecznie musi mieć jakikolwiek związek. Mówi – zaczęła tłumaczyć na bieżąco kolejny szwargot średniego Niemca – że nie potrafi rozpoznać gatunku po samej hamadriadzie. Musiałby zobaczyć jej drzewo.

– Drzewo? Jakie drze... – Konrad w pierwszej chwili w ogóle nie skojarzył, o co mogło chodzić Niemcowi. Za to Licho załapało w lot.

– Badyłek! – zapiszczało i wcisnąwszy bez namysłu niemowlę drugiemu aniołowi, pognało w te pędy do domu, po drodze o mało nie gubiąc bamboszków. – O rany, o rany, o alleluja!!!

No tak. Badyłek. Uratowane z wycinki i pożaru drzewo hamadriady.

Jak on mógł o nim zapomnieć?...

Przytłoczony ciężarem tej myśli Romańczuk klapnął spektakularnie na trawnik, nie odrywając wybałuszonych oczu od zastygłej w drewnianym śnie hamadriady.

– Chcecie... – odchrząknął, bo ni stąd, ni zowąd zaschło mu w gardle, jak gdyby sam miał lada moment zdrewnieć na amen. – Chcecie powiedzieć, że przez ostatnie pół roku z hakiem niepotrzebnie się zadręczałem, obwiniałem,

że to ja coś przeoczyłem, coś spieprzyłem, że to przeze mnie Puk umarła? Bo ona wcale nie umarła, tylko... zrobiła to coś, co zimą robią drzewa? A ja jak ostatnia jełopa niepotrzebnie zdziadziałem i stetryczałem? Niepotrzebnie się darłem, wściekałem na wszystko i zaharowywałem na śmierć, byle o tym wszystkim nie myśleć, zapomnieć i... i w ogóle?...

– Ależ skąd – odparła Carmilla, niewzruszona ogromem jego dramatu. – Nie wiem jak inni, ale ja na przykład chcę powiedzieć, że jesteś botanicznym imbecylem. Reszta to szczegóły, które robią fabułę.

Wówczas przydreptało Licho i kichając raz po raz, postawiło przed wstrząśniętym Konradem tak dobrze mu znaną doniczkę z badyłkiem. Tyle że to nie był już badyłek, lecz drzewko, pełnoprawne, acz niewielkich rozmiarów, z gałązkami upstrzonymi mnóstwem na wpół rozpostartych świeżych pączków. Sama doniczka również przeszła metamorfozę – cała była teraz pomalowana w pstrokate, nieco krzywe kwiatuszki, a z ziemi, tuż obok zaczątku pnia, sterczała na patyczku puchata, żółciutka kaczuska z krzywo przyklejonymi ruchomymi oczkami.

– Ja to cały czas wiedziałem, że Puk jest cała i zdrowa – rzekł z dumą mały anioł. – No bo przecież badyłek nie miałby teraz tylu listków, gdyby coś jej się stało, prawda? Trzymałem go na parapecie i podlewałem go przez całą jesień i przez całą zimą, i przez całą wiosnę, i-i-i strzegłem jak oka w głowie, żeby mu króliki kory nie oskubały. A na Wielkanoc to mu pomalowałem wesoło doniczkę i zatknęłam kaczurka!

Średni Niemiec obmacał badyłka, przyjrzał się pączkom, pogmerał w ziemi, aż dogrzebał się do korzeni, i zlustrowawszy ich stan, zaszwargotał coś wesoło do Carmilli. A ta w odpowiedzi zaniósła się śmiechem.

– Mówi, że w tym drzewku jest więcej życia niż w tobie, i pyta, czy we współczesnych szkołach nie uczą już o spoczynku zimowym roślin – przetłumaczyła wreszcie, gdy już przeszedł jej atak wesołości. – A panna zdrewniała ci tak spektakularnie, bo już jej się korzonki w doniczce nie mieszczą. Wystarczy ją przesadzić. Tako rzecze Wehrmacht.

Słyszając to, nawet Tsadkiel parsknął z rozbawieniem, Licho pojaśniało i klasnęło radośnie, a wiking pokręcił głową nad doszczętnie skołowanym Romańczukiem.

– Ech, bratku, bratku... Z ciebie to jest taki amant ogrodnik jak z koziej dupy waltornia.

\*\*\*

Mimo zapadających ciemności, mimo odczuwalnego, lecz przyjemnego wieczornego chłodu, mimo nalegających na intymność drzazg, które wbijały mu się tu i ówdzie przez materiał dresowych spodni, Konrad Romańczuk wciąż siedział na wyciosanej w obalonym pniu ławce i z kubkiem zimnej kawy w ręce wpatrywał się w sadzawkę z drakkarem. Gdzieś tam, w głębi zalanej wodą czeluści, jaką wydrążyło mroczne cielsko Krakera w drodze powrotnej na tę stronę rzeczywistości, utopiec spał smacznie ze swoją brokatową Barbie syrenką w czułych objęciach. W pewnej chwili jedno z frontowych okien domu rozbłysło światłem, a jego plama sięgnęła aż znieruchomiałej tafli, skrawka brzegu i posadzonego kawałek dalej badyłka. Żywego, zdrowego i pełnego soków.

Pochłonięty natłokiem myśli mężczyzna w pierwszej chwili nie zauważył, że tuż obok niego przycupnęło Licho i odruchowo zaczęło majtać w powietrzu stopami w bamboszkach.

– Okłamałeś mnie, alleluja – przemówiło z całą srogością, z jaką zdołało z siebie wycisnąć, i dla wzmocnienia efektu zmarszczyło czoło. – A to nieładnie kłamać, ty-ty-ty – dodało, grożąc mu paluszkami.

– Czuję się bezlitośnie zrugany i obiecuję poprawę – odrzekł Konrad z ręką na sercu, bo też nigdy nie zebrał od małego anioła podobnej bury i ten pierwszy raz zrobił na nim coś na kształt wrażenia. – Nie chciałem cię okłamywać, ale jak miałem ci powiedzieć, co się stało, skoro sam nic z tego nie rozumiałem? Zasnąłem spokojny i szczęśliwy u boku żywej hamadriady, a gdy się obudziłem, ona była już martwą kłodą i nie reagowała na żadne bodźce.

Licho pokiwało głową na znak zrozumienia.

– Mówili o tym raz w telewizji. Podobno tak wygląda codzienność wielu związków.

– Ale chyba nie aż tak dosłownie?... – zapytał Romańczuk, jednocześnie notując w pamięci, by przy najbliższej okazji odłączyć antenę od telewizora w prawie że salonie.

– A to już nie wiem – przyznało. – Zasnęłam na reklamach.

Światło w oknie zgasło i ogród pogrążył się w ciemności. Od strony sadzawki dobiegł krótki bulgot, a potem cichy chrzęst i chlupot, z jakim trzy nakręcane żaby wyłoniły się i zaczęły przemierzać powierzchnię wody. Gdzieś daleko zabrzmiał przelotnie samochodowy klakson. Świat nie zamierzał im przeszkadzać w rozmowie.

– Tak sobie dzisiaj myślałam – odezwał się mały anioł po chwili wspólnego milczenia – i wymyśliłam, że pewnie wszystko wyglądałoby teraz zupełnie

inaczej, gdybyś mi wtedy powiedział prawdę, a ja od razu pokazałbym ci badyłka.

– Pewnie tak – zgodził się Konrad.

– Ale wymyśliłam też – podjęło Licho po kolejnej przerwie na głęboką refleksję – że inaczej niekoniecznie musi równać się lepiej.

Romańczuk spojrział na migoczące w ciemności celofanowe włosy małego anioła i coś go ścisnęło w gardle.

– Oszczędziłbym ci wielu wylanych łez. No i Tsadkiela – dodał po krótkim namyśle.

– Oj tam. Tsadkiel wcale nie jest taki zły, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Ani na drugi. Ani na trzeci. Ani...

– ...ani na wiele kolejnych rzutów. Rzeczywiście, Tsadkiel wykształcił naprawdę imponującą warstwę wad, przez którą trudno się przebić, chyba że kilofem. Ewentualnie szpadlem.

Licho kichnęło potakująco.

– Ale ma też kilka zalet, alleluja – oddało sprawiedliwość starszemu koledze. – Tylko ich nie nadużywa. Poza tym anioł stróż, kiedy zmienia człowieka, pod wieloma względami przypomina kota. Najpierw musi się stopniowo zaadaptować, nawyknąć do nowego trybu życia, poznać obowiązujące zasady, umocnić więź z domownikami...

– Byle nie próbował znaczyć terenu – parsknął pod nosem Romańczuk, szczerze ubawiony tą kocio-anielską analogią i podążającą w ślad za nią wizją, w której traktował Tsadkiela wodą ze spryskiwacza, by oduczyć go włożenia na stół albo wygłaszania nadętych komentarzy. – I co, myślisz, że już się z nami oswoił? Nie będzie wyrwał sobie pierza na tle nerwowym, drapał mebli ani uciekał, gdy tylko nadarzy się sposobność?

– Za pierze nie ręcę – zastrzegło Licho, pomne na osobiste doświadczenia w tej materii – ale chyba pomału zaczyna ogarniać, o co chodzi z tymi całym emocjami u ludzi. I zżywa się z nami. Zwłaszcza z tobą, apsik. Kiedy było trzeba, bez wahania ruszył ci z pomocą.

– A tam. – Mężczyzna machnął lekceważąco ręką. – We dwóch z Turem pewnie też dalibyśmy sobie radę z tym więzem.

– Kiedy ja wcale nie miałam na myśli więzu.

– Nie? Więc co?

– Siedemdziesiąt trzy! – Od strony domu dobiegł ich naraz okrzyk o ewidentnie triumfalnym brzmieniu. Tsadkiel stał w drzwiach wejściowych, wypełniając je niemal całkowicie swą roszą, uskrzydloną postacią. Tu i ówdzie z korytarza za jego plecami zdołały się precyzyjnie pojedyncze snopy

światła, przez co wyglądał, jak gdyby właśnie zstępował dostojnie z samych niebios. – Dokładnie siedemdziesiąt trzy kwestionariusze!

– A chociażby to, alleluja – szepnęło Licho cicho, cichuteńko.

Konrad roześmiał się, niezmiennie zdumiony coraz większą przebiegłością małego anioła.

– Czy ty nie jesteś aby za mądre? – zdążył jeszcze zapytać rozbawionym półgłosem, zanim z drugiej flanki osaczył go na ławce anioł duży, szeleszcząc papierem i pierzem.

– Siedemdziesiąt trzy kwestionariusze – powtórzył – kompletne i prawidłowo wypełnione. Czyli siedemdziesięciu trzech kandydatów na pensjonariuszy, w tym czternaście widm ucieleśnionych i osiem bezcielesnych, dwanaście czartów, siedem gnomów, pięć trolli, cztery pokucie, cztery koboldy, cztery skrzaty, cztery dziwożony, trzy tęsknice, dwie nimfy, dwa dybuki, jeden utopiec, jeden podziomek, jeden średnio pradawny głowonóg i jeden dżin. Rozrzut gatunkowy spory, ale to nam daje mnóstwo dowolnych konfiguracji. Osobiście z góry skreśliłbym te tęsknice, zwłaszcza w naszym klimacie, bo żywią się serotoniną, którą ty raczej nie tryskasz, a w tym przypadku naprawdę trudno o suplementację.

– Jutro.

– Co proszę?

– Jutro – powtórzył spokojnie Konrad. – Zajmiemy się tym jutro. Czytaniem, analizowaniem, konfigurowaniem, suplementowaniem i całą resztą. A teraz będziemy po prostu siedzieć, milczeć i słuchać chrzęstu nakręcanych żab.

– Doprawdy, alleluja...

– Doprawdy – łagodnie, lecz stanowczo uciął w zarodku protesty złoto-ametystowego anioła. – Z alleluja czy też bez.

Siedzieli zatem, milczeli i słuchali trzech nakręcanych żab, które z cichym chlupotem krążyły po powierzchni sadzawki, dopóki nie zmęczyły im się mechaniczne łapki. A gdy wreszcie znieruchomiały jedna po drugiej, po nich zaś tafla wody, wówczas wśród ciemności poniósł się srebrzysty głosik Licha:

– To czy teraz przywołamy Szczęsnego z powrotem?

## Rozdział 21

Zanim z pliku siedemdziesięciu trzech kompletnych i prawidłowo wypełnionych kwestionariuszy osobowych wyłonili, w drodze zażartej dyskusji, rwania włosów oraz emocjonalnego szantażu, poczet pensjonariuszy zakładu nadprzyrodzonej troski, Romańczuk zdążył odzyskać część swego diabolicznego uroku oraz niemal cały koloryt właściwy istotom ludzkim na długo przed zejściem śmiertelnym, dzięki czemu nie wystraszył zbyt wielu urzędniczek, kiedy zakładał oficjalną działalność spirytystyczną. Niebożątko tymczasem osiągnęło pierwszy stopień mobilności i czołgając się niczym Chuck Norris pod wrażym ostrzałem, siało popłoch wśród futrzaków, a za oknami na dobre zadomowiła się słoneczna pogoda, wieszcząca rychły początek najprawdziwszego lata.

Następnie, gdy z siedemdziesięciu trzech dożywotników zeszedli do trzydziestu ośmiu w pięciu różnych konfiguracjach, za których kompatybilność gatunkowo-dobową Tsadkiel ręczył własnym majestatem, rozpoczął się etap intensywnych konsultacji społecznych. Turu nalegał na przygarnięcie dzina, co rusz dopytując o tonik do kompletu. Licho usiłowało przeforsować przywołanie i powtórne zagnieżdzenie Szczęsnego, przeciwko czemu stanowczo i dobitnie protestował Konrad, odstawiając pełnego Rejtana z elementami Danuśki Jurandówny. Z kolei utopiec protestował przeciwko jakiemukolwiek dokwaterowaniu w jego sadzawce, aczkolwiek gotów był łaskawie poczynić wyjątek od tej reguły dla przedstawicielki gatunku istoty nadprzyrodzonej typu bogini, gromada nimfa, podgromada wodna, narząd zbiornikowa, rząd blond, no, ewentualnie rudzielec. Krakiers, dla odmiany, od razu wyraził chęć przygarnięcia głowonoga, żeby pół psa miało w piwnicy kompana do zabawy, kiedy on tkwił przy garach, czyli ciągle. Trzej Niemcy ze strychu deklarowali pełną otwartość na każdego nowego dożywotnika, a Carmilla miała w nosie cały ten ambaras, dopóki nie zawracał jej głowy ani nie kapał żadną podejrzaną cieczą na klawiaturę.

Ostatecznie lista została zamknięta, wybrani szczęśliwcy zaś powiadomieni o wynikach rekrutacji i uszczęśliwieni jeszcze bardziej plikiem umów, oświadczeń i weksli na wszelką ewentualność, sposobność bądź katastrofę naturalną – i tak jak prognozował Tsadkiel, żaden z nich nawet nie pisał, zgadzając się na wszelkie warunki, byle tylko się uwolnić od nazbyt

uciażliwego spadku. Po kilku dniach listonosz zaczął znosić koperty z podpisanymi dokumentami, a na konto Przedsiębiorstwa Usług Kasandrycznych – w skrócie PUK – dotarły pierwsze przelewy. I tym oto sposobem w końcu nadszedł ten dzień, kiedy mieli przybyć pierwsi zakontraktowani pensjonariusze.

Komitet powitalny w osobie Romańczuka wraz z zespołem weryfikacyjno-windykacyjnym, podsekcją braku zrozumienia i litości w osobie Tsadkiela już od rana siedział na więzowej ławeczce i tłumiąc klasyczne objawy *reisefieber*, acz bez elementu *reise*, wpatrywał się intensywnie w zamkniętą furtkę, do której w każdej chwili mógł zadzwonić pierwszy przybysz. Słońce przygrzewało, ptactwo ćwierkało, a Niebożątko, chichrając się jak obłąkane, prućło poprzez wysoką trawę.

– Doprawdy, alleluja, rozumiem troskę o rozwój psychomotoryczny dziecka, ale czy nie powinno się go wziąć na smycz? Albo na miękki hol? – Anioł stróż zerknął przelotem na dynamicznie pełzające niemowlę grozy, które podjęło zacięty pościg za spłoszonym różowym królikiem. – Jeszcze zaśnie gdzieś w krzakach i wtedy szukaj wiatru w polu.

Na te słowa Konrad, wciąż zapatrzony w furtkę, pomachał telefonem komórkowym.

– Ma wodoodporny lokalizator GPS z czujnikiem wstrząsów przypięty do szelek.

– Taki dla dzieci?

– Nie, taki dla zwierzątek domowych.

Tsadkiel już miał na końcu języka surowy komentarz potępiający podobną animalizację człowieka *in spe*, gdy naraz klamka furtki opadła ze zgrzytem. Na to człowiek i anioł poderwali się na równe nogi, bliscy pobicia rekordu tętna. Zaraz jednak wypuścili powietrze z płuc, nie kryjąc rozczarowania. Za to Niebożątko, porzuciwszy zestresowanego królika, kwiknęło radośnie i dziarsko popęzło ku powracającej z porannego joggingu matce.

– Wpadłam po drodze na listonosza! – zawołała do Romańczuka i pomachała sporymi kopertami, po czym wzięła na ręce syna, który już stękał i podrygiwał u jej stóp z uniesionymi kończynami niczym spadochroniarz w locie. – A po ulicy krąży jakiś zestresowany wypłosz z kuwetą. Mało się nie sfajdał na mój widok, więc to chyba do was. Wpuścić?

– TAK! – wrzasnęli jednym głosem i rzucili się biegiem.

Konrad, doskoczywszy do furtki o krótki pysek przed Tsadkiem, wyjrzał na ulicę.

Istotnie, kawałek dalej na pustej jezdni stał niewysoki, łysawy facet

z dużym plastikowym transporterem w objęciach i rozglądał się z wyrazem absolutnej bezradności i zagubienia na zapadniętej gębie. Z przedramienia zwisał mu plastikowy zestaw zabawek do piasku – duże czerwone wiaderko, z którego sterczała łopatką i grabki.

Z duszą na ramieniu Romańczuk zebrał się w sobie i ryknął:

– HAŃBA!

Niewiele brakowało, by wzięty z zaskoczenia wypłosz upuścił transporter na jezdnię. Złapał go w ostatniej chwili i głosem drżącym, piskliwym przystąpił do dukania ustalonego odzewu:

– Nie... niedźwiedź ojcem... ojcem... yyy... co on tym ojcem?...

– Dupę podtarł – dopowiedział Konrad i skinął na wypłosza, zapraszając go do środka.

Na widok czekającego w ogrodzie rasowego anioła stróża z pełnym uskrzydleniem w pierwszym odruchu wypłosz stanął jak wryty. A potem jęknął z czcią nabożną i zachwytem:

– Matulu przenajświętsza... Jaki on wielki...

– Wielki ciałem, bezkonkurencyjny duchem. Umysłu nie ogarniam. Puffball\_of\_doom, organ prowadzący ten przybytek – przedstawił się Konrad.

– A to jest...

– Jam jest Tsadkiel, anioł skromności i sprawiedliwości...

– ...czyli nasz dział windykacji i innych form prześladowań.

Aluzja najwyraźniej trafiła w cel i przemówiła do wyobraźni, bo mimo początkowego oczarowania wypłosz zbladł i z nerwowym szacunkiem ukłonił się aniołowi, który przerastał go o dobre dwie głowy.

– Helios17, miło mi.

Spomiędzy prętów zamykającej transporter kratki wysunęła się nieśmiało mała, ciekawska macka i wygięła w paragraf, wstępnie badając nieznany teren.

– A to jest... – Kryjąc niezadowolenie z własnej niekompetencji, Tsadkiel szybko zerknął na listę planowanych przyjęć.

– Gucio – odpowiedział usłużnie wypłosz z transporterem, podczas gdy macka próbowała gwizdnąć aniołowi długopis. – Guciu, zachowuj się, to nie twoje...

– Ach, tak, zgadza się. Mam. Gucio, średni odwieczny – odczytał. – Bez alergii, szczepiony i odrobaczany regularnie. Niezbędne akcesoria: ulubiony kocyk... Ma?

– Ma, tak, oczywiście, że ma! Włożyłem mu do transportera razem z pluszową żyrafą, żeby się tak nie stresował podróżą. Bo wie pan, panie



aniele, wtedy czasem mu się trochę ulewa.

– Lubi robić babki z piasku – ciągnął Tsadkiel z nosem w papierach – boi się ważek i... hm, i rodzyneków?...

– I to panicznie – przytaknął wypłosz z werwą. – Źle mu się kojarzą, odkąd raz fatalnie się pomylił.

– W tym domu rodzynki nikomu nie grożą – uspokoił go szybko Konrad. – Nałożyłem embargo. Wystarczy mi pradawne zło w piwnicy, nie muszę go mieć również i w cieście.

Zło, wzmiankowane i przywołane, z cichym pomrukiem wysunęło mackę przez zewnętrzne wejście do piwnicy i delikatnie przejęło transporter z pobratymcem od wypłosza, który oniemiał na chwilę.

– A myślałem, że to ja mam dużego... – powiedział, gdy już go w końcu odetkało.

– Cóż – westchnął Konrad, delikatnie zabierając mu wiaderko. – Minimalizm to zdecydowanie nie moje klimaty.

Z dopełnieniem formalności i wymianą frazesów uporali się zgrabnie w parę minut. Potem jeszcze przyjęli od wypłosza kilka wyrazów dozgonnej wdzięczności i tyle go widzieli. Tsadkiel poszedł do domu, by przed przybyciem kolejnego dożywotnika uzupełnić dokumentację o książeczkę zdrowia Gucia, Romańczuk zaś wrócił na wiązową ławeczkę, gdzie siedziała Carmilla z gaworzącym Niebożątkiem na kolanach, bez reszty pochłonięta lekturą odebranej listonoszowi korespondencji. Po drugiej stronie sadzawki średni wehrmachtowiec w skupieniu doglądał badyłka.

Konrad uśmiechnął się do ucieleśnionego widma, któremu tak wiele zawdzięczał. Bardzo chciał z nim nawiązać może nie tyle dialog – gdyż to, przy braku kompetencji językowych i wspomagania procentem, mogło mu sprawić pewien kłopot – ile szczątkowy kontakt werbalny. Pretekst, duży i kolorowy, akurat przysiadł sobie na jednej z gałązek badyłka, gdzie zastygł, grzejąc skrzydełka w promieniach słońca. Znalezienie odpowiedniego słowa w skromnych zasobach przyszło Romańczukowi ze zdumiewającą łatwością – a przynajmniej tak mu się wydawało.

– *Messerschmitt!* – oznajmił głośno i wyraźnie, tak na wszelki wypadek pokazując motyla palcem. – *Messerschmitt* pierwsza klasa!

– *Wie bitte?*... – wydukał Niemiec.

– Nie *Messerschmitt*, tylko *Schmetterling*, ty poligloto z bożej niełaski – burknęła Carmilla znad pliku kartek, a potem wcisnęła mu jedną z nich ponad głowę Niebożątka, które zaczynało przysypiać, przytulone do jej piersi. – Trzymaj.

- Co to takiego?
- Rozliczenie sprzedaży. Dzisiaj przyszło.
- Moje?

– Też – odparła wymijająco Carmilla, lecz nawet nie zwrócił na to uwagi. Zaraz zapomniał o językowych niuansach i rzucił się studiować naszpikowaną cyferkami tabelkę.

– Nie jest źle, nie jest źle... – mruknął, gdy już rozgryzł, z czym to się je, i dotarł do całkiem przyjemnej sumy, przed którą jak byk widniało magiczne „do wypłaty”. – Ty będziesz miała na waciki, a ja spłacę ćwierć laptopa.

– Ćwierć, powiadasz? No to teraz zerknij sobie na to – rzekła Carmilla i podała mu inną kartkę.

Konrada zatkało.

Cyferek było dużo – o wiele więcej niż na jego rozliczeniu. Tłoczyły się w każdej kolumnie, zarówno przed przecinkiem, jak i po, by na koniec złożyć się na liczby bezsprzecznie imponujące. Już przy liczbie sprzedanych egzemplarzy Romańczukowi zrobiło się cokolwiek słabo w jestestwo; przy łącznej kwocie do wypłaty poczuł, że lada moment może wymagać resuscytacji.

– Powinno ci wystarczyć nie na ćwierć, ale na dziesięć takich laptopów. I jeszcze trochę zostanie.

- Ale... ale... ale co to jest?!
- No rozliczenie. Sprzedaży.
- Ale sprzedaży czego?!

Carmilla nabrała powietrza i wyrecytowała gładko, tonem z lekka tchnącym grobem:

– *Burzliwych dziejów nadobnej ciałem i wielkiej duchem panny Dominique de Carrolle, czyli pełnej przygód rozmaitych podróży awanturniczej przez kraje i lądy w poszukiwaniu przeznaczenia, prawdziwej miłości i paru zaginionych osób.* Tu masz przecież napisane.

– Burz... ty mówisz o książce Szczęsnego?! O tej nielogicznej, melodramatycznej, przeładowanej, ciemnej jak tabaka w rogu, niewartej papieru, na którym...

– Tak jest, właśnie o tej.

– I ona zesłała w takim nakładzie?! – Raz jeszcze przyjrzał się długiemu rzędowni cyferek.

– Och, zesłała, zesłała. I co najlepsze, nadal schodzi, właśnie robią trzeci dodruk. Nawet jeśli sprzedaż nie utrzyma się na tak wysokim poziomie, czego zresztą siłą rzeczy należy się prędzej czy później spodziewać, to i tak przez

pewien czas możesz być niczym Jan Karol Dwojga Imion Szumilas, czyli całą dobę młócić w klawisze i nie martwić się, z czego zapłacisz rachunki przez najbliższe pół roku.

Konrad aż się wyprostował i obrzucił Carmillę zdumionym spojrzeniem, w którym dało się dostrzec cień autentycznego oburzenia.

– No co ty? Przecież oboje dobrze wiemy, że to nie ja jestem autorem tego... tego... unikatowego dzieła, tylko Szczęśny. Ja tu robię wyłącznie za figuranta z PESEL-em, domniemaniem poczytalności oraz pełną zdolnością do czynności prawnych. Nie moja książka – zwrócił jej rozliczenie – nie moje pieniądze.

– I co, zamierzasz je zwrócić wydawcy? Czy puścisz Szczęśnemu przelewem do grobu? – sarknęła. – Widma w zaświatach raczej nie muszą posiadać płynności finansowej.

– Owszem. Ale ich dzieciom po tej stronie rzeczywistości może się już przydać.

– Znaczy, że co? – zapytała po chwili, przez cały ten czas przyglądając się bacznie twarzy Konrada.

– Znaczy, że skoro ani grosza z tego nie zarobiłem, to ani grosza teraz nie wezmę. Te pieniądze należą do Szczęśnego. A skoro Szczęśnego już z nami nie ma, to przechodzą na Niebożątka. Minus twoja prowizja, ma się rozumieć.

– A ty co, srasz pieniędzmi, że tak nimi szastasz? – Carmilla zaśmiała się przez dziwnie ściśnięte gardło i zaraz szybko odwróciła głowę.

Na jej szczęście uwagę Romańczuka na chwilę przykuł Turu, który wyszedł z domu, tuląc Gucia – czy też raczej to Gucio tulił się do szerokiej piersi wikinga, gdyż oplatał go mackami z nieskrywaną czułością.

– Patrzcie go, jaka przylepa! – zahuczał Brząszczyk, idąc w stronę ławeczki.

– A jak mruczy! Mru-mru-mru, moja ty podręczna zagłado ty. Pańcio ci wyrzeźbi zgrabny tron z puszczeli i czaszeczek.

Ukontentowany Gucio odpowiedział rzewnym bulgotem i wetknął mu mackę do ucha.

Zapanowawszy nad nieposłusznymi oczyma, Carmilla odkaszlnęła i spojrzała znów na Konrada.

– A teraz pozwól, że cię dobiję na zakończenie, bo ani myślę przechodzić przez to piekło sama. – Podała mu ostatnią, zadrukowaną gęstym tekstem kartkę z logo wydawcy u góry.

– Przepraszam, co ja czytam? – zapytał po dwóch pierwszych akapitach, których treść za nic nie chciała do niego dotrzeć.

– Pienia wniebowziętego wydawcy – wyjaśniła krótko. – Oraz żarliwy apel o kolejne tomy, wzmocniony konkretną propozycją z uwzględnieniem bardzo konkretnej zaliczki. Przedostatni akapit – podpowiedziała.

– O ja pierrr...

– Prawda? Śmieszna sprawa z tym zerem. Niby takie nic, a jednak robi różnicę. Zwłaszcza gdy występuje stadnie. I to przed przecinkiem.

– Przecież... przecież to jest stawka za potencjalny bestseller! I to z pierwszej dziesiątki!

– Widzisz, łaska rynku na pstrym koniu jeździ. Ty się starasz, dumasz, kreujesz, dopieszczasz i sam widzisz, co z tego masz. Przeciętą jak na gatunek sprzedaż i symboliczny przelew, za który spłacisz ćwierć laptopa ze średniej półki. No, ale realizujesz się. Czasem nawet brylujesz tu i tam. A wystarczyłoby, w przerwie między ambicjami, natłuc w amoku kilkanaście takich arkuszy na granicy kiczu i mógłbyś za to żyć jak pączek w maśle. Lepiej nawet niż Jan Karol Szumilas. I nie musiałbyś się bawić w te całe pensjonaty.

– Pensjonaty to przede wszystkim zabawa dla Tsadkiela. A tłuczenie czy amok to akurat najmniejszy problem... – mruknął Romańczuk, marszcząc czoło w zadumie nad listem od wydawcy.

– Serio? – W oczach Carmilli rozbiły się zaskoczenie i nadzieja. – Dałbyś radę?

– Technicznie? Jasne, że tak. W końcu od lat robię w copywritingu. Próbkę stylu mam, autora i jego pokręcenie znam aż za dobrze, podszyłbym się pod niego bez trudu i pewnie miałbym przy tym niezły ubaw. Ale technika to za mało. Najpierw musiałbym upaść na głowę, żeby w ogóle wymyślić podobną... z braku lepszego słowa powiedzmy, że fabułę.

Odlepiwszy mackę od czoła i policzka, Brząszczyk rzucił okiem na rozliczenie, które Carmilla trzymała w dłoni, i gwizdnął przeciągle.

– No, bratku, za takie pieniądze to ja bym upadł. Choćby ze dwa razy, tak dla pewności. Nawet na goły beton.

Konrad westchnął.

– Obawiam się, Turu, że i to mogłoby nie wystarczyć. Szczęsny odznaczał się szczególną... z braku lepszego słowa powiedzmy, że inwencją. Takiego popier... znaczy, takiej szajby nie podrobie, bez względu na stawkę. Do tego trzeba naturalnych predyspozycji. Przykro mi – powiedział do Carmilli. – Naprawdę. Miałabyś z tego piękny procent, a Niebożątka byłoby zabezpieczone finansowo na najbliższych parę lat... Tyle że to ponad moje siły. Potrafiłbym pisać jak Szczęsny, ale... z braku lepszego słowa

powiedzmy, że myśleć... Cóż. Myśleć tak jak Szczęśny potrafił tylko sam Szczęśny. A i on miewał z tym spore problemy.

– Ej no, Konradeńku! – zachnął się Brząszczyk. – Nie ma co się tak od razu poddawać, zawsze możemy spróbować z tym betonem... albo z kostką brukową... Przecież tu chodzi o dobro dziecka!

Lecz Carmilla wiedziała aż za dobrze, że to na nic.

– Konrad ma rację – ucięła, w głębi serca żegnając się z nadzieją na długofalową stabilizację. – Pod pewnymi względami Szczęśny jest... Szczęśny był jedyny w swoim rodzaju, absolutnie nie do podrobienia. Bez niego nie da rady.

– Ech, życie bywa przewrotne. Nigdy bym nawet nie podejrzewał, że kiedykolwiek będzie mi brakować tego oszołoma w lakierkach...

– Co mamy dzisiaj? – zapytał naraz Turu. Odłożył na ziemię bulgoczącego Gucia, który właśnie z determinacją wpełzał mu na głowę, i wręczył stworowi grabki, żeby się czymś zajął.

– Chyba czerwiec – odparł Romańczuk po intensywnym namyśle. – A co?

– Czerwiec. Tak. Czerwiec będzie w sam raz.

## Rozdział 22

Było sobotnie przedpołudnie, kiedy złoty matiz z piskiem opon zajechał przed mury obronne, po czym wcisnął się zgrabnie w pierwszą lepszą szczelinę między zaparkowanymi samochodami. Zaraz potem zza kierownicy wyślizgnął się Romańczuk, mimo upału tradycyjnie przyobleczony w nonszalancką czerń, która podkreślała jego świeżo odzyskaną diaboliczność, i rozejrzał się z nieskrywanym zwątpieniem w przyszłość rodzaju ludzkiego.

Do średnio zachowanego zameczku na przeciwległych obrzeżach miasta już kolejny dzień nadciągali zaangażowani w swą pasję entuzjaści szeroko pojętej fantastyczności, jak głosił podekscytowany Turu, bądź też banda pomyleńców z ciągotami do przebieranek i kompensacji, jak złośliwie obstawiał Konrad.

Pokręcił z rezygnacją głową, podążając wzrokiem za kolejną grupką przebierańców, która przemierzała parking w drodze do zameczku. Teoretycznie był człowiekiem otwartym i nie powinien się dziwić absolutnie niczemu – wszak miał już okazję mieszkać pod jednym dachem z nieszczęsnym paniczem w koronkach i pełnym makijażu, utopcami, aniołami, hamadriadą i pradawną mątwą, nie mówiąc o znikającym niemowlęciu i sforcie różowych królików. Ale brokatowe elfy na koturnach to było coś, co go przerastało mimo wysokiej odporności na niecodzienne zjawiska.

– To będzie naprawdę długi dzień... – Zaraz rozchmurzył się jednak nieco, dostrzegłszy gdzieś dalej w tłumie człowieka w kostiumie największego Totoro z rozpostartym ponad głową czarnym parasolem. – Te, Roszpunka! – zawołał, stukając w samochodową szybę. – Spuść mi swe włosy i rusz ten odwłok!

Szeleszcząc metrami naelektryzowanego poliestru, Turu Brząszczyk wyłonił się dostojnie na światło dzienne. Dusza Konrada jęknęła nie pierwszy raz.

Podejrzewał, że wiking nie tyle mógł, ile wręcz musiał samodzielnie uszyć odpowiadający jego gabarytom kostium disnejowskiej Roszpunki z prawdziwego zdarzenia, czyli fioletową suknię na halce, z wiązanym gorsetem. Z braku kameleona – jak również po długich tłumaczeniach, że owszem, Gucio pierwszorzędnie nadawałby się na podręcznego Cthulhu, ale

w piaskownicy będzie mu lepiej niż na konwencji pełnym ludzi – zabrał ze sobą Rudolfa Valentino, która spoglądała na świat z wyżyn jego pachy. Lecz nie to najbardziej niepokoiło Konrada. Raczej swoboda, z jaką Turu ogarniał wszystkie te fałdy, wysiadając z matyza niczym księżna pani z karocy.

– Czy ja chcę wiedzieć? – zapytał, zerkając na zapleciony z wprawą blond warkocz, aż sztywny od lakieru i szcudrze zdobiony świeżym białym kwieciem.

– Raczej nie.

– Tak sądziłem. – Westchnął ciężko, bo wśród tłumu zmierzającego w stronę wejścia do zameczku nie znalazł się nikt, kto nie zwróciłby na nich uwagi. – Naprawdę nie mogłeś się cośćamtejować mniej... spektakularnie? Bo ja wiem, na przykład za jakiegoś tam wikinga?

– To się nazywa cosplay – powtórzył po raz enty Brząszczyk, poprawiając warkocz na ramieniu i różowego królika pod pachą – i polega na odwzorowaniu konkretnej postaci popkultury, a nie jakiejś tam.

– No to może za Thora?

– Och, Thor byłby zbyt oczywisty. Poza tym – odchrząknął nie bez skrępowania – ostatnio trochę zaniedbałem sześciopak.

– No co ty? – Konrad zrobił wielkie oczy. – Przecież ty pakujesz nieustannie! Jak nie sernik, to pączki!

Brząszczyk prychnął, z godnością zebrał fałdy sukni i ruszył mostkiem do zameczku, który wznosił się po drugiej stronie suchej fosy. Romańczuk podążył za nim.

– Ja pierdziu, patrzcie, jaki dzender! – poniosło się naraz ponad rzeszą szturmowców, rycerzy i wojowniczych gadów.

– Cicho bądź! – fuknął natychmiast dziewczęcy głos.

– Ej, no ale seryjnie, patrz, jaką ten koleś ma...

– Niedaś, przymknij się, do jasnej cholery!!!

Konrad nie zdążył namierzyć żartownisia samobójcy ani nawet ogarnąć się z ciętą ripostą, a Turu już zafurczał kiecą i niczym niewypowiedziana groźba wagi boleśnie ciężkiej zawisnął nad opartym o murek młodzianem w towarzystwie kieszonkowej blondyneczki w ciężkich glanach.

– Ale dzender to ty, bratku, szanuj. Bo w dziób – rzucił, prezentując mu pięść z bardzo bliskiej perspektywy.

Przytłoczony młodzian w wieku studenckim, z oblicza całkiem przystojny, ze spojrzenia zaś tępy jak but z lewej nogi, głośno przełknął ślinę. Blondyneczka tylko przewróciła oczyma, kręcąc głową. Najwyraźniej nie pierwszy raz przerabiała ten numer. I raczej nie ostatni.

– Tak, proszę pana – wymamrotał młodzian. – Przepraszam, proszę pana. Dziękuję, proszę pana. Zacny ścieg, proszę pana.

Poprawiwszy królika, Turu splótł muskularne ramiona na opiętej gorsetem piersi.

– A co ty tam wiesz o ściegach – prychnął.

– Mamusia uprawia krawiectwo rekonstrukcyjne, proszę pana. Potrafię docenić szlachetną sztukę owerloku.

Naraz wiking poczuł, że ktoś klepie go delikatnie po ramieniu. Odwrócił się, z przyzwyczajenia patrząc w dół, i z wielkim zaskoczeniem, lecz i ukontentowaniem spojrzął prosto w szczodrze wypełniony dekolt bawełnianej bluzeczki. A potem szybko podniósł zamglony zachwytem wzrok i zobaczył uśmiechniętą twarz rudowłosego dziewczęcia, które w niczym mu nie ustępowało pod względem zarówno wzrostu, jak i grubości warkocza. Tuż za nią stał drugi młodzian, dla odmiany wyraźnie bystry i sympatyczny, a także wypacykowana niczym pisanka żółtooka mumia w pstrokatym turbanie i atłasach, z lubością przyssana do papierosa.

– Bardzo pana przepraszam – odezwała się ruda dziewczyna. W obu rękach trzymała nasiąkające tłuszczem papierowe tutki z frytkami. – Brat jest... cóż, obawiam się, że jest przyszłością narodu.

– A to się podobno da amputować.

– Dziękuję, już próbowaliśmy. Tyle dobrego, że przestał robić na parapet.

Konrad i Turu parsknęli zgodnie, a brat rudowłosego dziewczęcia splonął się z oburzenia.

– Te, siostra! Weź ty się weź, bo...

– Weź to ty lepiej zamilknij, Niedasiu – uciszyła go mumia między jednym pyknięciem a drugim – zanim pan cię zapozna szczegółowo ze szlachetną sztuką mordobicia.

Wzmiankowany Niedaś próbował coś jeszcze zaburzyć, lecz blondyneczka spacyfikowała go zapowiedzią focha trwalszego niż obrażenia natury fizycznej, a siostra na wszelki wypadek zatkała frytkami.

Niezaczepiani już więcej, dwaj mężczyźni i jeden królik dotarli wreszcie do zameczku i stanęli w krótkiej kolejce do kasowego okienka. Obejrząwszy się ostatni raz na mostek, gdzie blondyneczka i rudzielec, ku nieskrywanemu rozbawieniu pisanki, zgodnie fundowały przytkanemu młodzianowi solidny ochrzan, Brząszczyk nachylił się do Romańczuka i zapytał półgłosem:

– A widziałeś, jaki miała wielki...

– Turu!

– ...turban?



– A, turban... No tak, miała, miała wielki turban. Całkiem udana Yubaba, tylko trochę za chuda w porównaniu z oryginałem. No co? – zapytał, kiedy Turu zaczął chichotać jak głupi. – Studio Ghibli to klasyka.

– Ty-ty-ty, Konradzie! – Wiking figlarnie pogroził mu paluchem. – Ty masz zadatki!

– Na obłąd? Z pewnością.

– A nie, na obłąd to wkrótce będziesz miał oficjalne papiery. Chwała temu konwentowi! – huknął, gdyż oto przyszła ich kolej. – Dwa normalne.

– Wbrew pozorom – dodał Konrad.

– Klasa Roszpunka. – Chuchro w okienku, przyjmując od nich należność, z uznaniem pokiwało głową, po czym spojrzało na podejrzenie normalnego Romańczuka. – A ty kim jesteś?

– Duchem minionych świąt – odparł krótko Konrad i wyrwał mu wejściówkę niemalże razem z palcami. – To z Dickensa.

– Chyba z Dicka? – zawołało za nim chuchro, wyrywając mu z piersi przeciągły jęk.

– Borze Tucholski, Lesie Birnamski...

Przepychając się między ludźmi, makietami i stoiskami, wspięli się na piętro i stanęli przed drzwiami, na których widniała kartka z napisem „Games Room”. Turu zniknął na chwilę w środku, po czym wrócił, prowadząc ze sobą czworo młodych ludzi.

Raczej ludzi – stwierdził z ulgą Romańczuk na widok poważnej, długowłosej dziewczyny w czarnym T-shircie z wizerunkiem Cthulhu oraz misiowatego chłopaka w bojówkach i rozpiętej koszuli w kratę, spod której łypał jednym okiem Mistrz Yoda.

Chyba ludzi – poprawił się, popatrzawszy na bladą dziewczynę z różowymi dredami zebranych z tyłu głowy w nie tyle cebule, ile gigantyczny szczypior, i z nachalnym uśmiechem, przez co wyglądała trochę jak nadprogramowy pasażer „Nostromo”. A potem spojrzał na czwartą sztukę.

Oby ludzi...

Nie tracąc czasu, Turu przystąpił do prezentacji.

– To Konrad, spoko gość, chociaż ciężka cholera. A to są moi znajomi do zadań specjalnych: Jagu, Toster i Marian.

– Że jak proszę? Marion? – Konradowi zdało się, że nie dosłyszał.

– Marian – powtórzyła dziewczyna pasażer i wydała z siebie coś pomiędzy rzeniem naszej szkapki a chichotem znerwicowanej wiewiórki.

Czwarty osobnik, tożsamości nieokreślonej, trzymał się z boku i całą swą osobą skupiał na budzeniu wielorakich wątpliwości. Wzrostu podłego

i spornej urody, miał na sobie czarny golfik, obcisłe pomarańczowe legginsy, białe podkolanówki i niskie trampki, na tak zwanej twarzy wyraz głębokiego dyzgustu, na głowie zaś białą perukę z przedziałkiem pośrodku i dwoma płaskimi koczkami typu drożdżówka, zasłaniającymi uszy.

– A ty to kto? – zapytał Konrad, pełen najgorszych podejrzeń.

– Jo zech Wróżka Śliweczka! – odrzekł osobnik basem, którego nie powstydziliby się sam Turu.

– Dwóch to za mało, żeby odpalić zaświaty, dlatego oni nam pomogą – wytłumaczył wiking Romańczukowi. – Będą robić za chude pacholki. Mają doświadczenie, warunki psychopatyczne, brak zahamowań i w ogóle.

– Serio?

Jagu wzruszyła ramionami.

– *Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagl fhtagn.*

– Moc jest silna w naszej rodzinie – potwierdził filozoficznie Toster i jak gdyby nigdy nic otworzył puszkę z piwem, którą wydobył z jednej z wielu kieszeni bojówek.

– A ja widzę martwych ludzi – dorzuciła Marian i zarżała.

– Oj tam, tylko dopóki nie włączysz wycieraczek. I spryskiwaczy.

– Eee... Bo ja wiem, na potęgę posepnego czerepu?... – Konrad poczuł się wręcz zobowiązany dodać coś od siebie, cokolwiek, byle odnaleźć się w tym towarzystwie wzajemnych aberracji. Spudłował niemiłosiernie.

– Skąd żeś ty się urwał, ciuścoku jedyn? Z dolnego palantodupiku? – zagrzmiął Śliweczka, po czym zwrócił się ze swych nizin do Tura: – Pryntko narychtujem ta breweryjo? Szpil byłzech musioł ostawić, ledwo dekel mnie się rozgrzoł.

Konrad poczuł w sobie drgnienie charakteru. Uśmiechnął się szatańsko.

– Niech zgadnę. Ostro rznąłeś w bierki i jeszcze cię trzepie.

– A czy to ważne, w co rznął? – zdziwiła się szczerze Marian. – Ważne, że nie uciekało. Tym razem.

– Jak jo ci chlasna w pysk... – prychnął Śliweczka.

– Tere-fere. Jak dosięgniesz.

– A fakju, Maryjan.

– Ja ciebie też. To jak, idziemy w pełen okultyzm? – zapytała Marian i nie czekając na odpowiedź, zabrała się ochoczo do ściągania plecaka, ale Brząszczyk szybko zgasił jej zapędy.

– Tym razem bez cycków. Konrad jest nowy w tej branży.

– Och...

– Ejże! Szpila ni mo i Maryjanowych cycków tyż ni byndzie? I co my,

bendziem egzyzorycyzmowoc na sucho jak te ciulne bestyje?...

– Czy ja chcę wiedzieć? – wyszeptał Romańczuk do wikinga.

– Raczej nie.

Tymczasem Rudolf Valentino, olawszy pozostałą trójkę jako niegodną i zainteresowania, i represji, skupiła się na Wróżce Śliweczce. Paciorkowe oczka niespiesznie, lecz nieubłaganie wwierały się w jego niskopienne jestestwo, docierając jak po sznurku do najskrzętniej skrywanych tajemnic. Wiem, o czym marzysz, kiedy nikt nie patrzy, mówiły. Wiem, czego się lękasz, gdy w środku nocy zakopujesz stopy głęboko pod kołdrą.

I wiem, co skrywa historia twojej przeglądarki internetowej.

– O ciul... – Wróżka Śliweczka delikatnie zmienił kolor i zaprzestał dalszych protestów.

Turu Brząszczyk zatarł dłonie.

– Dobra! Dochodzi jedenasta, czyli do konkursu cosplay zostały nam ponad dwie godziny. Powinniśmy się wyrobić z tym koksem i jeszcze zdążymy ze Śliweczką zagruntować urodę na sztywny wstrząs. Sprzęt gotowy?

– Gotowy – potwierdziła Marian, na dowód potrząsając sprzętem, zarówno tym w plecaku, jak i tym w biusthalterze.

– Kreda?

– Jest.

– Sól kamienna jodowana?

– Jest.

– Świece?

– Są.

– Browar?

– Jest.

– Ciul je, nie browar. Toster był wyduldał połowa!

– Ale mniejszą!

– Mokre chusteczki? – kontynuował Brząszczyk.

– Są.

– Więcej browaru?

– Tyż jest.

– A mop? Mamy mopa? Chyba pamiętacie, co było w zeszłym roku?

– O ciul, ni mamy... Ale mamy wyczes Maryjana!

– A, to się nada. Idziemy!

Cała szóstka, nie licząc królika, przemaszerowała przez zameczek i zstąpiwszy na okoliczne tereny zielone, znalazła ustronne miejsce na tyłach pustawego placu zabaw, z dala od turniejów rycerskich, scen

rekonstrukcyjnych i scen gorszących w stopniu rozmaitym, od nadmiernego obżarstwa po międzygatunkowe amory. Rozgościli się w gęstych chaszczach, z braku nawierzchni utwardzonej zrezygnowali z kredy i wysypali solą zgrabny pentagram na klepisku. Pięcioro z nich zajęło miejsce każde w swoim rogu, a Turu, malowniczo udrapowawszy fałdy sukni, sięgnął do gorsetu po wymięty notesik i zaczął go wertować.

– No dobra, niech no tylko sobie przypomnę, jak to szło... O, mam. Wysypać... okej, wysypawszy. Zasiąść... zasiadłszy. Nie pić alkoholu...

– O ciulnąwszy...

– Wypiwszy. – Toster wprawnym ruchem zgniótł następną osuszoną puszkę.

– Ale że tak w ogóle... wszy? – zapytała Marian ze zgrozą szerszą od złota.

– Tylko bez paniki, wiara! Bez paniki! – Turu pospiesznie uspokoił towarzystwo, by zapobiec eskalacji zbiorowego przerażenia. – Konrad jest trzeźwy jak świnia!

– O ciul! – zakrzyknął Śliweczka ze współczuciem. – A jo to byłzech myślał, żeś ty pulok szczyrbaty orydynarnie! A ty tak na czyżwo, bidoku!

– Już, cicho tam, lecę dalej. Na czym to... Unikać wysiłku umysłowego bądź fizycznego... No cóż, to raczej mamy z głowy. Śpiew zaintonować... Toster, zapuśćże jakiegoś hiciora z komóry, tylko błagam, nie *Run to the Hills*, bo nam znowu duch spierdzieli w podskokach. Następnie wziąć i przywołać. No, Konradeńku, to bierzesz i przywołujesz, a potem lecisz szybko z dialogiem.

– Znaczy... znaczy co, mam się drzeć, aż mnie w piekle usłyszą?

– Myślałem raczej o okolicznościowej melorecytacji z elementami dansingu ludowego. Zwykle coś w ten sposób udaje się nam wywabić.

– Coś?

– No. Duchy, bezpańskie koty, straż miejską...

– Moglibyśmy też spróbować z przynętą – stwierdziła Jagu. – Na co lecą poeci?

– Ten akurat leci na frotki – palnął Romańczuk bez namysłu.

– Obawiam się, że z gumek to mamy tylko lateksowe. Ewentualnie browar zamiast, też działa wbrewkonceptyjnie. Czasem aż za bardzo wbrew – dodał smętnie Toster i wyłowił z kolejnej kieszeni nową puszkę.

Konrad odetchnął głęboko i zacisnął powieki, próbując zapanować nad mętlikiem, jaki panował w jego głowie, odkąd tego ranka uprzytomnił sobie, zaraz po przebudzeniu, że czeka go wyprawa przez całe miasto

w towarzystwie wikińskiej Roszpunki o gabarytach dobrze odżywionego niedźwiedzia.

– No... no przybądź, cholero nieszczęsna – wymamrotał bezradnie pod nosem. Nie miał pojęcia, za pomocą jakich formułek, zaklęć czy innych obelg przywołuje się widma z zaświatów, i trochę się obawiał, że nie obejdzie się bez poezji. – No rusz to chude, blade dupsko, taś-taś-taś.

I wtem oniemiał, nim bowiem przebrzmiało ostatnie rytualne taś, solne linie zapłonęły błękitnym światłem, a powietrze wewnątrz pentagramu zgęstniało i zaczęło drżeć jak podczas największych upałów.

– Jest wizja! Wizja jest! – zakrzyknął triumfalnym szeptem Turu, kiedy na ich oczach wyłoniła się znikąd zielona ektoplazma w szczodrej obfitości i zadrżawszy, zabulgotała złowieszczo.

– O ciul! – sapnął Wróżka Śliweczka. – Srogi glut! Ostatnio widziałech tyła zieleni, kiedy szwagier szczawiu się nafutrował i rzygoł jak kot pode płotem sunsiada.

– Glut... glut!... tak jest, moje dziecię! – odparła na to ektoplazma głosem dudniącym, jak gdyby dobiegał z grobowej otchłani, po czym z wolna zaczęła przyjmować kształt bliższy człowieczemu ze złowieszczą sugestią koronek. – Jam tu, jam przybył! Wieczności przestąpiwszy progi, życie moje ścisnę w krótkie trzy godziny...

– Raczej kwadranse. – Jagu przykróciła widmu cugli. – Wskreszenie metodą chałupniczą ma krótki termin ważności.

Ektoplazma, nie przerywając uniesienia, przewróciła oczyma.

– ...no to w kwadranse ścisnę i znowu wycierpię dla waszej przestrogi!

– Dobra nasza, jest i fonia! W nadmiarze wręcz!

Znajomi wikinga i sam wiking z zainteresowaniem przyglądali się zmaterializowanemu glutowi z tamtego świata. Romańczuk odruchowo przycisnął różowego królika mocniej do cherlawej piersi, szykując się na pierwszy cios romantyzmem dużego kalibru. Glut nie zawiódł. Zadrżał niczym na wpół zastygła galaretka o smaku kiwi, po czym jęknął kanonicznie, bo potępieńczo:

– Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha, obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?

– A ciul, roz się żyje! Jadiesz, bebok, z tym songiem!

– Człowiek, rzekłem...

Wróżka Śliweczka strzyknął śliną, spoglądając na widmo spode łba i drożdżówek.

– A pizgnoć cie w ta ektoplazma?

Glut prychnął pogardliwie i odrzuciwszy pukle z wymownym plasknięciem, przyoblekł swe oblicze w wyraz natchniony i zaintonował na znaną melodię:

– Na głowie ma kraśny wiaaaanek, w ręku zielony badyyyyleeek, a przed nią bieży baraaanek, a nad nią leci motyyyleeeeeeeeeek!

– O ciul. Mom durchwał z wrożenia, jak nic...

Romańczukowi od razu stanęły przed oczyma oblegające drzewo hordy zielonych słońi z zajedwabistym futerkiem i coś w nim pękło.

– Szczęsny, przymknij się wreszcie, do ciężkiej cholery!!!

Ektoplazmowy panicz urwał w pół wycia i rozejrzał się po pentagramie.



– KONDZIU!!! – zapał z bezbrzeżnym zachwytem na widok Romańczuka, który nijak tego uczucia nie odwzajemniał.

– No cześć.

Turu Brząszczyk zarechotał, szeleszcząc chińskim poliestrem na bawełnianej podszewce.

– Hy, hy, Kondziu! Dobre, dobre...

– Jakież obiekcje, Grzesieńku?

– A nie, nie, gdzież bym śmiał!

Tymczasem Szczęśny, zakończywszy raz-dwa proces antropomorfizacji, zawisnął metr nad ziemią i wpatrywał się w Konrada niczym toksyczne ciele w malowane wrota.

– Za coś dla mnie tyle ulubiony? – zagruchał. – Za com z twoim spotkał się wejrzeniem?

– Dobra, zaczynam już łapać, skąd u ciebie taka wysoka tolerancja na Zadkiela – powiedział Turu do Konrada.

– A owszem. Minął prawie rok, odkąd Szczęśny się trwale ulotnił, a wciąż mam wyjątkowo wysoki poziom przeciwciał na bełkot w organizmie.

– Czy ja chcę wiedzieć?

– Ra... Na pewno nie. Słuchaj, Szczęśny, jest taka sprawa – rzekł do zglutowałego widma, wolną od królika ręką sięgając do kieszeni po telefon. – Pamiętasz, jak w zeszłym roku zapylałeś po domu z gołym tyłkiem? No więc z tego zapylania urodził się całkiem konkretny owoc... A zresztą, co ja ci będę tłumaczył. Sam zobacz.

Ektoplazma w osobie Szczęśnego z zaciekawieniem spojrzała na wyświetlacz telefonu.

– Ale... to dziecko jest.

– Owszem. Model męski.

– A mówiłeś, że owoc! – naburmuszył się panicz, czując, że go tu ostro robią w bambuko.

– No... no tak, bo to jest owoc. Łona. Ten owoc.

– Och. No tak. A łono czyje?...

– Carmilli – odparł Konrad uprzejmie i potem już tylko czekał, aż pod blond puklami zajdą, mimo niesprzyjających warunków, odpowiednie procesy myślowe.

– Ach tak, Carmi... Carmi... Carmilli?...

– Sądzisz, że załapał? – zapytał Turu półgłosem.

– Daj mu jeszcze chwilę. On zawsze dość długo łączy się z rzeczywistością.

– OCH!

– I jesteśmy w domu. Cały tatuś – podjął Romańczuk jak gdyby nigdy nic i zaprezentował oszołomionemu widmu następne zdjęcia Niebożątka. – Co prawda na pukle wciąż się u niego nie zanosi, za to kiedy zasypia, robi się niewidzialny, a zamiast *Chorego kotka* woli, jak mu czytać *Sonety krymskie* na przemian z niemiecką balladą romantyczną. Najlepiej w oryginale. Swoją drogą – rzucił półgębkiem do wikinga, który właśnie poprawiał sobie sznurowanie gorsetu – za ten ostatni nocny maraton z Goethem i ząbkowaniem chłopakom należy się premia uznaniowa.



– Przelewem? – Wiking mrugnął porozumiewawczo.

– Nie inaczej.

– Krew z mych łędźwi! – rozczulił się Szczęsny, pęczniejąc z dumy nad telefonowym Niebożątkiem, aż mu się ektoplazma zapowietrzyła.

– No, jak z łędźwi, bratku, to raczej nie krew...

– Tego tematu nie zgłębiamy, jeżeli mogę prosić. A teraz skup się, Szczęsny, bo się chłopaki nie zdążą uszminkować przed tańcami. Widzisz, chodzi o to, że twój syn, w sposób całkowicie naturalny, generuje pewne koszty... między innymi – czym prędzej uprzedził Brząszczyka. – Dlatego szukamy z Carmillą źródeł stałego finansowania. Ty za to, w sposób całkowicie nienaturalny, generujesz mowę wiązaną. I nie uwierzysz – cóż, przynajmniej ja sam do tej pory w to nie uwierzyłem – ale znaleźli się ludzie, i to naprawdę liczni, którzy są gotowi płacić, żeby ją czytać.

– Naprawdę? – ożywiło się widmo, zmieniając odcień. – Och, ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę!!!

– O! Cieszę się, że o tym wspominasz, bo właśnie o to chodzi, żebyś stworzył. Dokładnie rzecz biorąc, ciąg dalszy. Poniekąd.

– Poniekąd?

– Poniekąd w sensie, że stworzyłbyś go nie do końca osobiście, własnymi rękoma. Widzisz, z uwagi na brak stałego łącza z zaświatami musiałbyś mi podyktować, najlepiej teraz, jakiś szkic, zarys lub chociaż podrzucić garść luźnych pomysłów fabularnych, a ja zostałbym twoim... ghostwriterem.

– O ciul!

– Ghostwriter dla widma?

– Nieźle.

– Ej, normalnie duchcepcja!

Lecz nieszczęsny panicz Szczęsny skrzywił się z powątpiewaniem.

– Bo ja wiem? Może lepiej by było, gdybym wpadał na regularne sesje? Albo chociaż konsultacje? Wszak język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie...

– Za to wielokrotne wskrzeszanie może być przyczyną mutacji – zauważył mimochodem Toster między jednym łykiem piwa a drugim, Jagu ze smutkiem pokiwała głową, a Wróżka Śliweczka dodał ponuro:

– Ano. Spójrzj no, bebok, na Maryjana. Wszytko poszło w gymbe. Wszytko!

Różowowłosa Marian, w ramach prezentacji zgubnych efektów nazbyt częstego wskrzeszania, uśmiechnęła się z powabem nawalonego wombata i Konrada, zamiast grozy, ogarnęła na ten widok bezgraniczna wdzięczność

wobec tych skądinąd sympatycznych dziwaków. Był gotów przynieść im w zębach cały keg browaru. I przytrzymać słomki.

– Jestem poetą, więc mi wolno – odparowała ektoplazma tonem pouczenia i z braku kajdan potrząsnęła wymownie puklami. Lecz jednocześnie zerknęła jeszcze raz na wspomnianą Marian i zadrżała dyskretnie. – Podyktować, powiadasz? W zasadzie na brak zajęć narzekać nie mogę, umówiliśmy się z chłopakami na kilka ostrych nawiedzeń... A ile tych tomów?

– Słu... słucham?

– Ile tych tomów? – powtórzył panicz, rozsiadając się wygodnie w powietrzu. – Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści, więc i tomów setkę wyduszę bez większego trudu.

Konrad wziął głęboki wdech i czym prędzej uruchomił dyktafon w telefonie, modląc się, żeby bateria i karta pamięci nie odmówiły współpracy wobec takiej ilości danych i niezrównoważenia.

– No to dusisz. Ile fabryka dała.

## Rozdział 23

Tym oto sposobem w końcu nadeszło najprawdziwsze lato, a wraz z nim wielkimi krokami zbliżała się pierwsza rocznica przeprowadzki pogorzalców do domu na obrzeżach miasta. Lecz nikt nawet nie zwrócił na to uwagi.

Tego dnia Konrad Romańczuk obudził się bardzo wcześnie, zanim jeszcze promienie upalnego słońca dotarły do ogrodu. Za uchylonym oknem ptaki niezobowiązująco darły dzioby. Przez kilka minut siedział na łóżku i wdychał rześkie poranne powietrze, błędząc na wpół przytomnymi, na wpół sennymi myślami gdzieś daleko, kiedy jego spojrzenie padło przypadkowo na torbę, w której od roku trzymał wszystkie swoje ubrania. I nim się obejrzał, zapełniał szuflady ocalałej z nawałnicy podziaduniowej komody, już całkowicie otrzeźwiały, a z każdą przełożoną skarpetką, z każdą parą majtek robiło mu się coraz lepiej na duszy. Jak gdyby dopiero teraz wszystko znalazło się tam, gdzie od samego początku było jego miejsce.

Pół godziny później, z laptopem pod pachą i kubkiem kawy w ręce, Konrad zasiadł na wiązowej ławeczce i korzystając z rozkosznej ciszy, pochylił się nad ciągiem dalszym powieści Szczęsnego.

Ujęcie tego, co w ciągu zaledwie trzech kwadransów wskrzeszenia zdążyła wydusić z siebie romantyczna ektoplazma, w karby logicznie uporządkowanych notatek wymagało nie lada wysiłku, trwało tydzień i zakończyło się starciem tytanów w starym, dobrym stylu. Chociaż Konrad, któremu uroiło się niespodziewanie, że przyjęcie jakiegokolwiek gratyfikacji za pisemne widmowanie widmu będzie zerowaniem na spadku niewinnego dzieciątka, opierał się długo i zaciekle, Carmilla nie dała za wygraną i ostatecznie postawiła na swoim – połowa honorariów miała trafić do niego jako wyrobnika, połowa zaś do niej jako matki mości dziedzica praw autorskich. Upojony wizją upragnionego ciągu dalszego w postaci nie jednej, lecz kilku książek wydawca nawet nie pytał, skąd tak nietypowy układ między autorem a jego agentką. Najeżony kliszami konspekt arcydzieła obłędu powstał w mgnieniu oka, umowa została zawarta, zaliczka wypłacona i Romańczuk, nieco już spokojniejszy o dolę Niebożątka i osobistą uczciwość, z duszą na ramieniu zabrał się do pracy. Po czym odkrył, zupełnie nieoczekiwanie, że tłuczenie, rozdział za rozdziałem, sentymentalnych, upoetyzowanych do bólu dyrdymałów wedle chaotycznych wskazówek

Szczęsnego nie tylko sprawiało mu osobliwą radość, trącającą nieco masochizmem, ale też pozwoliło się rozpisnąć po miesiącach twórczego zastoju i wreszcie ruszyć z własną książką. A przy okazji skutecznie odciągało go od nerwowego wypatrywania powrotu Puk, bo do pełni szczęścia brakowało mu już tylko tego. Pisał więc – i czekał.

Jak wcześniej złość i frustracja Konrada rozpełzały się po całym domu, skazując przestrzeń i serca, tak teraz wszyscy wokoło zdawali się podzielać jego pogodny nastrój, jak gdyby wspólnymi siłami wydostali się z czarnej dziury – bądź do niej powrócili, tak jak utopiec, któremu służyło odcięcie od internetu i powrót na głębokie wody pod gołym niebem. Turu Brząszczyk, już na dobre zarzuciwszy masową produkcję zeza na przemian z frasunkiem, odnalazł swoją wymarzoną niszę, a w niej spełnienie, i przymierzał się do otwarcia sklepu internetowego z wikińskimi akcesoriami dla dzieci. Carmilla, pełna energii i promienna, z dziką rozkoszą obracała w perzynę kolejne wykwity literackiej wyobraźni, siejąc popłoch wśród swoich autorów, w ich tekstach zaś spustoszenie i poprawną polszczyznę. A w wolnych od pracy chwilach śledziła Niebożętko, które z przerażającym zapałem i brakiem jakichkolwiek kompleksów zdobywało świat. Przy okazji nieustannie zapewniało też zajęcie domowej hordzie różowych królików, dzięki czemu wybiegane i wymęczone do cna, zmuszone były powściągnąć nieco swe niszczycielskie zapędy. Nie skarżyły się jednak na swój los. Nad nienaruszalnością cielesną dziecięcia i zdrowymi zmysłami zwierzątek domowych niezamordowanie czuwało Licho, zajęte, szczęśliwe i zasmarkane jak nigdy dotąd. Lecz nawet jego radość nie mogła się równać z uczuciem, które rozpierało Tsadkiela.

Rosły anioł stróż zdawał się wręcz unosić nad ziemią, i to bez użycia skrzydeł. Prowadzenie pensjonatu dla dożywcotników okazało się spełnieniem jego najskrytszych marzeń, dlatego oddawał mu się całym sercem, duszą i upierdliwością. Wstawał pierwszy, kładł się ostatni. Doglądał wyżywienia i zmiany ręczników, prowadził księgowość i nękał przez telefon urząd skarbowy, podawał lekarstwa i wydzielał słodkości. A przede wszystkim wiedział i pamiętał o wszystkim – że Krakowski skończył się kminek i konfitura z czarnej porzeczki, że dżin Bombaj miał wieczysty szlaban na *Diablo*, że Guccio zgubił gdzieś foremkę w kształcie żółwia i pilnie potrzebował nowej, że żar-ptak imieniem Florian wolał rozpałkę w kostkach od tej w płynie, że trzy niemieckie i dwa nowe widma na strychu poprosiły o drugą talię kart i może jeszcze chińczyka, a będący na diecie bezglutenowej podziomek zwany Tupkiem lubił zjeść twarożek z rzodkiewką na sobotnie

śniadanie, inaczej przez pół dnia chlapał potem po kątach. Po raz pierwszy od wieków pedanteria i natręctwa Tsadkiela znalazły właściwe ujście, a on sam czuł się autentycznie niezbędny i niezastąpiony, po prostu – szczęśliwy. Choć zapewne za nic by się do tego głośno nie przyznał.

Innymi słowy, koniec końców sprawy ułożyły się tak, że lepiej chyba nie mogły. Pozostał jednak pewien drobiazg, który całkiem wyleciał wszystkim z głowy.

\*\*\*

Wkrótce po drugim śniadaniu w słonecznym ogrodzie zaroilo się od istot natury wszelakiej. Skończywszy akapit, Konrad postanowił zrobić sobie krótką przerwę od pracy, by niczym samiec alfa napawać się widokiem sytego, spokojnego stada.

Carmilla odbębniała zaległą korespondencję i przy okazji opalała się na leżaku. Nad jej głową, na balustradzie ganku, drzemała Zmora, a obok stała butelka z ciemnozielonego szkła, w której wygrzewał się džin, od czasu do czasu mamrocząc coś po persku. Wehrmacht wespół z różową króliczą bandą buszował po chaszczach, z tą tylko różnicą, że Niemcy zajęci byli porządkowaniem terenu, zwierzaki zaś wprost przeciwnie. Korzystały przy tym z rzadkiej ostatnio chwili spokoju, jako że Niebożątko, z odwłokiem starannie zapakowanym w kolorową pieluchę do pływania, urzędowało w sadzawce sztorm pod czujnym okiem utopca, podczas gdy Licho, z pieśnią na ustach, pucowało frontowe okna. Natomiast Turu Brząszczyk w skupieniu kończył zbijać piaskownicę dla Gucia – drewnianą i stosownie rzeźbioną, ma się rozumieć – podczas gdy sam Gucio, bulgocząc z zadowolenia, już siedział w środku i pieczołowicie uklepywał mackami pięć babek naraz.



Ot, sielanka.

Lecz, jak to dość często z sielankami bywa, zaraz znalazło się coś, co postanowiło ją czym prędzej przerwać, żeby komuś nie zrobiło się przypadkiem za miło. Tym razem był to cichy dźwięk, na który nikt nie zwrócił uwagi. Zgrzyt otwieranej furtki.

Uporawszy się w końcu z piaskownicą, Turu odłożył młotek, otarł pot z czoła, wyprostował się – i zastygł na moment. A potem zmarszczył brwi.

– Patrz no, Konradeńku, kogo do nas przywiało! – huknął srogim głosem

i wszyscy obejrzeni się jak jeden mąż.

Trawnikiem szedł jak gdyby nigdy nic Paweł Zawadzki, trzymając na rękach niemowlę spowite w różowe tiule, i uśmiechał się od ucha do ucha.

– Cześć! – zawołał wesoło, widząc, że jego obecność została już powszechnie zarejestrowana. – No! To jestem! – oznajmił, gdy już stanął przed nimi.

– Ano jest – przytaknął Turu z przekąsem, od niechcienia podnosząc młotek z powrotem z ziemi, i łypnął porozumiewawczo na Romańczuka. Ten uśmiechnął się półgębkiem.

– Ano. Nie da się ukryć.

– A to Klementynka. Moja córka. – Niezrażony Paweł przedstawił z dumą zawartość tiulu.

– Sama słodycz – odparł Konrad machinalnie i beznamiętnie.

– Śliczna panna – dorzucił Turu z podobnym zaangażowaniem.

– Ano, ślicznotka. To po mamusi. A jaka mądra!

– Na pewno po tatusiu.

Tymczasem wprawne oko Carmilli, otaksowawszy rozradowanego Pawła, szybko wychwyciło kluczowe szczegóły – ogólną bladość wbrew słonecznej pogodzie, zmierzwiony włos, przekrwione białka, a na pomiętej koszulce niedoprane plamy po materii organicznej, w których pochodzenie żaden człowiek przy zdrowych zmysłach wolałby nie wnikać. Krótko mówiąc, stał przed nimi młody rodzic na krawędzi wytrzymałości, skrywający ogrom swego niewyspania i przytłoczenia nadmiarem wszystkiego za odrobinę zbyt szerokim uśmiechem.

– Niech no zgodnę – zagaiła. – Ulewanie, kolki, nieprzespane noce?

Paweł potaknął energicznie.

– Oj, tak... Zwłaszcza te kolki dają nam mocno w kość. A i z finansami jakoś tak się nagle krucho zrobiło... Zresztą, co ja będę uczył matkę dzieci robić, co nie? – Zaśmiał się z nutą hysterii tak subtelną, że niemal niemożliwą do wychwycenia przez niewprawne ucho, kiwając w stronę namaczającego się w sadzawce Niebożątka. – Pani wie, jak to jest z tymi dziećmi.

Carmilla zmrużyła oczy niczym kot czający się na mysz.

– Och, jasne. Zwykle człowiek ledwo trzyma pion, a czasem to nawet z poziomem ma problemy. Przydałby się wam taki... pomocny... całodobowy anioł jak nasze małe Licho.

Paweł roześmiał się głośno, całkowicie nieświadomy, że na te słowa niedźwiedzia łapa wikinga zacisnęła się mocniej na trzonku młotka.

– Ach, no ja właśnie w tej sprawie. Przyjechałem po Tsadkiela – oznajmił

Konradowi bez śladu jakiegokolwiek skrępowania. – Wybacz, że tyle to trwało, ale... ale... no, sam rozumiesz. Prawda?

– Jasne – odparł Romańczuk spokojnie, nie przestając uśmiechać się półgębkiem. – Rozumiem. Rozumiem doskonale.

Ale Paweł już go nie słuchał, gdyż oto na ganku ukazał się wspomniany Tsadkiel w całej swej okazałości oraz fioletowo-zielonych bamboszach. Rozpoznawszy przybysza z chmurą różowości na rękach, w pierwszym odruchu skamieniał i dopiero po chwili zstąpił dostojnie po stopniach na trawnik. Tuż za nim przydreptało zaaferowane Licho.

– O wilku mowa, a wilk tu! No, widzę, że pobyt tutaj mu posłużył! Wydaje się jakby mniej naburmuszony niż zwykle. Klementynko, to jest właśnie Tsadkiel, twój anioł stróż. W zasadzie to jeszcze mój, ale kiedyś i tak go odziedziczysz, więc mogę ci go dać już teraz. Tsadkielu, poznaj Klementynkę. No, śmiało, trzymaj. – Paweł bez ceregieli wcisnął ją Tsadkielowi, po czym rozpromienił się jeszcze bardziej, kiedy dziewczynka raczyła spojrzeć na wciąż milczącego jak głaz anioła. – I proszę, już się polubili! Świetnie! Doskonale! No, a teraz leć pakować manatki. Wracamy do domu!

Ametystowe oczy długo wwiercały się w męczyznę, zanim anioł wreszcie postanowił przemówić.

– Zostawiłeś mnie.

– Och, doprawdy...

– Istotnie, doprawdy. I to bez alleluja. Zawadzałem ci, więc zostawiłeś mnie bez wahania czy słowa wyjaśnienia. A teraz – Tsadkiel spuścił przelotnie wzrok na chmurę tiulu w swoich objęciach – chcesz mnie odzyskać, ponieważ jestem ci potrzebny. Tak. Właśnie dlatego. I tylko dlatego. Traktujesz mnie przedmiotowo.

– Och, już tak nie histeryzuj. – Paweł zbył jego pretensje machnięciem ręki.

– Siła wyższa, nie ma co rwać włosów z głowy. W końcu zapewniłem ci na ten czas doskonałą opiekę, prawda?

– Istotnie – przytaknął anioł po szczerym namyśle. – Otrzymałem tu opiekę, mieszkanie oraz wikt. Jak również coś, czego ty nigdy mi nie dałeś. Zainteresowanie. Troskę. A nawet te oto ciepłe i nad wyraz wygodne bambosze.

– ...uję, alleluja.

Po tych słowach zapanowało milczenie. Naraz Paweł zorientował się, że wszyscy zebrani w ogrodzie, łącznie z siedzącą w piaskownicy mątwą z łopatką i dżinem, który wychynał ze swej butelki, nie odrywali od niego wzroku, jak gdyby na coś czekali. Wraz z tą świadomością ogarnął go



osobliwy dyskomfort.

– No dobrze, dość już tych dyskusji. Wracamy do domu – powtórzył już bez maniakalnego uśmiechu. – Kaśka czeka z obiadem.

– Ależ ja jestem w domu.

Słyszając z ust dużego anioła dokładnie taką odpowiedź, jakiej się spodziewał, Konrad uśmiechnął się również drugim półgębkiem. Za to Paweł zaczął się pocić.

– Mówię serio, pakuj...

– Słyszałeś, bratku, co powiedział Tsadkiel – wszedł mu w słowo Turu Brząszczyk, sugestywnym gestem krzyżując ręce na szerokiej piersi. – On się nigdzie nie wybiera.

– Och, jak gdyby miał cokolwiek do powiedzenia w tym temacie – zachnął się Paweł protekcyjnym tonem. – Jest moim aniołem stróżem, więc idzie ze mną! Koniec, kropka!

– Nie – uciął Tsadkiel.

– Co nie? Jakie znowu nie?!

– Nie, nie jestem twoim aniołem stróżem.

– Otrzymałem cię w spadku! Razem z...

– Tak, tak, razem z kolekcją breloczków. Tyle że ja nie jestem ani breloczkiem, ani twoją własnością. Nie jestem w ogóle niczyją własnością. Jestem aniołem stróżem. A nas się nie dostaje z rozdzielnika – powiedział, a Licho potwierdziło, z godnością kiwając głową.

Skonsternowany Paweł na moment przygryzł wargę.

– Posłuchaj, Tsadkielu, potem porozmawiamy na temat twojej jaśnie urażonej godności, dobrze? A teraz naprawdę musimy się już zbierać, więc ostatni raz powtarzam: w tej chwili pakuj manatki, bo jak nie...

– Licho, czy mogłobyś z łaski swojej?...

Mały anioł posłusznie przejął Klementynkę z rąk starszego kolegi.

I naraz niebo pociemniało, jak gdyby coś przesłoniło słońce, chłód wiecznej zimy wyparł letnie upały, a Tsadkiel rozpostarł szeroko swe oślepiające bielą skrzydła i z nieziemskim blaskiem ametystowych oczu nachylił się nad Pawłem Zawadzkiem, po czym rzekł głosem grzmiącym i groźnym niczym nadciągająca burza:

– ZMUŚ MNIE.

A potem, w ułamku sekundy, wszędzie wokół nich znów zrobiło się jasno, gorąco, sielsko i anielsko.

– Na jajca Fenrira... – sapnął Turu, z wrazenia upuściwszy młotek, który minął duży palec u jego stopy zaledwie o milimetry i wylądował w trawie.

– Och, alleluja! – pisnęło Licho ze szczerym podziwem.

Jego starszy kolega po fachu złożył tymczasem skrzydła.

– Jam jest Tsadkiel, anioł skromności i sprawiedliwości. Jam jest ostoja, pocieszenie i miłosierdzie. Sam sobie wybieram człowieka i wybieram jego – rzekł i wskazał wciąż oniemiałego Romańczuka. – Bo on na to zasłużył, a ty nie. A jeśli masz z tym jakiś problem, to cóż. Zawsze możesz mnie pozwać o zabór mienia.

Zrozumiawszy w końcu, że nijak nie przełamie nieoczekiwanego oporu anioła stróża, Paweł przełknął ślinę, zebrał się w sobie i naskoczył na Konrada, sięgając w desperacji po argument ostateczny i przytłaczający:

– Więc to tak, tak? To tak wygląda twoja zemsta? Dobrze, proszę bardzo, proszę, zatrzymaj go sobie, skoro chcesz! Ale ostrzegam – pogroził mu palcem – że ja za to nie zapłacę! Nie zapłacę ci za niego ani grosza więcej!

Lecz jego szantaż chybił celu, gdyż Romańczuk tylko wzruszył ramionami.

– Przez wzgląd na obecnych tu małoletnich nie powiem ci dokładnie, gdzie mam ten twój grosz. Podpowiem jedynie, że utknął tak głęboko, że czasem aż się boję mocniej odkaszlnąć.

– Ty bezczelny, parszywy...

Nie zdążył jednak dokończyć wiązanki obelg i epitetów, ponieważ koścista pięść ze zdumiewającą precyzją trafiła go prosto w podbródek i zaskoczony Paweł padł na trawnik jak kłoda, tuż obok swoich okularów.

– Ej, to boli! – zakrzyknął Konrad ze zdumieniem, krzywiąc się i trzepiąc nadwierzoną dłonią w powietrzu.

Tsadkiel zmrużył ametystowe oczy.

– Jak to prymitywna przemoc niesie ból zamiast konstruktywnych rozwiązań. Choć w zasadzie... – mruknął po krótkim namyśle i jak grom z jasnego nieba strzelił w pysk gramolącego się z ziemi Pawła, aż ten nakrył się nogami.

– I jak znajdujesz prawy sierpowy od ręki strony?

– Rzekłbym, że to oczyszczające, acz wątpliwe moralnie doznanie.

Obejrzeni się zgodnie na Tura, który uniósł ręce.

– Ja podziękuję. Jestem pacyfistą.

– Doprawdy, alleluja! A mnie to nie wahałeś się dzielić!

– Bo jestem pacyfistą nieortodoksyjnym.

Kręcąc z niesmakiem głową nad tym zbiorowym upadkiem obyczajności, Licho oddało niewzruszoną Klementynkę półprzytomnemu ojcu.

– Furtka jest tam, alleluja – odpowiedziało mu cichutko. – Radziłbym z niej szybko skorzystać, bo Rudolf Valentino gryzie do krwi, a Krakery co

prawda nie ma pięści, za to ma całe mnóstwo macek. I bardzo, ale to bardzo ciężki wałek do ciasta...

\*\*\*

A wieczorem, kiedy słońce przytuliło się do horyzontu, zajęcia obowiązkowe dobiegły już końca, nieproszeni goście odeszli zaś w niepamięć, Turu wespół z Niemcami urządzili przed domem pierwsze tego lata prawdziwe ognisko. Były pieczone ziemniaki, zwęglone kiełbaski i długie patyki, w sam raz do wydlubywania oczu. Niebożątko, przeżuwszy do cna skórkę od chleba, zasnęło razem z Guciem w objęciach Carmilli. Żar-ptak wygrzewał się w płomieniach, widma pociągały teges z kociołka, a osiem różowych króliczków buszowało wokół sadzawki, doprowadzając utopca do szału nieustającym tupaniem.

Licho, z utyłaną keczupem kiełbaską nabitą na widelec, usiadło obok Konrada i Rudolfa Valentino na wiązowej ławeczce.

– A czy ja... czy ja jestem breloczkiem, alleluja? – zapytało, patrząc na Tsadkiela, który po drugiej stronie sadzawki dyskutował z Turem na temat poszycia langskipów.

– Nie – odparł z niezachwianą pewnością. – Nigdy nie byłeś, nie jesteś i nigdy nie będziesz niczym breloczkiem.

– Ale ja nie umiem w te całe zaćmienia i ogniste miecze...

– Za to umiesz w bamboszki. A bamboszki to jest właśnie to, czego potrzeba światu, żeby stał się piękniejszy. Samo widzisz, jak odmieniły Tsadkiela. Przez stopy do serca.

– I on już tak z nami zostanie? Na zawsze-zawsze?

– Na zawsze-zawsze.

– I nikt go nie zabierze?

– Chyba że Tsadkiel sam będzie tego chciał.

– No ale... ale... ale co z testamentem? Z dożywociem?

– Licho, czy ty naprawdę myślisz, że to, co ktoś gdzieś kiedyś nabazgrał na jakimś papierze, jest ważniejsze niż to, co ty czy on czujecie w swoich sercach?

– Chyba nie... Ale ja już samo nie wiem, o myślę. Nawet nie wiem, czyje w końcu jestem.

Konrad zaśmiał się cicho i w przyływie czułości przygarnął Licho do siebie.

– A ja myślę, że wiesz doskonale – powiedział mu cicho do ucha. – Tylko

trochę się boisz to przyznać, ze strachu przed nieznanym. Tsadkiel zrozumiał to pierwszy, a teraz twoja kolej. Odnalazł już grunt pod nogami, więc pora, żebyś doszło po nim do siebie. Ani ty, ani Tsadkiel nie stanowicie niczyjej własności, czy to mojej, czy Pawła, czy nawet Niebożątka. Należyście wyłącznie do siebie i żaden papier, bez względu na liczbę pieczętek i stopień oficjalności, nigdy tego nie zmieni.

– Ale ja kocham Niebożątka!

– A Niebożątka kocha ciebie. I na tym właśnie cała ta heca z aniołami stróżami polega. Tak naprawdę. Nie na wymuszonym prawie własności, tylko na miłości. Takiej szczerzej, prościutko stąd. – Popukał palcem tam, gdzie było serduszko małego anioła. – Dlatego postanowiłem zmienić swój testament, żeby już nikt więcej cię nie odziedziczył jako dodatku do talerzy. Odtąd będziesz samo wybierało sobie człowieka.

Licho w zamyśleniu odgryzło i przeżuło kawałek kiełbaski. Aż naraz ożywiło się wyraźnie.

– Czyli że... czyli że ty kochasz...

– Nie-nie-nie, nie idziemy tą drogą – przerwał mu prędko Romańczuk. – Na jej końcu czają się smoki. Bardzo głodne smoki. I małe zielone dziabongo. Ej, to wcale nie jest śmieszne! – zaprotestował, bo mały anioł zachichotał radośnie.

– Trochę jest, alleluja.

– No dobrze, może trochę – przyznał Konrad ze śmiechem. A potem odetchnął głęboko, napawając się tą chwilą szczerzej radości, której tak mu brakowało przez ten miniony rok. – Chyba średni był ze mnie człowiek, co? Wiecznie wściekły, wiecznie zajęty, wiecznie... nie taki, jakiego potrzebowaliśmy.

– Owszem. Za to kiedyś będzie z ciebie pierwszorzędny zrzedliwy utopiec. Tylko trochę się boisz to przyznać. No wiesz, ze strachu przed nieznanym – dodało Licho i zachichotało raz jeszcze.

– A idź ty, terapeuta z testamentu łaski! – parsknął Romańczuk, wtórując w głos już nie swojemu aniołowi stróżowi. I wtedy coś go tknęło. Spojrzał na niknący w ciemnościach zarys budynku i pomyślał o strachu, który czuł tamtej burzliwej kwietniowej nocy. I tej ubiegłorocznej, sierpniowej, kiedy to na jego przerażonych oczach Lichotka obracała się w garść prochu i wspomnień. – Wiesz, czytałem kiedyś, że to narodziny i śmierć czynią dom prawdziwym domem. Więc skoro... skoro urodziło nam się Niebożątka, to może pora w końcu go jakoś nazwać, jak sądzisz?

– Narodziny, śmierć i małżeństwo – poprawiło go Licho. – Niebożątka

zaliczyło narodziny, dziadunio Brząszczyk śmierć, ale co z małżeństwem?

– Myślę, że na to też znajdzie się sposób – odparł Konrad Romańczuk i uśmiechnął się łagodnie, czując na karku przelotne muśnięcie smukłych, pachnących lasem palców.

**Koniec, alleluja**

(ale tym razem to już naprawdę)

(raczej)

(chyba)

(oby)

Redakcja: Piotr Chojnacki  
Korekta: Magdalena Matuszewska, Artur Kaniewski  
Ilustracja na okładkę i pozostałe ilustracje: Sebastian Skrobol  
Projekt okładki: Sebastian Skrobol

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3789-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

**virtualo**